



Prawdziwe „Gwiezdne wojny”
Jak Reagan walczył
z Sowietami w kosmosie

Zemsta na Polakach
Zapomniane represje
na Litwie kowieńskiej

Bolszewicka afera szpiegowska
Przyjaciel Lenina, który został
szpiclem ochrony

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

NR 12(94)/2020 GRUDZIEŃ 2020

HISTORIA

DO
RZECZY

MIESIĘCZNIK LIŚCICKIEGO

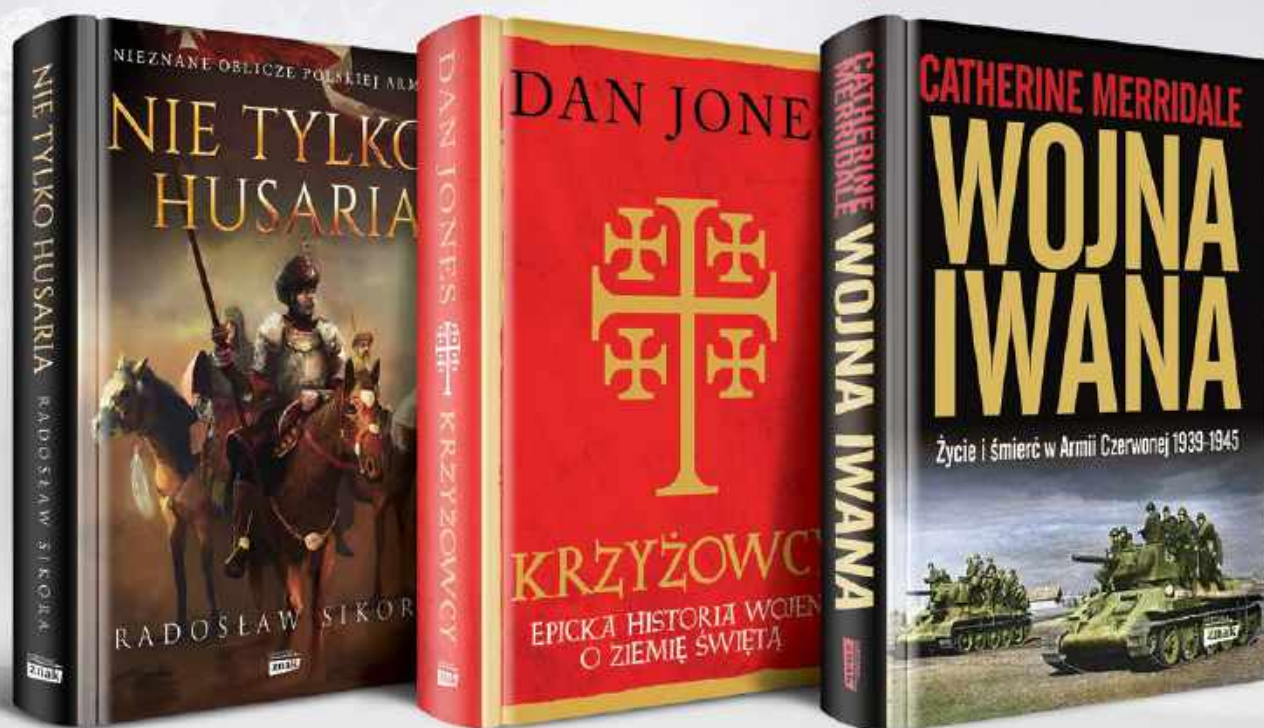
ISSN 2299-9515
N 12(94) 2020
9 772299 951509

RONALD REAGAN POGROMCA SOWIETÓW

Historia

w naszym wydaniu -

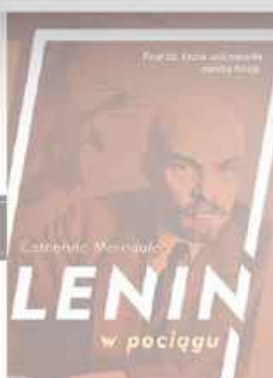
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



DROGA
DO
EWOLUCJI

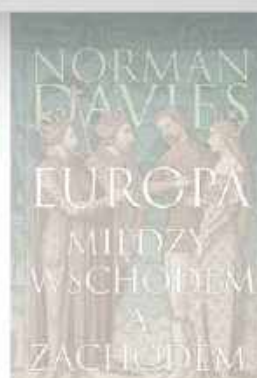
A • EUROPA • AMERYKA

TIMOTHY
SNYDER



HORYZONT
znak

eprasa.pl 2ae5a83665



O TYRANI

DWADZIEŚCIA LEKCJI
Z
DWUDZIEŚTEGO WIEKU

TIMOTHY SNYDER

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁÓCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA
DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI
TYGODNIKA „DO RZECZY”.

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk,
Piotr Włoczek**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),
**Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **The U.S. National Archives and Records
Administration/Wikipedia**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M.
Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk**
(także „Super Express”)

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro,
wchodzi w skład Grupy Kapitałowej
PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk,
Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doros, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta
pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
ani nie zwraca materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze
rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w miesięczniku
chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa
zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu
tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki
licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Dziękujemy, panie prezydencie

W październiku tego roku „nie-
znani sprawcy” zdewastowali
pomnik Ronalda Reagana stojący
w Al. Ujazdowskich w Warsza-
wie. Monument został obłany jaskrawą farbą.
Ktoś napisał na nim wulgarne wyzwisko.
Kto inny nabazgrał słowa „Pro Abo” i obelgę
pod adresem – co już naprawdę zakrawa na
absurd – jednej z polskich partii politycznych.

Atak na postument Ronalda Reagana był
jednym z aktów wandalizmu, do których
doszło podczas protestów wywołanych przez
orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego. Każ-
dy obywatel Rzeczypospolitej ma oczywiście
pełne prawo wyrazić swoją dezaprobatę
wobec takiej czy innej decyzji władz. Ale
w sposób kulturalny i cywilizowany.

Zdewastowanie pomnika nieżyjącego pre-
zydenta Stanów Zjednoczonych (1911–2004)
było zaś pospolitym aktem chuligaństwa.
Tym bardziej idiotycznym, że Ronald Reagan
był wielkim przyjacielem narodu polskie-
go. Człowiekiem, któremu zawdzięczamy
wolność. To właśnie on w latach 80. rzucił
wyzwanie sowieckiemu imperium zła.

Reagan wypowiedział Kremlowi wojnę
ekonomiczną i – za pomocą wyścigu zbrojeń
– zarządnął sowiecką gospodarkę. Były to
ciosy, spod których bolszewicy już się nie
podnieśli. Upadek najstraszliwszej tyranii
w dziejach świata, systemu, który od 1917
do 1991 r. dławił wolność setek milionów
ludzi, był konsekwencją zdecydowanej,
twardej polityki Reagana.

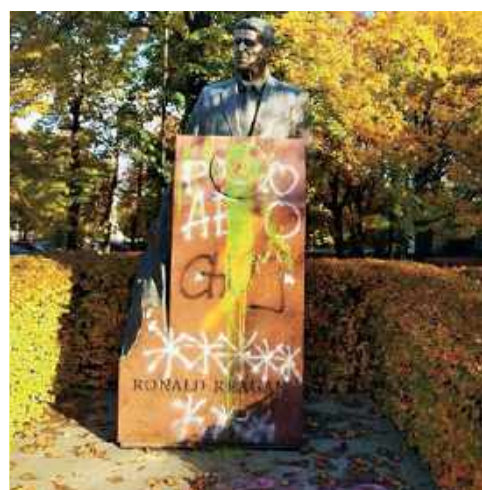
Gdyby nie Ronald Reagan, Polska, Czechy,
Węgry i inne kraje Europy Środkowo-
-Wschodniej jeszcze długo znajdowałyby się
pod sowieckim butem, pogrążone w komu-
nistycznej nędzy, szarości i marazmie. A kto
wie, czy komunizm nie trwałby do dziś?

Może nadal istniałyby: ZOMO, PZPR i Lu-
dowe Wojsko Polskie. Kolejki do sklepów i ta-
lony na samochód. A opozycjoniści nadal
ginęliby w „tajemniczych okolicznościach”.
O protestowaniu na ulicach w ogóle nie by-
łoby zaś mowy. Nie wiem, czy byłby to świat,
w którym chcieliby żyć sprawcy dewastacji
pomnika Ronalda Reagana. Śmiem wątpić.

Ten numer „Historii Do Rzeczy” po-
święcamy pamięci najlepszego prezydenta
Stanów Zjednoczonych. Zwolennika wolne-
go rynku i przeciwnika bieda-socjalizmu.
Zwolennika wolności i przeciwnika zamor-
dyzmu. Nadal są Polacy, którzy pamiętają
i doceniają to, co Ronald Reagan zrobił dla
naszej części Europy. © ©



Pomnik Ronalda Reagana
przed dewastacją i po niej
FOT. WIKIPEDIA I TWITTER.COM/CENCKIEWICZ



/ TEMAT NUMERU

.06 PAUL KENGOR

Amerykański krzyżowiec

.10 PIOTR WŁOCZYK

O włos od śmierci

.14 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Doktryna Reagana

.18 PIOTR WŁOCZYK

Prawdziwe „Gwiezdne wojny”

/ CZASY I LUDZIE

.24 JAKUB OSTROMĘCKI

Mit Amazonek

.28 TONY BOOTH

Trumna dla 99 osób

.32 SŁAWOMIR KOPER

Skandal w Pszczynie

.36 MAREK GAŁĘŻOWSKI

Zapomniany Naczelnik

.39 PIOTR SEMKA

Irlandzcy najemnicy

.42 MACIEJ ROSALAK

Gruźlica: z mora biedaków i poetów

.46 DARIUSZ TOŁCZYK

Prawda zbrodni i fałsz słów

.50 MIKOŁAJ IWANOW

Malinowski: czerwony zdrajca

.54 TOMASZ STAŃCZYK

Dramat arcybiskupa

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Dynamit

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Szklanka wody Anny Kowalskiej

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK

Brama Smoleńska

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Frajerski brąz

.69 PIOTR SEMKA

Żarty to poważna sprawa

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Nowa niemiecka geopolityka

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK

Przerabianie Polaków na Litwinów

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

Piłsudski „geniusz taktyki”

/ KOMIKS

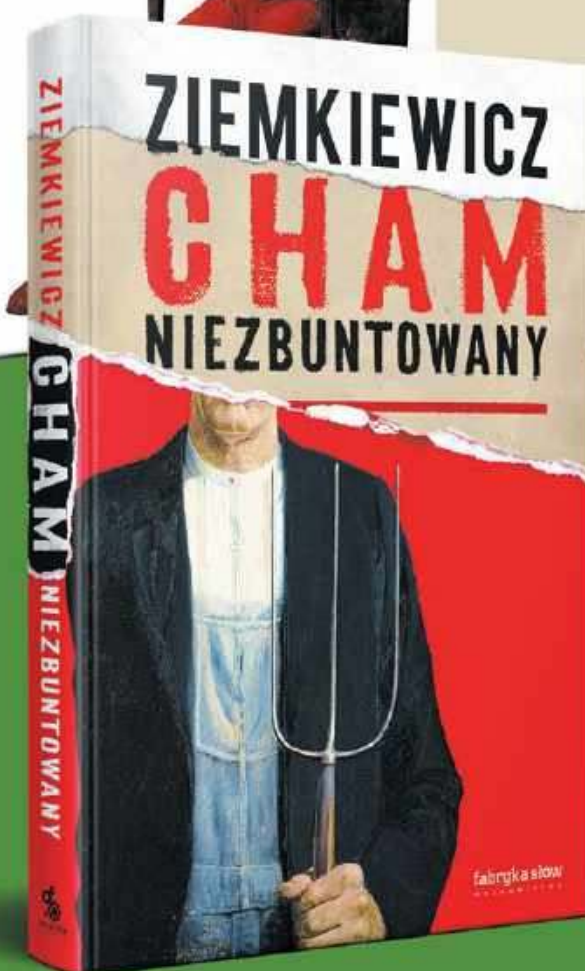
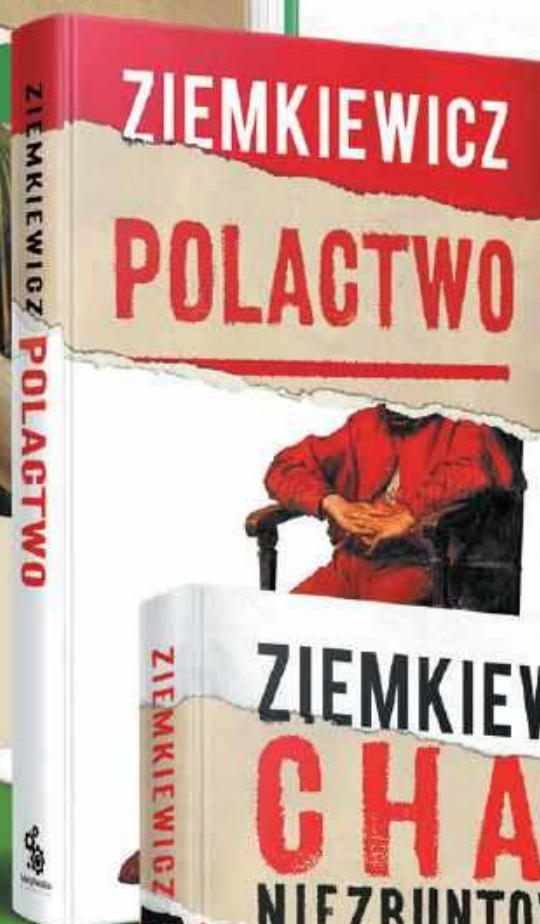
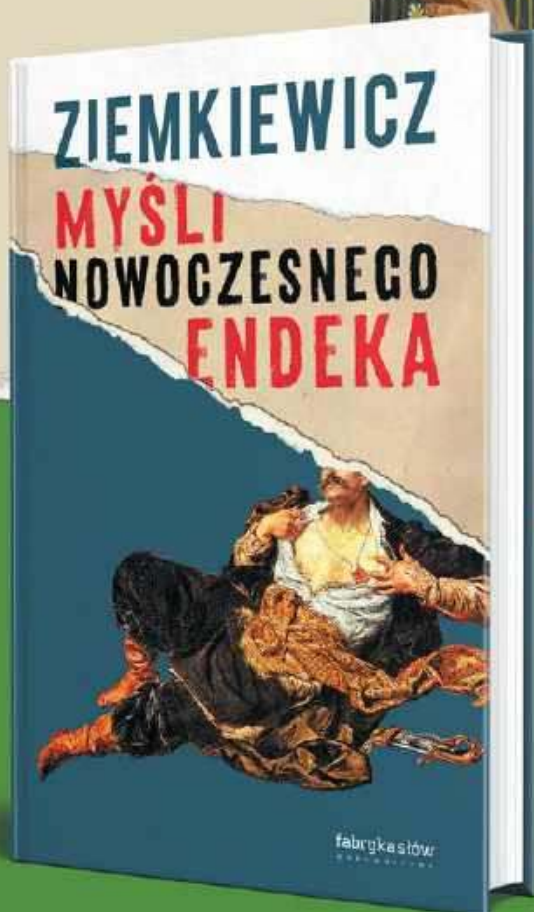
.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Cichociemna

Można się
zafascynować
wizją
kreśloną
przez

Rafała A.
Ziemkiewicza.

Można z nią
polemizować lub
zwyczajnie odrzucić.



Zawsze jednak warto ją poznać,
choćby dla punktu odniesienia
do własnych poglądów, dla
określenia własnego miejsca
w Polsce.

/ Ronald Reagan postanowił rzucić na kolana Związek Sowiecki. Do tego celu dążył z żelazną konsekwencją

PIOTR ZYCHOWICZ: Kto obalił komunizm?

PROF. PAUL KENGOR: Najważniejszą rolę odegrały dwie postacie: Ronald Reagan i Jan Paweł II.

Przecież Reagan nie wypowiedział wojny Związkowi Sowieckiemu, nie zbombardował Moskwy. Jak więc zniszczył komunizm?

Reagan rzucał w Związek Sowiecki wszystkim poza bombami. Po tym, gdy został prezydentem, przypuścił zamach na wszechstronny komunizm na wszystkich możliwych polach. Zaatakował same fundamenty sowieckiego komunizmu za pomocą wolnego rynku. Opracował strategię wojny gospodarczej, która uderzyła w sowieckie rezerwy ropy i gazu. Ważne znaczenie miały jego Inicjatywa Obrony Strategicznej (popularnie zwana „Gwiezdnymi wojnami”) i pomoc afgańskim rebeliantom w Afganistanie. Do tego dołożył wsparcie Solidarności.

Zasłynął również z ostrej retoryki. Tak, o Sowietach do tej pory nie mówił w Ameryce nikt.

Oczywiście. Wiele jego powiedzeń przeszło do legendy. Choćby przemówienie z 1983 r., w którym nazywał Związek Sowiecki imperium zła. Albo apel do Michaiła Gorbaczowa: „Zburz pan ten mur!”. Chodziło oczywiście o mur berliński. Można więc powiedzieć, że Reagan walczył z Sowietami na wielu frontach. A to przecież bardzo



FOT. WHITE HOUSE PHOTOGRAPHIC OFFICE/NARA

Amerykański krzyżowiec

Rozmowa / Z prof. Paulem Kengorem



rozmawia Piotr Zychowicz

krótka lista. Mógłbym tak wymienić jeszcze długo.

Zacznijmy od początku. Reagan został prezydentem w 1981 r. Zastąpił Jimmy'ego Cartera, który nie radził sobie z komunizmem. Jakie były różnice między strategiami obu polityków?

Różnica była taka jak między nocą a dniem. To były dwa inne światy. Carter, podobnie jak jego poprzednicy, Gerald Ford i Richard Nixon, był zwolennikiem détente. Czyli polityki odprężenia z międzynarodowym komunizmem. Carter uważał, że najlepszym sposobem na radzenie sobie z zagrożeniem ze strony Moskwy jest handel z Sowietami, dogadywanie się z nimi, wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom Kremla. To zaś oznaczało zaakceptowanie sowieckiej dominacji w Europie Wschodniej. Carter starał się zachować status quo.

Domyślał się, że Reagan miał zupełnie inny pomysł.

On chciał to wszystko wywrócić do góry nogami! Chciał zrolować sowiecki dywan z powrotem do Moskwy. Czyli wypchnąć komunistów z Europy Wschodniej i innych miejsc świata. Reagan uważał, że polityka détente jest nie tylko sprzeczna z amerykańskimi interesami, lecz także niemoralna. Skazuje bowiem dziesiątki milionów wschodnich Europejczyków na dalszą niewolę i represje. Dla Reagana jedyną realną, a jednocześnie moralną polityką było dążenie do zniszczenia sowieckiego komunizmu. A nie pomoc w jego zachowaniu.

Przyjrzyjmy się zatem – wspomnianym przez pana – frontom walki z komunizmem. Zacznijmy od sprawy najważniejszej. Czyli ekonomii.

Administracja Reagana realizowała politykę wojny gospodarczej z Moskwą. Jednym z jej celów było zmniejszenie ilości twardej waluty, którą Sowietci zarabiali na eksporcie ropy i gazu. Administracja Reagana potajemnie porozumiała się z szejkami z Arabii Saudyjskiej. Skłoniła ich do drastycznego zwiększenia wydobycia ropy, co z kolei doprowadziło do poważnego spadku jej ceny na globalnych rynkach.

Domyślał się, że miało to poważne skutki dla gospodarki ZSRR.

To mało powiedziane. Te skutki były piorunujące. Kreml z dnia na dzień stracił kolosalne pieniądze. „Spadek cen ropy był druzgocący, po prostu druzgocący, miliardy dolarów nagle wyparowały” – przyznawał później jeden z członków sowieckiego Ko-



mi-
tetu
Centralnego.

Nagle Sowiecom zabrakło gotówki. Administracji Reagana udało się również opóźnić budowę drugiej nitki syberyjskiego gazociągu, który miał dostarczyć surowiec na ogromny rynek Europy Zachodniej. To był kolejny potężny cios. Proszę pamiętać, że Związek Sowiecki i tak ustawicznie borykał się z problemami wynikającymi z jego nieefektywnej, socjalistycznej gospodarki centralnie planowanej. Administracja Reagan to rozumiała i starała się przysporzyć Moskwie dodatkowych kłopotów. Efekty były druzgocące.

Czy wyścig zbrojeń też był pomysłem Reagana?

Oczywiście. Prezydent uważał, że musi odbudować potęgę amerykańskiego wojska, które zostało poddane demontażowi w czasie prezydentury Cartera. Chodziło o wzmocnienie amerykańskiej pewności siebie, ale również o osłabienie Sowieców. Już w trakcie kampanii prezydenckiej w 1980 r. Reagan zalecał prezydentowi Carterowi wykorzystanie tego atutu. Jeżeli Kreml nie zgodzi się na ograniczenie swojego arsenału jądrowego, to wykończmy go przez wyścig zbrojeń – postulował. „My to wiemy i Związek Sowiecki też to wie. Jeżeli dojdzie do wyścigu zbrojeń, to Sowieci nie będą w stanie

się nawet zbliżyć do naszych osiągnięć” – przekonywał.

Gospodarcza i technologiczna przewaga USA była tak ogromna?

Sowieci byli bez szans. Należało jednak wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje. Mieć odwagę rzucić im wyzwanie. Reagan się na to zdecydował. „Wyścig zbrojeń to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzę – mówił w 1980 r. – Związek Sowiecki osiągnął już maksimum swoich zbrojeniowych możliwości. Obywatele ZSRS właśnie dlatego nie mają dostępu do wielu produktów konsumenckich, bo wszystko to idzie na wojsko”. Wystarczyło zmusić Moskwę do jeszcze większego wysiłku, żeby dostała zadyszki, a potem się przewróciła. Gdy został prezydentem, Reagan wprowadził ten plan w życie.

Na czym polegała „doktryna Reagana”?

To termin sformułowany przez publicystę Charlesa Krauthammera. Oznaczał on wspieranie bojowników o wolność i ruchów antykomunistycznych w różnych zapalnych punktach globu. Chodziło o powstrzymanie sowieckiej ekspansji na wszystkich możliwych kierunkach. Sowieci mieli dostać po nosie i się wycofać. Przykładów jest sporo. Afganistan, Angola, Mozambik, Nikaragua, Polska. Wszędzie tam Amerykanie pomagali tym siłom, które stawiały opór czerwonym.

OK, weźmy Afganistan. Amerykanie szkolili i uzbrajali mudżahedinów w rakiety Stinger. Za pomocą tych rakiet mudżahedini zestrzelili sowieckie śmigłowce. Ale po 2001 r. – gdy Związku Sowieckiego już dawno nie było – Amerykanie musieli walczyć z tymi samymi ludźmi. Co pan sądzi o tych działaniach z perspektywy czasu?

Po 11 września 2001 r. – po atakach na World Trade Center – pewien bardzo liberalny nowojorski redaktor powiedział gorzko: „Reagan dał nam talibów”. Uważam, że to niesprawiedliwe i nieuzasadnione zarzuty. Bardzo krótkowzroczne.

Dlaczego?

Ponieważ celem administracji Reagana było pokonanie Sowietów w Afganistanie, a nie stworzenie reżimu talibów. Cel ten udało się osiągnąć. Sowieci z Afganistanu uciekli. Oczywiście prawdą jest to, że wielu talibów wywodziło się z oddziałów mudżahedinów. Nie zapominać jednak, że wielu innych przyjęło inną postawę. Byli nastawieni wrogo wobec talibanu i pomagali Amerykanom w walce z tym paskudnym reżimem.

Na przykład?

Wystarczy wspomnieć słynny Sojusz Północny, afgańską koalicję, która walczyła u boku wojsk amerykańskich w październiku i listopadzie 2001 r. To właśnie te siły obaliły talibów. Oskarżanie Reagana o to, że stworzył talibów, jest więc równie nierozsądne jak twierdzenie, że Woodrow Wilson wyprodukował Hitlera. To już prędzej Sowieci za to odpowiadają, bo pogrążyli Afganistan w chaosie, z którego narodził się talibowie.

Wróćmy do naszego bohatera. To, co mi się podoba w Ronaldzie Reaganie, to to, że nazywał rzeczy po imieniu. Weźmy słynne przemówienie o imperium zła. Moskwa zareagowała na to z furją. A jaka była reakcja amerykańskiej lewicy i liberałów?

Muszę przyznać, że ja też to bardzo lubię w Ronaldzie Reaganie. Z kolei liberałowie zareagowali na jego słowa jak małe dzieci. Oskarżali

go o „prymitywny antykomunizm” i bigoterię. Co tu dużo mówić, to są po prostu głupcy. Reagan głupi jednak nie był. Wiedział, że prawdę należy mówić prosto w oczy. „Zbyt długo nasi przywódcy nie potrafili nazwać Związku Sowieckiego po imieniu – wspominał. – System sowiecki przez lata głodził, mordował i prześladował własny naród. Miliony ludzi zostało eksterminowanych. Opozycjonistów Sowieci zamykali w szpitalach psychiatrycznych. Wszystko to jest w podręcznikach historii. Czy system, który na to pozwolił, nie jest zły? Więc dlaczego nie mielibyśmy tego powiedzieć?”. A oto inny cytat: „Myśl marksistowsko-leninowska jest pustą szafą. Wszyscy o tym wiedzieli w latach 80., ale nikt tego nie mówił”.

Domyślam się, że chodziło o to, aby przypadkiem nie urazić sowieckich towarzyszy.

Dzięki Bogu, że Reagan był inny. Miał odwagę zło nazwać złem. Jestem bardzo wdzięczny Reaganowi za to, że to powiedział. Podobnie jak byli mu za to wdzięczni obywatele krajów Europy Wschodniej i miliony nieszczęślików, którzy przeszli przez obozy GUŁagu. Liberałowie mieli oczywiście w tej sprawie inne zdanie, ale – powtórzmy – byli durniami.

W swojej książce „Krzyżowiec” ujawnił pan, że część liberalnych polityków amerykańskich znalazła się w zмовie z Sowiecami. O co chodziło?

Główną figurą afery był nieuczciwy i leniwy amerykański polityk o nazwisku Ted Kennedy. Złożył on Kremlowi ofertę. Wynika to z tajnej notatki z 14 maja 1983 r., którą szef KGB Wiktor Czebrikow przekazał swojemu szefowi, ohydnemu sowieckiemu

■ sekretarzowi generalnemu Jurijowi Andropowowi. Dokument ten został znaleziony w archiwum Komitetu Centralnego i po raz pierwszy opisany w lutym 1992 r. w londyńskim „Timesie”.

Według notatki senator Kennedy był „bardzo zmartwiony” stanem stosunków amerykańsko-sowieckich, za który obwiniał nie morderczego tyrana rządzącego w Moskwie, ale prezydenta Reagana. Problemami były „wojna Reagana” i jego upór.

Co za niespodzianka!

Kennedy wyrażał poważne zaniepokojenie tym, że tak agresywny i niebezpieczny człowiek jak Reagan może po raz drugi zostać wybranym na prezydenta. „Kennedy uważa, że w interesie pokoju leżałoby rozsądnie i w porę podjąć kroki w celu przeciwdziałania militarystycznej polityce Reagana” – relacjonował. I przedstawił pomysły Kennedy’ego na pomoc Sowietom we „wpływności na Amerykanów”. Kennedy gotów był zorganizować spotkanie urzędników Kremla

z głównymi amerykańskimi organizacjami medialnymi i dziennikarzami. Wymienił Waltera Cronkite’a i Barbarę Walters. Oboje byli wielkimi liberałami.

Nie stawia to Kennedy’ego w najlepszym świetle.

Kennedy ostro krytykował Reagana. Jak jednak pisał Czebrikow, był „pod dużym wrażeniem działań Andropowa i innych sowieckich przywódców”. Notatka KGB zakończyła się dywagacjami na temat perspektyw Kennedy’ego na zdobycie prezydentury w 1984 r. Tak, niestety to prawda. Takie rzeczy amerykański senator Ted Kennedy, lider naszych liberałów, robił prezydentowi Reaganowi za jego plecami.

Nazywa pan Reagana „krzyżowcem wolności”. Dlaczego?

Reagan żartował, że komunistą czyta Marksa, a antykomunistą rozumie Marksa. Prezydent czytał i rozumiał Marksa. Szybko zorientował się, że Marks i jego wyznawcy najbardziej nienawidzą religii. Sam Marks określał

jako „opium dla mas”. Jego wierny uczeń, Włodzimierz Lenin, dodawał, że „nie ma nic bardziej obrzydliwego niż religia”. „Cały kult boskości jest nekrofiliją” – dodawał. Dla głęboko wierzącego Reagana wszystko to było nie do zaakceptowania. Kiedy w 1981 r. rzucił wyzwanie sowieckiemu imperium, zrobił to również w imieniu milionów chrześcijan gnębionych przez Sowietów. W tym sensie jego walka z czerwonym niebezpieczeństwem nie była zwykłym starciem mocarstw walczących o wpływy – była krucjatą XX w. Reagan widział w tym zresztą pewną niekonsekwencję. „Komunizm – śmiał się – to przecież ich własna religia”.

(Śmiech) To kolejny dowód na to, że Reagan miał dar ścisłego określania spraw.

W takim razie jeszcze kilka cytatów z prezydenta:

„Totalitarny komunizm jest absolutnym wrogiem ludzkiej wolności”.

„Ludzkość przetrwała wiele epidemii i plag, ale czy może przetrwać komunizm?”. „Komunizm nie jest ani

systemem ekonomicznym, ani politycznym – jest formą choroby psychicznej”.

Znowu – w sendo.

Prawda? Trudno przecież w historii naszej planety znaleźć zarazę, która unicestwiłaby tyle istnień ludzkich co komunizm. Tylko w XX w. komunizm odebrał życie co najmniej 100 mln ludzi. To dwa razy więcej niż łączny bilans śmiertelny pierwszej i drugiej wojny światowej! Dwóch najbardziej śmiertelnych konfliktów w dziejach.

Czytelnicy mi nie wybaczą, jeżeli nie zapytam o stosunek Reagana do Polski. Jaka była jego reakcja na wprowadzenie stanu wojennego?

Był wściekły! Profesor Richard Pipes, który urodził się w Polsce i stał się głównym ekspertem Reagana do spraw polskich, opisał później jego reakcję. „Prezydent był oburzony – wspominał. – Powiedział: »Musimy mocno uderzyć Sowietów i uratować Solidarność«”. Reagan był gotowy do akcji.

Co zamierzał zrobić?

Reagan zobowiązał się do ocalenia i podtrzymania Solidarności jako klina, który mógłby rozbić blok sowiecki, spowodować pierwsze pęknięcie w żelaznej kurtynie. Od razu uruchomił pomoc. Był przekonany, że wielki polski związek zawodowy ma potencjał, by zdmuchnąć cały sowiecki domek z kart. Jak na ironię, złe wieści z Polski okazały się dobre. Reagan uważał, że paskudny stan wojenny dawał piękne możliwości. Wierzył, że Polska stanie się katalizatorem zmian, które obalą sowieckie domino w Europie Wschodniej. Nie pomylił się.

Jaka była jego opinia o samych Polakach?



Prezydent Ronald Reagan na pokładzie pancernika USS „New Jersey”

FOT. WHITE HOUSE PHOTOGRAPHIC OFFICE/NARA



PAUL KENGOR
**„PAPIEŻ
I PREZYDENT”**

BELLONA



PAUL KENGOR
**„RONALD
REAGAN.
BIOGRAFIA
DUCHOWA”**

RAFAEL



PAUL KENGOR
**„RONALD
REAGAN
I OBALENIE
KOMUNIZMU”**

AMF+

Reagan postrzegał pański naród jako tragiczną ofiarę dwóch totalitaryzmów: narodowego socjalizmu i bolszewizmu. Ten szlachetny, religijny naród – który szczerze szanował – z powodu swojego położenia geograficznego został strauatyzowany przez dwóch złoczyńców. Alianci w Jaltie spuścili Polskę w dół sowieckiej rzeki. Reagan nigdy się z tym nie pogodził. Uważał, że Ameryka powinna dążyć do wyzwolenia Polaków z totalitaryzmu, tym razem zabarwionego sowiecką czerwień, a nie niemieckim brązem. „Sprawy polskie bardzo go zajmowały – wspominał doradca i przyjaciel Reagana, Bill Clark. – Mówił mi, że układy jaltańskie są całkowicie niesprawiedliwe i muszą zostać cofnięte”.

Tak też się stało. Ronald Reagan uwolnił Polskę i inne

narody Europy Wschodniej. Jest to główny powód, dla którego tak wielu z nas wspomina go dzisiaj z taką wdzięcznością.

No, chyba nie w pojedynkę?

Oczywiście. Chociaż jego działania – jako przywódcy największego mocarstwa – były decydujące, również inne postacie historyczne odegrały dużą rolę. Przede wszystkim wspomniany Jan Paweł II. Margaret Thatcher, Václav Havel, Borys Jelcyń i Michaił Gorbaczow.

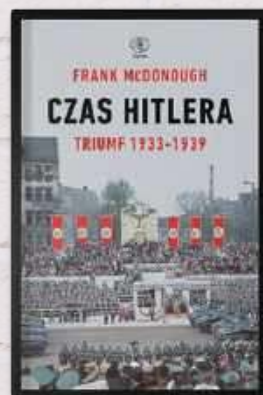
Gorbaczow?

Oczywiście jego rola była niezamierzona. Gorbaczow – wbrew temu, co się czasami opowiada – nie dążył do obalenia Związku Sowieckiego. Dążył do jego zachowania, ocalenia. Właśnie po to próbował zreformować komunizm poprzez dopuszczenie za żelazną kurtynę trochę wolności. Problem w tym, że komunizm i wolność to oksymoron. Komunizm jest systemem złym i nieefektywnym. Po prostu nie da się go zreformować. Można go tylko obalić. Gorbaczow wkrótce przekonał się więc, że jego reformy całkowicie wymknęły się spod kontroli, były jednym z czynników prowadzących do rozpadu imperium i samego Związku Sowieckiego. Ludzie po prostu mieli dość. Ronald Reagan doskonale to rozumiał, doskonale rozumiał wschodnich Europejczyków. Uważał, że – tak jak Amerykanie – przede wszystkim pragną wolności.

© P Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Paul Kengor jest amerykańskim historykiem, biografem prezydenta Ronalda Reagana. Wykłada na Grove City College w Pensylwanii. W Polsce ukazały się jego książki „Ronald Reagan i obalenie komunizmu”, „Papież i prezydent” oraz „Ronald Reagan. Duchowa biografia”.



Trzecia Rzesza od okresu dojścia Hitlera do władzy do pokonania Polski w 1939 roku.

**Nowe,
unikatowe
spojrzenie
na II wojnę
światową!
Arcydzieło
sztuki
ilustracyjnej...**



Znakomita historia powstania dzisiejszej Europy z popiołów 1945 roku.



Dom Wydawniczy REBIS sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS



1981 r. / Zamach na prezydenta USA Ronalda Reagana

O włos od śmierci

Chwila po zamachu na prezydenta Ronalda Reagana

FOT. WHITE HOUSE

PHOTOGRAPHIC OFFICE/NARA

Ronald Reagan wychodził właśnie z hotelu Washington Hilton, gdzie wygłosił przemówienie do przedstawicieli AFL-CIO, centrali amerykańskich związków zawodowych. Był 30 marca 1981 r., zaledwie dwa miesiące wcześniej prezydent rozpoczął swoją pierwszą kadencję. Washington Hilton często gościł amerykańskich prezydentów – w ciągu poprzedniej dekady odwiedzali oni to miejsce ponad sto razy. Funkcjonariusze Secret Service doskonale znali więc ten teren.

Reagan uśmiechał się i machał do grupy sympatyków oraz dziennikarzy zgromadzonych przy wejściu. W promieniu kilku metrów od prezydenta znajdowało się 25 agentów Secret Service, w tym Jerry Parr, szef ochrony Białego



Piotr Włoczyk

/ Dwa miesiące po rozpoczęciu prezydentury Ronald Reagan padł ofiarą zamachu i stanął na krawędzi życia i śmierci. W ocaleniu prezydenta, który pokonał ZSRS, kluczową rolę odegrał jeden człowiek

Domu. Parr szedł krok za Reaganem. Obaj byli już przy drzwiach pancерnej limuzyny, gdy doszło do wydarzenia, które mogło zmienić bieg zimnej wojny.

– Jeden z agentów czekał już na nas przy otwartych drzwiach. Wreszcie jakieś dwa metry od auta usłyszałem pierwszy z sześciu strzałów – wspominał w rozmowie ze mną Jerry Parr. – Zanim

zdołałem cokolwiek pomyśleć, odezwała się moja pamięć mięśniowa, którą każdy agent wyrabia w sobie latami treningów. Bez chwili zwłoki wpełchnąłem prezydenta do limuzyny i zakryłem go swoim ciałem.

Na nagraniach z kamer telewizyjnych nie widać Johna Hinckleya – człowieka, który strzelał w kierunku prezydenta.

Oczywiście były one zwrócone w kierunku wejścia do hotelu. Po chwili widząc odjeżdżającą z piskiem opon limuzynę, a na chodniku przed hotelem gigantyczne zamieszanie. Kilku agentów Secret Service przygniata do ziemi zamachowca, inni ochroniarze, niepewni, czy wokół nie ma innych napastników, wyciągają broń automatyczną i nerwowo rozglądają się na wszystkie strony. Na chodniku leżą trzy osoby, które stały na linii strzału: rzecznik prezydenta James Brady, agent Secret Service Timothy McCarthy oraz policjant Thomas Delahanty.

– W ciągu tych kilku sekund działałem mechanicznie. Można to porównać do sytuacji, gdy dziecko wyskakuje przed maskę prowadzonego przez nas samochodu. Nie myślimy o tym, żeby zahamować, tylko po prostu to robimy. Tak też było w ciągu tych kilku sekund w trakcie zamachu na życie prezydenta. Agenci ochrony są tak szkoleni, że sam dźwięk wystrzału powoduje natychmiastową i automatyczną realizację procedury, na którą składają się tylko dwa elementy: zakrycie i ewakuacja prezydenta – tłumaczył mi Jerry Parr.

„Rawhide is OK”

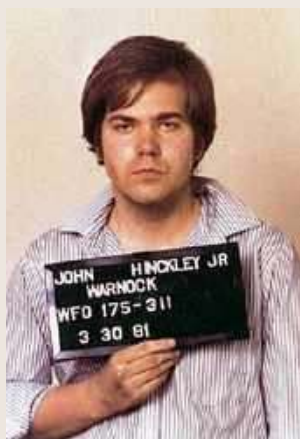
Początkowo wydaje się, że nie jest tak źle. Funkcjonariusze Secret Service słyszą przez radio Jerry’ego Parra mówiącego: „Rawhide is OK” (Secret Service nadaje każdemu prezydentowi własny kryptonim. „Rawhide” oznaczał Ronalda Reagana). Kilka minut później okaże się jednak, że brak śladów krwi na ciele prezydenta tylko pozornie świadczył o tym, że Ronald Reagan był OK. W rzeczywistości 70-letni amerykański przywódca był jak najdalej od bycia OK.

– Hinckley wystrzelił w ciągu 1,7 sekundy sześć razy. Bez wątpienia zabiłby Reagana, gdyby Jerry Parr nie zareagował tak szybko. Parr dosłownie wrzucił Reagana do limuzyny, usuwając prezydenta z linii strzału Hinckleya – mówił w telewizji PBS Del Quentin Wilbur, dziennikarz „The Washington Post” i autor książki „Rawhide Down”, opisującej zamach na Ronalda Reagana.

Ponieważ prezydent wydawał się cały i zdrowy, prezydencka kolumna pędziła do Białego Domu, który zamieniany był błyskawicznie w twierdzę (wciąż nie wiadomo było, czy był to tylko jednost-

kowy przypadek, czy większa akcja przeciw amerykańskiemu rządowi).

– Na początku odetchnąłem z ulgą. Standardową procedurą jest w takim przypadku sprawdzenie prezydenta, co też zrobiłem. Dokładnie przebadałem rękami jego tułów i nie znalazłem ani śladu krwi – wspominał Jerry Parr. – Po chwili jednak zauważyłem, że prezydent ma krew na ustach. Prezydent Reagan powiedział, że chyba ugryzł się w język albo w policzek. Krew była jednak jasnego koloru, więc zdawałem sobie sprawę, że pochodzi z płuc. Wtedy zacząłem się martwić, że być może został on ranny w zamachu. Prezydent siedział pochylony na krawędzi siedzenia, gdy nagle zaczął płuć krwią. Uklęknałem przed nim i powtórzyłem badanie. Skrupulatnie sprawdzałem każdy fragment jego ciała – włącznie z głową – ale po raz kolejny nie znalazłem ani kropli krwi na rękach.



John Hinckley, niedoszły zabójca
Ronalda Reagana. FOT. FBI

Parr przeszedł przeszkolenie medyczne i zdawał sobie sprawę, że kolor krwi, a także siniejące usta świadczą o tym, że prezydent ma krwotok wewnętrzny. W Białym Domu znajduje się wprowadzenie pomieszczenie ambulatoryjne, w którym można prezydentowi udzielić podstawowej pomocy medycznej, ale stan Ronalda Reagana wskazywał, że konieczne jest oddanie go pod opiekę specjalistów dysponujących najlepszym sprzętem. Kierunek mógł być tylko jeden – szpital uniwersytecki im. Jerzego Waszyngtona w centrum stolicy. Kolumna zawraca i pędzi do szpitala. Gdy docierają na

miejsce, dzieje się rzecz niesamowita. 70-letni, wykrwawiający się na śmierć prezydent wychodzi z limuzyny o własnych siłach...

– Prezydent Reagan wyszedł sam, choć podałem mu dłoń, żeby pomóc mu wstać. Nie wiem, czemu nie skorzystał z mojej pomocy. Być może myślał, że ktoś może mu zrobić zdjęcie, jak wspiera się na czyjejs ręce – opowiadał Jerry Parr. – Pielęgniarki rozebrały go do naga i zaczęły szukać rany. Znalazły ją pod lewą pachą. Okazało się, że kula odbiła się rykoszetem od ramy drzwi, akurat gdy wpychałem prezydenta do limuzyny. Miał on wtedy ręce wyciągnięte przed siebie, jak podczas skoku na główkę. Kula po odbiciu od pancerza auta rozpląszczyła się jak moneta 10-centowa, uderzając w żebro i wbijając się głęboko w płuco. Od serca dzieliło ją tylko ok. 2,5 cm. Efektem postrzału była dziura w płucu wielkości ołówka. Tak poważna rana spowodowała potworne krwawienie. Dzisiaj można więc powiedzieć, że wtedy w limuzynie prezydent wykrwawiał się na śmierć.

Zgubiona karta

Medycy pracujący pod kierownictwem dr. Josepha Giordano od razu podali Ronaldowi Reaganowi krew (po wszystkich okazało się, że stracił on ok. 2,5 litra krwi). Mimo osłabienia prezydent nie przestawał żartować. Najpierw śmiał się w rozmowie z żoną, że po prostu zapomniał się schylić. A potem zaczął żartować z medykami, którzy szukali się do przeprowadzenia bardzo trudnej operacji.

– Słyszałem, jak spytał lekarzy, czy wszyscy spośród nich są republikanami. Jeden z lekarzy podchwycił ten ton i odpowiedział: „Tak, panie prezydencie, dziś wszyscy jesteśmy republikanami” – wspominał Jerry Parr. – Sytuacja była bardzo napięta, bo wiedzieliśmy, że stan prezydenta jest bardzo ciężki. Od razu jednak zaczęliśmy myśleć, co będzie dla nas oznaczał pobyt w szpitalu przez kolejnych kilka tygodni. Nie było mowy o przenoszeniu prezydenta po operacji, więc musieliśmy zreorganizować życie szpitala, by zapewnić prezydentowi bezpieczeństwo i odpowiednie warunki do pracy. W szpitalu pojawili się snajperzy i zespół pirotechniczny z psami.

■ Generalnie przeniesliśmy do szpitala cały Białe Dom.

Ciężka operacja zakończyła się pełnym sukcesem i pacjent szybko zaczął wracać do sił. W międzyczasie okazało się jednak, że zamach i chwilowe wyłączenie prezydenta obnażyło pewne niedomaganie, których zapewne mało kto spodziewałby się po atomowym supermocarstwie.

Pierwszym problemem było zgubienie karty niezbędnej do odpalenia rakiet z głowicami atomowymi, która została zabrana przez FBI wraz z pociętym garniturem Reagana.

– Ta karta to tzw. karta uwierzytelniająca. W końcu jednak się odnalazła. Od tamtego incydentu zmieniły się procedury, aby coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Odbiliśmy wiele spotkań z tego powodu i ustalono ostatecznie, że agent Secret Service odpowiedzialny za prezydenckie ubranie i rzeczy osobiste nie będzie ich spuszczał z oczu – wspominał Jerry Parr.

Drugim problemem było niespodziewane zamieszanie na szczytach władzy. Wiceprezydent George H.W. Bush był tego dnia w Teksasie, gdzie miał wygłosić przemówienie. Dowiedziawszy się o zamachu, natychmiast wsiadł do samolotu i poleciał do Waszyngtonu, ale – choć trudno w to uwierzyć – nie miał na pokładzie bezpiecznej linii komunikacyjnej. W tym czasie sekretarz stanu Alexander Haig wygłosił w Białym Domu słynne słowa: „To ja kontroluję sytuację”, co zostało przez niektórych odebrane jako próba uzurpacji sobie uprawnień, których konstytucja USA nie daje w takich sytuacjach sekretarzowi stanu. W przypadku, gdy prezydent nie jest w stanie sprawować swojej funkcji, zastępuje go wiceprezydent, a jeżeli i ten nie jest w stanie tego zrobić, to władza przechodzi w ręce przewodniczącego Izby Reprezentantów. Sekretarz stanu jest dopiero czwarty na tej liście. Haig był w ciągu tych kilku godzin wyraźnie wstrząśnięty, łamał mu się głos, widać było, że sytuacja kryzysowa go przerasta. Pojawienie się po kilku godzinach w Waszyngtonie wicepre-

zenta Busha zakończyło to zamieszanie. Pilot Air Force Two wspominał potem, że pobił tego dnia rekord prędkości samolotów tego typu.

Boska opatrność

Zamach był dziełem szaleńca. Niedoszły morderca prezydenta, John Hinckley (ur. 1955 r.), był śmiertelnie zakochany w młodej aktorce Jodie Foster. Jeździł za nią po całym kraju, pisał do niej listy, nawet zapisał się na kurs na Uniwersytecie Yale, na którym studiowała, żeby się do niej zbliżyć. Gdy te metody nie okazały się skuteczne, postanowił zrobić coś, co wywarłoby na Foster wielkie wrażenie. Zabicie prezydenta USA wydawało mu się świetnym pomysłem.

Hinckley został uznany za nieporozumiałego i zamiast do więzienia trafił do szpitala psychiatrycznego. Śmiało można założyć, że w całej historii USA nikt inny nie został lepiej przebadany pod kątem zdrowia psychicznego. W 2016 r., po 35 latach, lekarze stwierdzili w końcu, że niedoszły zabójca Ronald Reagana został wyleczony i nie stwarza już zagrożenia dla innych. Jednym z warunków, jakie postawiono mu przy zwolnieniu ze szpitala, jest obowiązek stałego przebywania w domu matki w Williamsburgu w Wirginii. Innym jest zakaz kontaktowania się z rodziną Reaganów i Jodie Foster. 65-letni Hinckley otworzył niedawno sklep z antykami, który ponoć całkiem nieźle prosperuje.

Pośród trzech innych ranionych w zamachu mężczyzn w najcięższym stanie był James Brady, rzecznik prasowy Ronald Reagana. Ranny w głowę, do



Ronald Reagan z żoną, opuszczający szpital
FOT. WHITE HOUSE
PHOTOGRAPHIC OFFICE/NARA

końca życia (zmarł w 2014 r.) przykuty był do wózka inwalidzkiego. Po zamachu Brady stał się aktywistą walczącym o ograniczenie prawa do posiadania broni palnej.

Sześć strzałów Hinckleya wpłynęło oczywiście na pracę agentów Secret Service. Wprowadzono kolejne zabezpieczenia, które – jak pokazały ostatnie cztery deka-

dy – okazały się bardzo efektywne.

– W momencie zamachu wokół prezydenta było ok. 25 agentów Secret Service. Dawaliśmy wtedy z siebie wszystko, by zapewnić prezydentowi bezpieczeństwo, ale niestety okazało się, że było to tego dnia niewystarczające – mówił Jerry Parr. – Po zamachu doszło do pewnych zmian. Na przykład tak planowaliśmy wydarzenia z udziałem prezydenta, by przejście z budynku do limuzyny trwało jak najkrócej. Może mało się o tym mówi, ale od tego czasu – czyli od ponad 30 lat – nie padł ani jeden strzał w kierunku amerykańskiego prezydenta. A jeszcze w poprzednim 30-leciu – między 1950 a 1981 r. – doszło do kilku prób zamachu na życie kilku prezydentów. Tak się akurat złożyło, że do ostatniego zamachu doszło, gdy to ja byłem na służbie. Ale to się może zdarzyć każdemu. Po tym wydarzeniu zaczęliśmy na większą skalę używać wykrywaczy broni. Gdy odchodziłem ze służby [w 1985 r. – przyp. red.], używaliśmy ich już przy każdej okazji. Teraz to standardowa procedura wszędzie tam, gdzie pojawiają się prezydent i wiceprezydent.

Jerry Parr, człowiek, który uratował życie pogromcy komunizmu, zmarł w 2015 r. w wieku 85 lat. Po odejściu z Secret Service poświęcił się pracy społecznej, pomagał m.in. chorym na AIDS. Parr nie ukrywał, że jest bardzo wierzącym chrześcijaninem. Na zakończenie naszej rozmowy (odbyliśmy ją w 2012 r.) podkreślił, że 30 marca 1981 r. Secret Service miało potężnego sprzymierzeńca.

– Wierzę, że Boska opatrność czuwała nad nami tego dnia. Naprawdę w to wierzę. Prezydent też w to wierzył – powiedział z przekonaniem Jerry Parr.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Józef Borkiewicz

**DZIEJE 1-go PUŁKU
PIECHOTY LEGJONÓW**



Tom I

Tom II



Wydawnictwo Graf_ika

www.sklep.graf-ika.pl

e-mail: sklep@graf-ika.pl

**Wznowienie na podstawie
oryginału z 1923 r. dzieła, opi-
sującego powstanie, charak-
terystykę i działania I Pułku
Piechoty Legionów Polskich.**

**Oparta o archiwalne dokumenty
książka o Polskiej Misji Wojskowej
gen. A. Karnickiego w antybolsze-
wickim ośrodku A. Denikina w la-
tach 1919 – 1920.**



Replika munduru historycznego: PARTYZANT.PL



Zadanie publiczne finansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Walka z komuną / Ameryka – Azja – Afryka

Mudżahedin strzela ze stingera do sowieckiego śmigłowca

FOT. CIA MUSEUM ART COLLECTION/WIKIPEDIA

Doktryna **Reagana**



Arkadiusz Karbownik

/ Amerykański prezydent starał się gasić czerwone pożary na całym świecie. W ten sposób powstrzymywał ekspansję Sowietów

Zwycięstwo Ronalda Reagana w wyborach listopadowych 1980 r. wywarło olbrzymi wpływ na modyfikację polityki zagranicznej USA. Pod koniec lat 70. ZSRS i kraje boku sowieckiego rozszerzyły znacząco swoją strefę wpływów. Komuniści przejęli władzę w Wietnamie Południowym, Kambodży, Laosie, Angoli, Mozambiku, Etiopii, Nikaragui, Afganistanie. Sytuację wewnętrzną w wielu krajach będących sprzymierzeńcami USA destabilizowały ruchy rewolucyjne wspierane przez

ZSRS. Ronald Reagan zmieniał wektory amerykańskiej polityki zagranicznej, hołdującej w czasach prezydentury Jimmy'ego Cartera doktrynie obrony praw człowieka. Jego współpracownik Robert Neumann w prostych, ale dosadnych słowach określił nowe zasady, które miały ją odtąd określać: „Takie abstrakcje jak prawa człowieka nie znajdują się w głównym polu polityki zagranicznej, która ma za zadanie zrealizować amerykańskie interesy narodowe”. Priorytetem miała stać się „rollback policy”, czyli polityka odpychania, a w zasadzie wypychania komunizmu z krajów, w których się zagnieździł lub próbował się zagnieździć.

Salwador

Od końca lat 70. w Salwadorze toczyła się wojna domowa. Co prawda rozpoczęta 10 stycznia 1981 r. ofensywa ugrupowań rewolucyjnych występujących pod nazwą Front Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Martíego (FLMN) zakończyła się niepowodzeniem, ale sytuacja nie dawała powodów do optymizmu. U steru władzy w Salwadorze znajdowa-

ła się junta cywilno-wojskowa, na której czele stał lider centrolewicowej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (PDC) Napoleón Duarte. Amerykanie początkowo nie byli przekonani, czy jest on człowiekiem będącym w stanie pokonać radykalną lewicę, ale widząc, że jedyną poważną alternatywę dla niego stanowił „ojciec duchowy” salwadorskich szwadronów śmierci Roberto D'Aubuisson, udzielili mu kredytu zaufania.

Sekretarz Stanu Alexander Haig powiedział: „Nasz problem w Salwadorze polega na zewnętrznej interwencji w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa... Nic ponad to i nic mniej”. Prezydent Reagan, mając w pamięci sukcesy komunistów osiągane w połowie lat 70., ostrzegł: „Jeżeli pozwolimy Rosjanom, by przy wykorzystaniu sandinistów założyli przyczółki na amerykańskim kontynencie dla rozszerzenia swej wywrotowej działalności [...], to możemy rozejrzeć się któregoś dnia i zobaczyć łańcuch proradzieckich dyktatur w Ameryce Środkowej i zagrożenie dla naszych południowych granic”.

Aby nie dopuścić to ziszczenia się tego scenariusza, Biały Dom postanowił

skierować spore kwoty pieniędzy na pomoc militarną dla Salwadoru. Uznano, że rozwiązanie tam poważnych kwestii gospodarczo-społecznych będzie możliwe dopiero po zwycięstwie militarnym nad rewolucjonistami. Dyslokowano amerykańskich żołnierzy m.in. z jednostek specjalnych Zielonych Beretów, którzy mieli pełnić funkcję instruktorów szkoleniowych.

Dla administracji prezydenckiej ważną kwestią stała się sprawa likwidacji szwadronów śmierci oraz zwiększenia kontroli nad dowódcami wojskowymi w zakresie stosowanych przez nich represji. Okazało się, że nie będzie to łatwe, bo nawet wyszkolony przez Amerykanów batalion „Alacatl” dokonał w grudniu 1981 r. zbrodni na 767 mieszkańcach kilku salwadorskich wsi. Sądzone, że reputację rządzącej junty poprawią w Kongresie USA zorganizowane w 1982 r. wybory. Jednak pomimo zwycięstwa PDC większość parlamentarną zdobyły partie prawicowe. Naturalnym kandydatem na urząd prezydenta stał się zatem D'Aubuisson, przywódca Narodowego Sojuszu Republikańskiego (ARENA).

Ronald Reagan doskonale rozumiał, że objęcie tej funkcji przez byłego majora wywiadu wiązać się będzie z zablokowaniem przez Kongres pomocy dla Salwadoru. Stąd na skutek presji Waszyngtonu prezydentem został mianowany bezbarwny, pozbawiony charyzmy polityk Álvaro Magna. Jego rządy zakończyły się w 1984 r., kiedy to funkcję głowy państwa objął otwarcie popierany przez Amerykanów Duarte.

A pomoc amerykańska zaczęła przynosić wymierne efekty. Dobrze wyposażona i wyszkolona armia salwadorska miała coraz lepsze wyniki w walkach z FLMN, a działalność szwadronów śmierci zaczęła wygasać. Ustabilizowanie sytuacji militarnej pozwoliło rządowi na kontynuowanie zaplanowanych reform społeczno-gospodarczych. Po wyborach w roku 1984 zmieniły się także priorytety w pomocy kierowanej przez reaganowską administrację. Stopniowo zaczęto zmniejszać kwoty na pomoc militarną z 161 mln dol. w 1984 r. do 81,5 mln w 1988 r. przy równoczesnym zwiększaniu środków na pomoc ekonomiczną, która osiągnęła zawrotną kwotę 460 mln dol. w 1987 r. Dzięki determina-



Ronald Reagan

FOT. U.S. CONGRESSIONAL ARCHIVES

cji prezydenta Reagana radykalnej lewicy nie udało się zdobyć władzy, a tocząca się wojna zakończyła się porozumieniem zawartym przez obie strony konfliktu w Meksyku w 1992 r.

Nikaragua

Od lipca 1979 r. władzę w tym kraju przejął Sandinowski Front Wyzwolenia Narodowego (FSLN), będący konglomeratem różnorodnych radykalnych i umiarkowanych lewicowych ugrupowań politycznych. Wewnętrzna rywalizację w FSLN wygrali marksiści i to oni wyznaczyli kierunki zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej polityki państwa. W efekcie Nikaragua przystąpiła do bloku państw komunistycznych. Obok ZSRS władze z Managui nawiązały szczególnie bliskie relacje z Kubą Castro.

Biały Dom obawiał się, że sukces sandinistów będzie stanowił inspirujący przykład dla innych ruchów rewolucyjnych w Ameryce Środkowej i Ameryce Łacińskiej. Podsekretarz do spraw polityki w Departamencie Obrony, Fred Ilke, mówił bez ogródek: „Powinniśmy zapobiec podziałowi Ameryki Środkowej na dwie strefy, jedną powiązaną ze Związkiem Radzieckim, drugą ze Stanami Zjednoczonymi. Taki podział prowadziłby niewątpliwie do konfrontacji zbrojnej, która mogłaby trwać lata”.

Administracja prezydenta Reagana rozpoczęła tajną wojnę z sandinistowską Nikaragą. 17 listopada 1982 r. Reagan podpisał dyrektywę NSSD 17 dającą możliwość wspierania tamtejszej zbrojnej opozycji antykomunistycznej. Pierwszym krokiem miało być utworzenie 500-osobowego oddziału contras (contrarevolucionario), na co zdecydowano się wyasygnować 19 mln dol. Patronat nad całą operacją objęła Centralna Agencja Wywiadowcza CIA. Szkolenie antysandinistowskich bojowników odbywało się na terytorium sąsiadującego z Nikaragą Hondurasu.

Wcześniej, 11 lipca 1982 r., podczas spotkania w Gwatemali czołowych liderów opozycji wywodzących się głównie ze środowisk somozi-stowskich, zdecydowano o utworzeniu Nikaraguańskich Sił Demokratycznych (FDN). Dowódcą contras

został były pułkownik Gwardii Narodowej Enrique Bermúdez. Szkoleniem antykomunistycznych partyzantów zajęli się oficerowie argentyńscy, przywódca junty gen. Roberto Viola i adm. Leopoldo Galtieri, zgodzili się bowiem na współuczestnictwo Argentyny w dziele zwalczania ruchów rewolucyjnych na kontynencie środkowoamerykańskim. Konflikt o Falklandy w marcu 1982 r., gdy Waszyngton poparł zdecydowanie Londyn, doprowadził do ochłodzenia stosunków i wycofania się Argentyny ze współpracy z USA.

Poprawka senatora Edwarda Bolanda (1983) ograniczała możliwość militarnego wsparcia dla contras, a kolejna poprawka w 1984 r., po głośnej akcji minowania portów nikaraguańskich przez CIA, praktycznie ją uniemożliwiła. Prezydent tłumaczył: „Nie możemy nie dotrzymać słowa danego tym, którzy ryzykują swoje życie, od Afganistanu po Nikaragę, by przeciwstawić się wspieranej przez ZSRS agresji [...], wspieranie bojowników o wolność jest samoobroną”.

Blokada ze strony Kongresu skłoniła administrację do poszukiwania alternatywnych źródeł finansowania contras. Dlatego zdecydowano się na nielegalną sprzedaż broni do objętego embargiem Iranu, a zyski z tego procederu przekazywano nikaraguańskim antykomunistom. Doszło do tzw. afery Iran-contras, której skutki dotknęły wielu urzędników reaganowskiej administracji. Pomoc USA dla contras ostatecznie zmusiła jednak władze sandinistowskie do wyrażenia zgody na przeprowadzenie wolnych wyborów, które wyniosły do władzy kandydatkę opozycji Violetę Chamorro.

Afganistan

Kiedy Ronald Reagan wstępował na urząd prezydenta, minął ponad rok od momentu inwazji ZSRS na Afganistan. Jeszcze za czasów prezydentury Cartera USA zaangażowały się we

■ wsparcie afgańskiej zbrojnej opozycji. Od momentu nastania reaganowskiej administracji wysiłki te wielokrotnie, by wkroczenie Sowietów do Afganistanu wykorzystać do osłabienia ZSRS. Antykomunistyczny ruch oporu był głęboko podzielony na różne nierzadko zwalczające się plemienne frakcje. Kluczowym elementem w tej sprawie była pomoc ze strony rządzącego Pakistanem gen. Muhammada Zia ul-Haq. Utworzono wiele obozów szkoleniowych dla mudżahedinów, a pakistański wywiad ISI wzięło na siebie dystrybucję broni dostarczanej przez USA i Chiny. Kierowano ją głównie do islamskich fundamentalistów, co budziło uzasadnioną irytację Amerykanów.

Początkowo ze składów izraelskich i egipskich dostarczano tylko broń pochodzenia sowieckiego. Po ogłoszeniu w 1985 r. przez prezydenta Reagana polityki otwartego wspierania „bojowników wolności”, czyli antykomunistycznej partyzantki, amerykańskiego pochodzenia broni nie ukrywano. W szkoleniu mudżahedinów poza CIA uczestniczyli także wywiad brytyjski MI6 oraz żołnierze brytyjskich sił specjalnych SAS. Już w marcu 1981 r. szef CIA William Casey przedłożył prezydentowi Reaganowi plany operacji wsparcia afgańskich partyzantów. W Arabii Saudyjskiej Casey spotkał się z królem oraz szefem wywiadu księciem Turkiem Al-Faisalem. Saudyjczycy zgodzili się wyasygnować pewne sumy pieniędzy na wsparcie afgańskiego ruchu oporu.

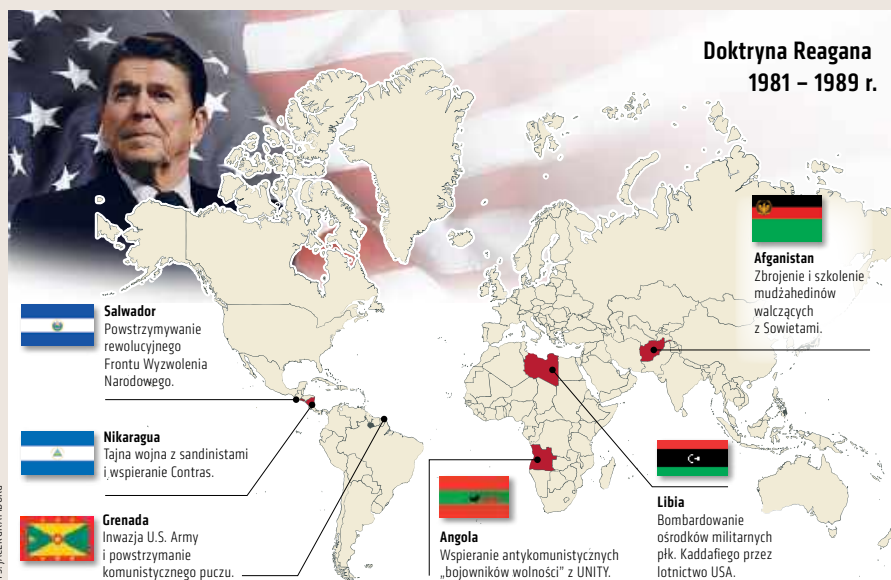
W roku 1985 prezydent Reagan podpisał dyrektywę zezwalającą na przekazywanie wszelkiej broni dla afgańskich rebeliantów. Mudżahedinom umożliwiono korzystanie z nowoczesnych pocisków ziemia-powietrze typu Stinger. Stanowiło to istotny przełom w wojnie, bo Stingery skończyły czas bezapelacyjnego sowieckiego panowania w powietrzu. Rosnące straty, brak istotnych sukcesów w walce z afgańskim ruchem oporu, a także pogłębiająca się zapaść gospodarcza ZSRS skłoniły przywódców sowieckich do wycofania się z Afganistanu. Nastąpiło to w lutym 1989 r. Był to kolejny sukces polityki Ronalda Reagana.

Grenada

Grenada to mała wyspa na wschodnich Karaibach. W 1979 r. ugrupowanie lewicowe, noszące nazwę Nowy Ruch Jewel, przejęło w drodze zamachu stanu władzę nad wysepką. Powstał Ludowy Rząd Rewolucyjny z Maurice'em Bishopem jako premierem na czele. Nowe władze zapowiedziały przeprowadzenie wielu radykalnych reform społecznych. Krokiem, który wpłynął na pogorszenie relacji Grenady z Waszyngtonem, był zwrot dokonany w polityce zagranicznej i nawiązanie bliskich kontaktów z ZSRS i innymi państwami obozu socjalistycznego, w tym z Kubą Fidela Castro. Hawana przysłała na wyspę sporą liczbę inżynierów, którzy rozpoczęli tam pracę

m.in. przy budowie lotniska, co – jak podejrzewali Amerykanie – miało także podtekst militarny. Charakterystyczna była też postawa Grenady w ONZ, kiedy to przedstawiciel tego kraju wraz z delegatem Kuby głosował w styczniu 1980 r. przeciwko rezolucji potępiającej sowiecką interwencję w Afganistanie.

Niezadowolony Biały Dom z sytuacji na Grenadzie pogłębiło się po dokonaniu 13 października 1983 r. zamachu stanu. Dotychczasowy premier został wraz z kilkoma współpracownikami zabity, a władzę objęła Rewolucyjna Rada Wojskowa z Hudsonem Austinem na czele. Wojskowy przewrót kół skrajnie lewicowych skłonił prezydenta Reagana do zerwania z polityką nieinterwencji, realizowaną przez USA od czasu zakończenia wojny w Wietnamie, i wydania dyspozycji przeprowadzenia operacji „Urgent Fury”, czyli lądowania na Grenadzie. 25 października 1983 r. o godz. 5 rozpoczęła się inwazja 7 tys. Amerykanów i 300 żołnierzy wojsk sojuszniczych z państw wschodniokaraibskich. Główną siłę uderzeniową stanowiły oddziały 75. Pułku 82. Dywizji Powietrznodesantowej oraz 8. pułku z 2. Dywizji Piechoty Morskiej wspierane przez siły specjalne. Walki po kilku dniach wygasły. Przewaga techniczna i militarna sił inwazyjnych była przynajmniej. Zginęło 19 żołnierzy US Army, a 116 odniosło rany. Poległo także 25 Kubańczyków oraz 40 cywili. Marsz Grenady ku socjalizmowi został przerwany.



Libia

Jedną z bardziej spektakularnych akcji, do których doszło w czasie prezydentury Reagana, był przeprowadzony 15 października 1986 r. nalot na Libię. Od 1969 r., czyli od przejęcia władzy przez Muammara Kaddafiego, Libia uczestniczyła w destabilizowaniu sytuacji w różnych częściach świata. Trypolis udzielał poparcia najbardziej radykalnym a walczącym z Izraelem palestyńskim ugrupowaniom terrorystycznym, sponsorując ponadto również terrorystów z niemieckiego RAF (Frakcja Czerwonej Armii), baskijskiej ETA i irlandzkiej IRA. Te posunięcia spowodowały, że Libia znalazła się na liście państw uważanych przez administrację Reagana za głównych wrogów USA. Napięcie między rządem Kaddafiego

a Waszyngtonem osiągnęło punkt krytyczny w momencie, gdy Kadafi zaangażował libijskie służby specjalne w działania terrorystyczne w Europie Zachodniej.

5 kwietnia 1986 r. agenci libijscy dokonali zamachu bombowego na nocny klub La Belle w Berlinie Zachodnim. W jego wyniku śmierć poniosły trzy osoby, w tym Amerykanin, a 229 zostało rannych. W odpowiedzi na polecenie prezydenta Reagana przygotowano operację powietrzną ukrytą pod kryptonimem El Dorado Canyon. Jej celem było zbombardowanie wyznaczonych w Libii celów militarnych. W misji wzięło udział 45 samolotów głównie F-111 i A-6 Intruder. Bombardowanie rozpoczęło o godz. 2 w dniu 15 października 1986 r. Podczas nalotu zaatakowano: koszary Bab al-Azizia, port lotniczy Mitiga, obóz szkoleniowy Murat Sidi Bilal oraz koszary i port lotniczy w Bengazi. Zginęło 45 żołnierzy i urzędników oraz ok. 30 cywili. Amerykanie stracili jeden samolot. Akcja w Libii była ostatnią dużą



Amerykańscy żołnierze w trakcie interwencji na Grenadzie. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

operacją militarną zarządzoną podczas zimnej wojny przez prezydenta Reagana.

Angola

Reaganowska administracja wsparła też angolańską partyzantkę antykomunistyczną spod znaku Narodowego Związku na rzecz Całkowitego Wyzwolenia Angoli (UNITA), struktury kierowanej przez Jonasa Savimbiego. Działalność UNITA rozpoczęła jeszcze w latach 60., w okresie istnienia portugalskiego imperium kolonialnego. Po jego rozpadzie, kiedy Angola znalazła się w ogniu wojny domowej, Savimbi wspierany przez

władze RPA podjął próbę przejścia władzy. Pomimo poniesionej na początku 1976 r. porażki tkwił w oporze przeciwko reżimowi komunistycznemu. Początek lat 80. przyniósł znaczną intensyfikację konfliktu angolańskiego. Z jednej strony wpływ na to miały coraz większe sukcesy militarne UNIT-y oraz, co

było ich konsekwencją, zwiększenie sowieckiej pomocy wojskowej dla rządu w Luandzie, z drugiej wzrost liczebności kubańskiego kontyngentu wojskowego. Zwycięstwa UNIT-y skupiły na niej uwagę Waszyngtonu. I tak Savimbi został jednym z beneficjentów ogłoszonej przez Reagana 6 lutego 1985 r. doktryny wspierania wszędzie, gdzie to możliwe, antykomunistycznych „bojowników wolności”. Przywódcę UNIT-y zaproszono do Białego Domu. Zakończenie zimnej wojny nie doprowadziło jednak do zakończenia walk w Angoli. Trwały one jeszcze wiele lat. W ich trakcie zginął 22 lutego 2002 r. angolański antykomunistyczny bohater Jonas Savimbi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



SOSZKA

*Trup w pudełku
i centralny obóz aborcyjny.
Tragiczny los polskich
robotników przymusowych
w Trzeciej Rzeszy*

WYDAWNICTWO **m**

ZAMÓW: tel. 12 259 00 03 · kom. 721 521 521 · www.wydawnictwom.pl



1983 r.

/ Strategic Defense Initiative – SDI

Prawdziwe „Gwiezdne wojny”

Dane statystyczne mówiły same za siebie. Sowieci budowali średnio co tydzień trzy głowice jądrowe do swoich rakiet średniego zasięgu. Amerykanie ani jednej. W latach 1974–1982 USA wyprodukowały 27 łodzi podwodnych, podczas gdy ZSRS zwodował ich 61. US Air Force wzbogaciło się w tym okresie o 3050 samolotów bojowych, ale Sowieci zbudowali ich dwa razy więcej. Bardzo źle wyglądała też sytuacja z pojazdami opancerzonymi. US Army



Piotr Włoczyk

/ Inicjatywa Obrony Strategicznej w kosmosie miała być kolejnym sposobem na doprowadzenie Sowietów do bankructwa

otrzymała w latach 1974–1982 aż 11 200 maszyn tego typu, podczas gdy na wyposażenie Armii Czerwonej trafiło w tym okresie 54 500 takich pojazdów. Prezentując te dane, Ronald

Reagan wyraźnie zaznaczył, że minęły już czasy, kiedy sowieckie uzbrojenie było marnej jakości i nie trzeba się było zanadto martwić większą produkcją u przeciwnika.

„– Ktoś może zapytać, czy Sowieci użyją swojej potęgi wojskowej? A czy możemy zakładać, że nie użyją jej? Mamy przykład Afganistanu czy Polski, gdzie odbierają ludziom wolność i pokazują, że ich wojsko może być użyte także do zastraszania – powiedział Reagan w swoim słynnym telewizyjnym orędziu z 23 marca 1983 r. – Faktem jest, że Sowieci uzbrajają się w broń, którą można uznać jedynie za ofensywną. Budują dużo więcej rakiet międzykontynentalnych, niż potrzebowałoby do zwykłego odstraszania. Ich siły konwencjonalne są ćwiczone i wyposażane nie do odparcia ataku, tylko do przeprowadzenia ofensywy z zaskoczenia”.

Trwające pół godziny przemówienie przeszło do historii jako komunikacyjny majstersztyk. Reagan tłumaczył Amerykanom, że armia USA jest mocno zaniebdana, podczas gdy przeciwnik rośnie w siłę. Dlatego konieczne jest znaczne powiększenie budżetu obronnego. Ameryki nie stać na tanie siły zbrojne, jeżeli ma zapewnić pokój na świecie. Szczególnie jeden wykres mógł robić wrażenie. W połowie lat 50. niemal połowa budżetu USA była wydawana na zbrojenia, a na wydatki socjalne przeznaczano ok. 20 proc. Gdy Reagan obejmował urząd w 1981 r., proporcje były już odwrócone. W latach 70. jego poprzednicy stawiali raczej na odprężenie w stosunkach z Moskwą i nie zależało im na braniu udziału w wyścigu zbrojeń. Ameryka stopniowo się rozbrajała, podczas gdy ZSRS rósł w siłę.

„– Niestety dekada zaniedbywania naszego wojska postawiła pod znakiem zapytania naszą zdolność do utrzymania pokoju. Kiedy objąłem urząd w styczniu 1981 r., byłem zdumiony tym, co zastałem. Amerykańskie samoloty, które nie mogły latać, amerykańskie okręty, które nie mogły pełnić służby na morzach z powodu braku części zamiennych i personelu. Brak paliwa i amunicji do prowadzenia ćwiczeń. [...] Było oczywiście, że musimy rozpocząć program modernizacyjny, by móc w przyszłości odstraszать potencjalnych agresorów i utrzymywać pokój”.

W ciągu dwóch pierwszych lat swojej prezydentury Reagan zwiększył wydatki na obronność z 23 do 28 proc. budżetu. Prezydent mówił, że konieczne będzie dalsze zwiększanie finansowania Pentagonu, szczególnie w sytuacji, gdy znaczna część raketowego arsenału atomowego

jest już mocno przestarzała. Większość przemówienia Reagan poświęcił na przekonywanie Amerykanów, by nie wierzyli tym, którzy mówią, że trzeba ograniczać wydatki na siły zbrojne. Kilka zdań, które zelektryzowały całą Amerykę, zostawił na sam koniec.

Reagan stwierdził, że mimo iż do tej pory strategia atomowego odstraszania mocarstw (MAD – Mutual Assured Destruction, czyli Wzajemne Gwarantowane Zniszczenie) wydaje się działać, to czas przestać opierać bezpieczeństwo NATO jedynie na tym elemencie.

„– Czy nie lepiej ratować życie, niż mścić je? [...] Podzielę się z państwem wizją przyszłości, która daje nadzieję. Rozpoczynamy program, który zniweluje olbrzymie zagrożenie ze strony sowieckich rakiet za pomocą środków, które są natury obronnej – mówił Reagan. – Jeżeli wolni ludzie mogliby żyć bezpiecznie, wiedząc, że ich bezpieczeństwo nie opiera się na natychmiastowej odpowiedzi USA, by odstraszać Sowieców, ale na tym, że moglibyśmy przechwytywać i niszczyć pociski nuklearne dalekiego zasięgu, zanim znajdą się nad naszym terytorium lub terytorium naszych sojuszników?”.

W ten sposób Ronald Reagan ogłosił, że Waszyngton rozpoczyna Inicjatywę Obrony Strategicznej (Strategic Defense Initiative – SDI), program, który następnego dnia został okrzyknięty przez media „Gwieздnymi wojnami” (miliony Amerykanów czekały właśnie na premierę VI części „Gwieздnych wojen”).

„Straszenie komuchami”

Sowieci nie byli zaskoczeni przemówieniem Reagana. Sekretarz Stanu George Shultz z wyprzedzeniem wręczył wieloletniemu sowieckiemu ambasadorowi w Waszyngtonie Anatolijowi Dobryninowi treść przemówienia

prezydenta USA. Shultz wspominał, że powiedział sowieckiemu dyplomacie, iż inicjatywa Reagana ma służyć wzmocnieniu stabilności, ale Dobrynin, po przeczytaniu tekstu, odpowiedział sucho: „Otwieracie nowy rozdział wyścigu zbrojeń”.

Reagan wyraźnie zaznaczył w przemówieniu, że zdaje sobie sprawę, iż SDI jest wyjątkowo ambitnym projektem, który może nie zostać ukończony nawet do końca stulecia. Część amerykańskich polityków, szczególnie z Partii Demokratycznej, zupełnie wprost mówiła w tym kontekście o wyrzuceniu pieniędzy w błoto.

Senator Ted Kennedy powiedział dzień później, że inicjatywa prezydenta to „element taktyki straszenia komuchami i w ogóle niepoważny program rodem z »Gwieздnych wojen«”. Kennedy najwyraźniej uważał jeszcze wtedy, że porównania do „Gwieздnych wojen” stawiają cały program w niepoważnym świetle.

Przyszłość pokazała, że było to bardzo błędne założenie.

Nie tylko jednak demokraci byli mocno sceptyczni wobec planów Reagana. Podsekretarz stanu Lawrence Eagleburger powiedział po ogłoszeniu programu SDI: „Prezydent wydaje się proponować nowoczesną wersję Linii Maginota”.

Alexander Haig, który w latach 1981–1982 był sekretarzem stanu w administracji Reagana, wspominał, że większość współpracowników prezydenta nie miała

pojęcia, o co dokładnie chodzi. „Wiem, co się działo następnego dnia w Pentagonie, gdzie wszyscy dopytywali się rozgorączkowani: »Czym, do cholery, jest strategiczna obrona?«”.

Najciekawsze jest to, że sam Reagan miał dosyć mgliste wyobrażenie na temat SDI. W 1984 r. amerykański prezydent napisał: „Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak konkretnie miało by to wyglądać. Ja po prostu poprosiłem naszych naukowców, by zbadali, czy istnieje możliwość budowy takiego systemu obronnego”. Mimo że Ameryka



Okładka tygodnika „Time” z czasów debaty nad budżetem obrony w 1983 r. FOT. ARCHIWUM

■ 14 lat wcześniej wysłała człowieka na Księżyc, stworzenie takiego systemu obronnego siłą rzeczy musiało się wydawać kosmicznie trudne. System laserów umieszczonych na Ziemi i w Kosmosie wraz z wyrzutniami pocisków kinetycznych, które miały udaremnić atak rakietowy ZSRS, faktycznie brzmiały jak wyjęte ze scenariusza filmu science fiction.

Wyobrażenie Amerykanów na temat tego programu ukształtowała przygotowana przez rząd – trzeba przyznać, że świetna jak na tamte czasy – animacja pokazująca, jak kolejne warstwy obronne zatrzymują sowieckie rakiety lecące w kierunku USA.

W przeciwieństwie do swoich poprzedników Reagan nie bał się konfrontacji z Moskwą. Kilka nacięć dni przed orędziem o SDI określił ZSRS mianem „imperium zła”, co również było nawiązaniem do kinowego hitu George’a Lucasa. Reagan już od jakiegoś czasu rozumiał, że wpędzenie komunistów w tak zaawansowany technologicznie wyścig zbrojeń może im tylko zaszkodzić. „Dlaczego nie mielibyśmy tak napierać na Sowieców, aż ci po prostu zbankrutują?” – spytał w 1982 r., kilka miesięcy przed ogłoszeniem SDI, podczas spotkania Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

„Chcą nas wyczerpać”

Również w USA pojawiały się głosy, że inicjatywa Reagana jest sprzeczna z podpisanym w 1972 r. traktatem ABM zabraniającym rozwoju, testowania i rozmieszczania systemów antybalistycznych, ale Biały Dom utrzymywał, że w SDI chodzi tylko o badania koncepcyjne, a nie wdrażanie gotowego systemu bojowego. W każdym razie Sowieci połknęli haczyk i zaczęli inwestować w badania nad komunistyczną wersją „Gwiezdných wojen”.

Efektom był m.in. prototyp statku kosmicznego Polyus, który miał zestrzeliwać na orbicie elementy systemu SDI. Próba wysłania go w Kosmos okazała się jednak jedną wielką kompromitacją.



Amerykański pocisk antyrakietowy ERINT

FOT. WIKIPEDIA

Na zebraniu politbiura w marcu 1986 r., trzy lata po orędziu Reagana, Gorbaczow powiedział:

„Może jednak powinniśmy się przestać bać tego całego SDI! Oczywiście nie możemy być obojętni wobec tego niebezpiecznego programu. Ale jeżeli Amerykanie uważają, że ZSRS się boi SDI... Dlatego wywierają na nas taką presję – chcą nas wyczerpać”.

To granie na „wyczerpanie” wychodziło Amerykanom coraz lepiej. Druga połowa lat 80. stanowiła okres konsekwentnego osuwania się ZSRS w gospodarczą przepaść. Tragiczny stan budżetu państwa zmusił w końcu Gorbaczowa do podjęcia negocjacji z Reaganem na temat stopniowego rozbrojenia. Moskwa pilnie musiała przerzucić pieniądze z wydatków obronnych na wydatki społeczne. „Gwiezdne wojny” były dla Amerykanów doskonałym argumentem w negocjacjach.

Gorbaczow wciąż wracał do tego tematu, domagając się od Reagana zaprzestania prac nad systemem, który mógł w przyszłości kompletnie zmienić układ sił. Amerykański prezydent do samego końca twierdził jednak, że być może w przyszłości kolejny amerykański prezydent będzie mógł podzielić się gotowym systemem „Gwiezdných wojen”, by w ten sposób sprawić, że używanie broni

atomowej przestanie mieć sens. Jak podkreślał w swoich wspomnieniach Gorbaczow, ten argument wywoływał u niego wściekłość, skoro doskonale wiedział, że Amerykanie nie chcą się dzielić z ZSRS nawet technologią naftową.

Rozwijanie koncepcji SDI kosztowało amerykańskich podatników ok. 30 mld dol. Ewidentnie jednak nie uważali tego za pieniądze wyrzucone w błoto, skoro badanie Instytutu Gallupa z 1985 r. pokazywało, że 61 proc. respondentów uważa prace nad tym programem za dobry pomysł.

Prace nad SDI zakończone zostały wraz z rozpadem ZSRS. Tak skomplikowany system obronny, który miałby zatrzymać tysiące rakiet przeciwnika, był wówczas pieśnią bardzo dalekiej przyszłości, ale amerykańskiej armii udało się jednak wówczas dokonać dużych postępów w pracach nad bronią laserową, a także nad przeciwrakietami. Efekt

postępu technologicznego osiągniętego dzięki SDI będziemy mogli oglądać niedługo na własnym podwórku, gdy Amerykanie oddadzą w końcu do użytku bazę w Redzikowie.

Historia „Gwiezdných wojen”, będących w istocie rodzajem straszaka na Sowieców i kartą przetargową w negocjacjach z nimi, pokazuje, jak różnymi metodami Ronald Reagan dążył do rzucenia ZSRS na kolana.

– Prezydent Reagan mawiał, że skuteczna dyplomacja jest tylko cieniem rzucanym przez prawdziwą potęgę wojskową. Źródłem jego sukcesów w dyplomacji było to, że zbudował potężną machinę odstraszącą i nie obawiał się jej użyć – mówił w rozmowie ze mną John Lehman, sekretarz marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych w latach 1981–1987. – Warto przypomnieć, że w czasach Reagana po raz pierwszy od wielu lat US Navy przewodziła innym marynarkom krajów NATO podczas ćwiczeń na Morzu Norweskim i na Bałtyku, by dobitnie pokazać Sowiecom, że jeżeli zaatakują nas na lądzie, to NATO będzie mogło odpowiedzieć uderzeniem z morza, na którym nie ma sobie równych. Tak jak to pokazała zimna wojna, pokój wygrywa się potężnymi siłami zbrojnymi. Ta zasada wciąż obowiązuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**start 11.11
o godz. 18:00**



#Przystanek Książka. Wydawnictwo IPN przedstawia...

Zapraszamy do oglądania nowego internetowego programu poświęconego książkom Instytutu Pamięci Narodowej.

Program ma formę magazynu, w którym będą przedstawiane nowości wydawnicze, rozmowy z autorami, opinie, recenzje i najciekawsze zapowiedzi.

**Emisja w środy o godz. 18:00 na Facebooku/ipngovpl,
IPNtv i portalu przystanekhistoria.pl**



Grupa miłośników koncepcji Władysława Studnickiego dokonała renowacji jego nagrobka w Londynie

Szacunek dla grobów przodków buduje przyszłość i dumę kolejnych pokoleń. W tej postawie jesteśmy bardzo różni od Anglosasów, którzy pamięć o przodkach kultywują w oderwaniu od materialnego symbolu pochówku. Nagrobki w Wielkiej Brytanii rzadko są restaurowane, a cmentarze wyglądają mrocznie, gdyż większość niepolerowanych kamiennych nagrobków jest zniszczona i porośnięta mchem.

Właśnie takim mrocznym, klasycznym angielskim cmentarzem, z wieloma zapadłymi celtyckimi krzyżami, jest londyński cmentarz Saint Mary's Catholic Cemetery, w dzielnicy Kensal Green. Tam w 1953 r. spoczął Władysław Studnicki. Jego grób przykryto prostą płytą z wyrytym smukłym krzyżem i czarnym, wykonanym z ołowiu napisem.

**ŚP.
WŁADYSŁAW STUDNICKI
1867–1953**

Grób ten jest bardzo symboliczny. Oddaje skromność Studnickiego i jego bezinteresowne poświęcenie dla sprawy, a tą sprawą przez całe jego życie była niepodległa Polska.

Oglądając nagrobek Studnickiego w ostatnich latach, nikt nie podejrzewał, że został on wykonany ze szlachetnego kamienia – z marmuru. Czarno-szaro-zielony kolor będący mieszaniną pleśni, wilgoci i londyńskiego smogu z pobliskich fabryk sprawił, że kamień wyglądał jak betonowa płyta. Podmokły teren wokół grobu potęgował smutny widok i ten ogromny dysonans między wielkością zasług zmarłego a opłakanym stanem nagrobka. Obraz ten był bodźcem do podjęcia przez nas decyzji o renowacji pomnika.

Przystępując do zadania, w pierwszej kolejności stanęliśmy przed decyzją o wyborze wykonawcy. Zdecydowaliśmy się na firmę Milestone Memorials zrzeszoną w cechu



Grób Władysława Studnickiego przed renowacją i po jej zakończeniu FOT. BARTOSZ PIASECKI



Grób Studnickiego

Member of National Association of Memorial Masons – NAMM. Doświadczeni fachowcy prowadzący tę firmę znali metody, którymi nagrobek został wykonany w pierwotnym kształcie, co gwarantowało, że będą oni w stanie przywrócić mu oryginalny wygląd przy wykorzystaniu tradycyjnych technik. Płyta nagrobna została wyszlifowana aż do pierwotnego koloru, co odkryło piękne żyły i przebarwienia marmuru. Ponadto płytę podniesiono i ustawiono na wyższym postumencie, aby nie była zalewana w czasie deszczy.

Następnie przystąpiono do renowacji liter. Po pierwotnych liniach zostały głębiej wyryte nowe litery przy zachowaniu identycznego wzoru czcionki. Następnie w nowo wyryte otwory wkuto ołów. Jest to metoda stosowana w Anglii, gdzie ołów jest popularnym metalem wykorzystywanym przy pracach kamieniarskich. Ołów, który wypełnił

zagłębienia liter, został ścięty i wyszlifowany tak, aby zlewał się w gładką powierzchnię z kamieniem. Smukły krzyż w centralnej części nagrobka został pogłębiony tym samym kształtem dłuta i pozostawiony bez wypełnienia, tak jak w pierwotnym projekcie nagrobka.

Opisany sposób wykonania renowacji gwarantuje jego trwałość. Napis nie zatrze się ani nie odpadnie, a płyta przy corocznej konserwacji będzie przez wiele lat najjaśniejszym punktem pośród innych nagrobków na cmentarzu Saint Mary's. Po renowacji kamień nagrobny Studnickiego jest jednym z tych, które na tle zapuszczonych angielskich grobów widoczne są z daleka.

Serdeczne podziękowania należą się inicjatorom i darczyńcom renowacji nagrobka Władysława Studnickiego. Pani Agacie Supińskiej oraz panom Sławomirowi Cenckiewiczowi, Janowi Sadkiewiczowi i Piotrowi Zychowiczowi. Mamy nadzieję, że nasze działanie w postaci odnowienia nagrobka tego wielkiego polskiego myśliciela, który całe swoje życie poświęcił walce o wolną Polskę, będzie zaledwie początkiem drogi przywracania pamięci o Władysławie Studnickim i jego koncepcjach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bartosz Piasecki



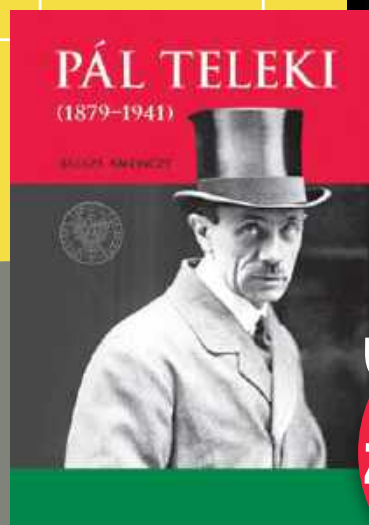
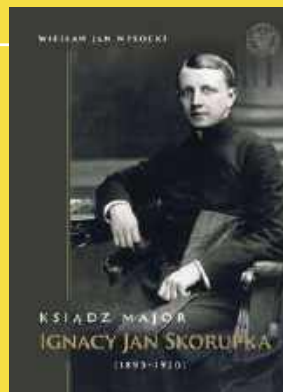
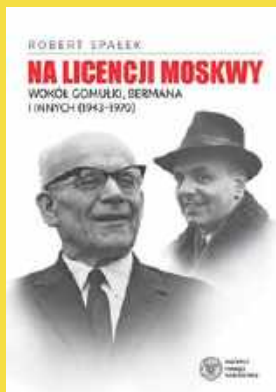
**O ŻYCIU I KONCEPCJACH
STUDNICKIEGO
PRZECZYTAJĄ PAŃSTWO
W KSIĄŻCE
PIOTRA ZYCHOWICZA
„GERMANOFIL”**

I Wirtualny Kiermasz Książki IPN

30 listopada – 6 grudnia 2020

Zapraszamy do udziału w I Wirtualnym Kiermaszu Książki IPN.

Czekają na Państwa **nowości, bestsellery, książki, albumy, komiksy, gry**



Jak wziąć udział w kiermaszu?

**W dniach 30 listopada – 6 grudnia
wejdź na ipn.poczytaj.pl**

Do zobaczenia!

**wszystko
z 30%
rabatem!**



Antyk / Legendy i prawda

Johann Georg Platzer
„Thalestris, królowa
Amazonek w obozie
Aleksandra Wielkiego”

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Mit Amazonek



Jakub Ostromecki

/ Ludem, u którego najczęściej można było spotkać zbrojne niewiasty, byli przodkowie Sarmatów

Termodont płynący przez zielone równiny anatolijskiego Pontu. Zbocza Kaukazu schodzące ku Morzu Czarnemu. Czy może libijska półpustynia? Każdy z antycznych pisarzy miał inną teorię na temat kraju pochodzenia Amazonek. Owe mityczne kobiety, zależnie od tłumaczenia „wrogie mężom” lub „równe mężom”, słynęły z waleczności rzadko spotykanej u innych ludów. Nigdy nie prosiły o pokój, za to same chętnie najeżdżały sąsiadów. Wzdrygały się przed zamążpójściem dopóty, dopóki wcześniej nie zabiły wroga w walce – w innym przypadku pozostawały dziewicami aż do śmierci.

Małym chłopcom – i tu autorzy znów się różnią – albo wyłupywały oczy lub

ich koślawiły, aby tylko nie dopuścić mężczyzn do walki; potrzebni oni byli jedynie do prokreacji. Panowała u nich absolutna ginajokracja. W kilku innych wersjach mitu Amazonki zawierały raz na jakiś czas pokój z jednym z sąsiednich plemion, aby parzyć się po nocy w zarosłach z losowo dobranymi mężczyznami. Po tych osobliwych godach plemiona się rozchodziły, a potomstwo zostawało oczywiście z Amazonkami.

Aleksandryjczyk Dionizjos Skytobrachion dorzucił do owych fantastycznych wyobrażeń opis zwyczaju systematycznego tłamszenia czy miażdżenia piersi, aby nie przeszkadzały w strzelaniu z łuku. Późniejsi autorzy przerobili ów rytuał na już bardziej krwawą amputację. Amazonki ubierały się w skóry, piły mleko kłaczy. Walczyły konno, najchętniej używając łuku i oszczepu.

Najśłynniejsza „etnogeneza” Amazonek znajduje się u Herodota. Pewnego razu wojownicze kobiety zostały pochwycone przez greckich żeglarzy, ale na morzu ich zabiły. Dryfowały potem miesiącami, aż wyładowały w stepach na północ od Morza Czarnego. Tam napotkały Scytów. Ci kazali swoim młodzieńcom śledzić wędrujące wojowniczkę, nie prowokując ich jednak do walki. Tak

doszło do zbliżenia między nimi, co miało dać początek ludowi Sauromatów.

Z Amazonkami potykało się wielu mitycznych bohaterów. Bellerofont w czasie najtrudniejszej ze swoich samobójczych misji zleconych przez króla anatolijskiej Likii musiał pokonać Heroiny. Podobne zadanie dostał Herakles. Arktinos z Miletu, dodając swoje opowieści do „Cyklu trojańskiego”, opisał starcie Achillesa z królową wojowniczek Pantezyleją, do którego doszło pod murami Troi. Bohaterowie starli się konno, Achilles ranił swoją przeciwniczkę włócznią w pierś, a drugim ciosem przebił ją wraz z jej rumakiem. Heros i będąca już w agonii Amazonka zakochali się jednak w sobie, co Mikołaj z Myry skwitował słowami: „W Achillesie widzącym ją odartą ze zbroi odżyły i pożądanie, i natura. Spełnił więc obowiązek wobec każdej z płci: wobec zmierzającego walczyć męża i kobiety zdradzającej pożądanie. Pokochał więc kobietę, którą zabił, gdy walczyła jak mężczyzna”.

Im więcej Grecy podróżowali, im bardziej poznawali Anatolię, wybrzeża Morza Czarnego i Śródziemnego, tym częściej okazywało się, że w odwiedzanych przez nich krainach po Amazonkach nie ma śladu i nikt tam o nich nie słyszał.

Z jakiegoś powodu kolejne pokolenia helleńskich pisarzy nie zrezygnowały jednak z powielania tudzież uzupełniania owego mitu. Trzeba było jedynie przesunąć hipotetyczne siedziby wojowniczek coraz dalej poza granice greckiej ekumeny. W ten sposób wojownicze kobiety odnalazły się już nie w górzystej Anatolii, ale w surowych stepach na północ od Jaksartesu, czyli dzisiejszej rzeki Syr-darii. Aleksander Wielki w czasie jednej ze swoich kampanii na rubieżach Imperium Perskiego miał spotkać się z królową Amazonek. Jak pisze Diodor Sycylijski: „Władca zapytał ją o powód przybycia. Odpowiedziała, że przyszła, aby począć z nim dziecko. Ponieważ on dzięki swym czynom jest najwspanialszym z mężczyzn, a ona wyróżnia się męstwem i dzielnością wśród kobiet”. Według legendy macedoński heros stanął jak zwykle na wysokości zadania i po 30 dniach uradowana wojownicza królowa powróciła brzemienna do swoich stepowych siedzib.

Wojownicze Sarmatki

Amazonki w wersji mitycznej nigdy nie istniały, co zresztą stwierdzało już wielu autorów starożytnych. Co nie znaczy, że Grecy, Macedończycy czy wileśet lat później Rzymianie nie mogli spotykać kobiet – konnych łuczniczek wśród swoich przeciwników. Walczyły one wspólnie z mężczyznami, tworzyły z nimi normalne rodziny i nie miały nic przeciwko temu, aby ich plemieniem zarządzili patriarchalni wodzowie. Fikcyjna opowieść o namiętnym spotkaniu Aleksandra z Amazonką nie bez powodu rozgrywa się na środkowoazjatyckim stepie.

W ostatnich latach archeolodzy przebadali jeszcze raz szkielety odkryte w kurhanach na terenie Ukrainy, południowej Rosji i Kazachstanu. Dobrym podsumowaniem owego wysiłku jest praca Anny Zielińskiej „Rola kobiety w plemionach koczowniczych, czyli w poszukiwaniu prawdziwych Amazonek”. Na podstawie cytowanych badań DNA okazało się, że część ciał pochowanych wraz z bronią w grobowcach należy do kobiet, czasem nawet 13-letnich dziewczynek. Samo pochowanie wraz z bronią nie musi jeszcze oznaczać, że dana niewiasta para-

ła się wojaczką. Archeolodzy są zgodni, że obyczaj grzebalne mówi więcej o żywych niż zmarłych, a broń może oznaczać również wysoką pozycję społeczną zmarłej.

Jednakowoż wiele z nich ma jednocześnie ślady typowo wojennych kontuzji. Kobiety te, jak to zwykle u koczowników, walczyły konno, jako głównej broni używając łuku. Taki sposób wojowania daje słabszym fizycznie jeźdźcom spore szanse, jeśli tylko uda się utrzymać przeciwnika na dystans. Sfeminizowanie pewnych rodzajów dawnych formacji wojskowych przed wynalezieniem prochu możemy obserwować przecież i dziś w czasie pokazów grup rekonstrukcyjnych. To, że wśród współczesnych odtwórców konnych łuczników znajdujemy dużo więcej kobiet niż wśród kopijników czy piechoty, nie jest jedynie nawiązaniem do stepowych realiów, ale wynika z określonych predyspozycji psychofizycznych.

Ludem, u którego najczęściej można było spotkać zbrojne niewiasty, byli Sauromaci, których początki zmitologizował Herodot. Kulturowo przypominali oni Scytów. Ich pierwotne siedziby znajdowały się w VI w. p.n.e. w lasostepach pomiędzy Wołgą a Uralem. W III w. p.n.e. pojawili się nad Morzem Czarnym i od tego momentu w historiografii zwie się ich, już bardziej swojsko, Sarmatami. Z badań przeprowadzonych w ich pierwszej ojczyźnie, na cmentarzyskach na terenie Kazachstanu i Rosji, wynika, że 75 proc. Sauromatek trudniło się tradycyjnymi kobiecymi zajęciami, 7 proc. było kapłankami, a aż 18 proc. wojowniczkami. Kości tych kobiet mają ślady po uderzeniach grotów strzał, kończyny zaś są

zdeformowane od długich godzin czy nawet dni spędzonych w siodle. Oczywiście proporcje wśród mężczyzn wyglądają zgoła inaczej – tutaj zdecydowana większość trudniła się wojaczką.

W III w. p.n.e. Sauromaci ruszyli ku Morzu Czarnemu. Ich kobiety, jak wynika to z odkrytych pochówków, porzuciły wówczas łuki. Wśród pochowanych wciąż znajdujemy przywódczynię i kapłanki, ale bardzo mało wojowniczek. Są dwie przyczyny tego zjawiska. Po pierwsze, Sarmaci – bo tak ich już zwiemy – stworzyli wielkie związki plemienne. Ich przetrwanie nie wymagało już mobilizacji wszystkich sprawnych fizycznie członków grupy, włącznie z pewną częścią kobiet – tak jak to było nad Wołgą

wśród mniejszych autonomicznych szczepów.

Po drugie, arystokracja sarmacka przywdziała wtedy zbroje łuskowe, kupując je lub rabując w Persji, a które po upływie 1,5 tys. lat nazwano u nas z włoska karacenami. Tak na stepie pojawili się katafrakci – ciężkozbrojni jeźdźcy. Ich sposób walki na bliski dystans, z użyciem trzymanej w dwóch rękach długiej włóczni, wymagał większej mocy i wytrzymałości mięśniowej.

Co należało do Sauromatek w czasie działań wojennych? „Naturalnym obowiązkiem kobiet wojowniczek było sprawowanie pieczy nad jurta w czasie nieobecności mężczyzn. Musiały pilnować bydła, opiekować się domem, bronić się przed obcymi i oczywiście polować” – pisze Anna Zielińska. Na stepie wojna, a jeszcze częściej grabież są stanem endemicznym, a więc okazji do wykazania się w walce z rabusiami koni i bydła nie brakowało.

Kobiecie groby z bronią znajdowano też u Scytów, choć w zdecydo-



Amazonka. Kopia rzeźby Fidiasza. Głowa – oryginał dłuta Polikteta

FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Otto van Veen „Amazonki i Scytowie”

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

wanie mniejszej liczbie niż u Sarmatów. „Możemy z całą pewnością stwierdzić, że te kobiety były konnymi wojowniczkami” – stwierdził prof. Walery Gułajew. W kolanie jednej z kobiet tkwił wszak grot strzały. Rosyjski archeolog stwierdził jednak, że podobnie jak w przypadku Sauromatów owe scytyjskie wojowniczkę były strażniczkami obozów, mienia i stad bydła w czasie, gdy mężczyźni udawali się na dłuższe wyprawy wojenne.

Powróćmy jeszcze do stepowych epei Aleksandra Wielkiego. Rzeczywiście potykał się z Sakami – bliskim krewnym Scytów. Zwyciężył ich nad rzeką Jaksartes w 329 r. p.n.e., co ważne, na terenie, który koczownicy uznawali za swój. Opisy tej bitwy nie wspominają, aby wśród poległych wojowników znajdowały się kobiety, a tak niecodzienne z greckiego punktu widzenia zdarzenie na pewno byłoby odnotowane. Musiały zatem stanowić odwód lub tylną straż stepowego ugrupowania.

Falanga nie dla kobiet

Konne łuczniczki występują podczas wojen Rzymu z władcą hellenistycznego Pontu Mitrydatesem VI, toczonych w Azji Mniejszej i wokół Morza Czarnego pomiędzy 88 a 63 r. p.n.e. Pod koniec owych zmagani zwycięską kampanię przeciw niemu prowadził Pompejusz Wielki. W pościgu za armią, składającą się z Greków, Persów, ze Scytów i z ludów kaukaskich, dotarł w 65 r. aż do równin, na których dziś leżą Gruzja i Azerbejdżan. Tutaj nad rzeką Abas (dziś Alazani)

złapał w pułapkę jazdę Albanów – co ważne, na ich własnym terenie. Starcie to było majstersztykiem sztuki wojennej i przypominało słynne Kanny. Rzymska jazda najpierw udała, że pierzcha przed Albanami, ściągając ich wprost pomiędzy rozstępujące się czworoboki piechoty, po czym zawróciła i uderzyła na wroga od tyłu. Dokonała się straszliwa rzeź kaukaskich jeźdźców. Ci, którzy wyrwali się z oblężenia, schowali się w pobliskiej kniei. Rzymski historyk Appian tak opisuje finał tej bitwy: „Pompejusz obstawiał wokół gęstwinę wojskiem i następnie ją podpalił, a tych, co usiłowali się wymknąć, ścigał, dopóki wszyscy nie dostawili zakładników i darów. Prowadził ich też później w triumfie [...]”. Pomiedzy jeńcami i zakładnikami znalazło się wiele kobiet, które odniosły nie mniejsze rany aniżeli mężczyźni”.

Żyjący nieco wcześniej Plutarch stwierdzał jednak bardziej powściągliwie: „W bitwie tej walczyły, jak podają, po stronie tubylców także Amazonki. Bo Rzymianie, ściągając po bitwie broje z przeciwnika, natrafili na amazońskie tarcze i koturny. Ale ciała kobiecego nie dostrzeżono”.

Bywało też tak, że konne łuczniczki występowały na antycznych polach bitew w momencie przemieszczania się całej hordy, np. podczas wielkiej wędrówki ludów. Najlepiej obrazuje tę kwestię Prokopiusz z Cezarei, porównując prawdziwe i ubaśniowane Amazonki: „Mnie samemu najbardziej zgodnie z prawdą wydają się mówić ci, którzy twierdzili, że nigdy nie istniało plemię męźnych kobiet, które na pewnej górze kaukaskiej sprzeniewierzyły swoje prawa ludzkiej naturze. Sądzę, że to raczej barbarzyń-

cy mieszkający w tych właśnie krajach wyprawili się na Azję [chodzi o Anatolię – przyp. J.O.] z wielkim wojskiem i zabrali także swoje kobiety. [...] Oprócz kobiet Hunów, walczących wspólnie ze swoimi mężczyznami, nie widziano żadnego innego kobiecego wojska ani w Azji, ani w Europie. Nie słyszeliśmy też o tym, jakoby góry Kaukazu miały być opuszczone przez mężczyzn”.

Kobieta mogła zatem wykazać się wśród koczowników, trudno byłoby ją jednak znaleźć w antycznej falandze i legionie, czyli armiach ludów osiadłych. Było jednak kilka poleis greckich, które w swojej historii zanotowały udział kobiet w walce. Najczęściej zdarzało się to w czasie oblężeń, gdy wroga armia wdzierła się do miasta, a obrońcy na murach w większości polegali. Wówczas kobiety wraz z niewolnikami wspinały się na dachy domów i raziły napastników kamieniami – kilka razy udało się w ten sposób obronić miasto, tak jak w czasie ataku Tebańczyków na Plateje w czasie wojny peloponeskiej. Najslawniejsza miotaczka kamieni, w zasadzie dachówek, to oczywiście anonimowa Argijka, która – widząc swojego syna walczącego z królem Pyrrusem – rzuciła z dachu zaimprowizowanym pociskiem w słynnego wodza, powodując u niego poważny uraz kręgosłupa. Sparaliżowany Pyrrus został potem dobity przez wrażego hoplitę z armii macedońskiej.

Hellenki można było kilkakrotnie spotkać przywdziane w pancerze i dzierzące hoplony (tarcze) i włócznie. Ponownie zasłynęły z tego Argijki, broniąc murów polis, gdy zabrakło już ich mężów, braci i ojców. W na poły mitycznej bitwie Tegeańczyków (Tebańczyków) ze Spartanami na polu bitwy miały nagle pojawić się Tegeanki pod wodzą Choירו. Posiłki te miały spowodować klęskę Spartan. Generalnie jednak Grecy twierdzili, że przydatność kobiet w falandze jest wątpliwa. Arystoteles pisał w „Polityce”, że „powodują one więcej zamieszania niż wróg”. Podobnego zdania był Platon, który jednakowoż chciał zmienić ów stan rzeczy. W „Prawach” pisał, że kobiety również powinny podlegać treningowi wojskowemu, aby pomagać w czasie oblężeń. O ile zatem stepowe wojowniczkę mogły stawić czoło męźczyznom dzięki koniom i łukom, o tyle w Helladzie – dzięki murom miejskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

MECENAS

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNERZY



Rozmowa / Z brytyjskim historykiem Tonym Boothem



rozmawia Piotr Zychowicz

Trumna dla 99 osób



Ratunek był blisko, ale decydenci
woleli ocalić okręt niż ludzi...

FOT. BENTLEY ARCHIVE/POPPERFOTO/ GETTY IMAGES

W 1939 r. u wybrzeży Wielkiej Brytanii zatonął okręt podwodny. Rutynowa akcja ratunkowa zamieniła się w horror

PIOTR ZYCHOWICZ: Czy HMS „Thetis” był najbardziej niefortunnym okrętem marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości?

TONY BOOTH: Bez wątplenia. W całej podwodnej flocie wojennej Wielkiej Brytanii nie było drugiej takiej jednostki. Ten okręt poszedł na dno dwa razy! To nie zdarza się często.

„Thetis” był okrętem klasy T. W swojej książce „Thetis Down” nazywa go pan „podwodnym dziełem sztuki”. To miała być supernowoczesna maszyna wojenna. As w militarnej talii Wielkiej Brytanii. Tymczasem od samego początku okręt sprawiał kłopoty.

I to jakie! Podczas kolejnych testów wychodziły usterki i wręcz zdumiewające błędy konstrukcyjne oraz montażowe. Wystarczy powiedzieć, że z jakiegoś powodu układ sterowniczy został zamontowany odwrotnie! Kapitan dał sygnał skrętu na prawą burtę, a „Thetis” zaczął płynąć z powrotem do portu. Innym razem pękł przewód i całe stanowisko dowodzenia zostało zalane smarami. W Anglii mówimy na to doomed ship. Statek skazany na śmierć. Pływające nieszczęście.

Przejdźmy do wielkiego dramatu. 1 czerwca 1939 r. „Thetis” wypłynął na Zatokę Liverpoolską. To miała być ostatnia próba. Próba generalna, po której okręt miał zostać przekazany marynarce wojennej. Dlaczego na pokładzie były aż 103 osoby?

Oprócz 52-osobowej załogi kierowanej przez kmdr. ppor. Guya Bolusa okrętem płynął zespół techników i inżynierów z firmy stoczniowej Cammell Laird z Birkenhead. A także oficerowie marynarki, którzy popłynęli sobie na przejażdżkę nowym okrętem podwodnym. Na pokładzie nigdy nie powinno znaleźć się tyle osób.

Kiedy zaczęły się problemy?

Około godz. 14, gdy załoga próbowała dokonać pierwszego zanurzenia. Cała procedura powinna trwać 60 sekund. Tymczasem mijały kolejne minuty,

maszyny wyły i nic się nie działo. Do zbiorników balastowych wpłynęła woda, której ciężar miał spowodować zanurzenie. Niestety – „Thetis” cały czas pozostawał na powierzchni.

Co się stało, że w okęcie nagle pojawiła się woda?

W części dziobowej znajdowały się wyrzutnie rakiet. Jeden z oficerów – por. Frederick Woods – miał sprawdzić, czy nie ma w nich wody. Tuba numer 5 była otwarta i zalana wodą, ale kurek testowy wskazywał, że jest zamknięta i sucha. Woods niczego się nie spodziewał i otworzył wewnętrzne drzwi tuby. Natychmiast do środka wdarły się olbrzymie masy wody morskiej.

Dużo?

Bardzo dużo! To było tak jak na „Titanicu” w 1912 r. Gdyby woda zalała pierwsze cztery przedziały tego kolesa, nie spowodowałoby to zatopienia. Jednak w momencie, gdy zalała piąty, „Titanica” nic nie mogło już uratować. W przypadku „Thetis” wystarczyło, żeby woda dostała się do drugiego przedziału, żeby okręt zaczął iść na dno. Dziobem w dół. Aż osiadł na dnie 46 metrów pod powierzchnią. Najgorsze było to, że woda zalała akumulatory, co wytworzyło kwaśny gaz – dwutlenek węgla, który był śmiertelnie niebezpieczny dla załogi.

Nie było żadnej śluz, drzwi między przedziałami, które można byłoby szybko zamknąć?

Były, ale zamknięto jest zbyt późno. Wypływało to ze zbyt skomplikowanej konstrukcji tych drzwi. Kolejny błąd konstrukcyjny. To był cały łańcuch ludzkich błędów i usterek technicznych, który doprowadził do katastrofy. W momencie, gdy „Thetis” znalazł się na dnie, jedyną nadzieją na uratowanie okrętu było odpompowanie wody. Do tego potrzebna była jednak pomoc z zewnątrz.

Jaka była reakcja załogi?

Początkowo starano się zachować spokój. Oficerowie wiedzieli, że są w pobliżu wybrzeża Wielkiej Brytanii i wkrótce rozpocznie się operacja ratunkowa. Na wypadek, gdyby dwutlenek węgla osiągnął takie natężenie, że zagroziłby życiu załogi, planowali wyprowadzić ją poza statek za pomocą komory ewakuacyjnej, w którą wyposażony był „Thetis”. Na razie jednak spokojnie czekali na odsiecz.

Co działo się w tym czasie ponad powierzchnią?

Admiralicja i służby ratunkowe wykazały się wręcz zdumiewającą niekompetencją i safandulowością. Skierowany na miejsce katastrofy niszczyciel „Brazen” zrzucił do wody niewielkie ładunki wybuchowe i w ten sposób – dzięki efektowi echa – zlokalizował miejsce, w którym na dnie leżał „Thetis”. Problem w tym, że nastąpiło to dopiero 20 godzin po zanurzeniu. Skutki działania gazu były coraz bardziej dotkliwe. Ludziom stłoczonym pod pokładem kręciło się w głowie, wymiotowali. Komandor Bolus podjął wówczas decyzję o ewakuacji.

Jak działała komora ewakuacyjna?

Była to wąska tuba, do której wchodziły dwie osoby. Każdy wyposażony był w urządzenie do podwodnej ucieczki Davisa (DSEA). Na oczach gogle, na nosie klips. W ustach rura z powietrzem, a na piersiach kamizelka wypornościowa wypełniona gazem. Ludzie wchodziłi do komory i zamykano za nimi drzwi. Następnie komora była zalewana wodą morską. Chodziło o wyrównanie ciśnienia. W momencie, gdy komora była pełna, jeden z dwóch ludzi siedzących w środku otwierał drzwi na zewnątrz. Kamizelka wypełniała się powietrzem i ciągnęła człowieka w górę. Po chwili był na powierzchni.

Taka była teoria.

Tak. W praktyce wszystko poszło nie tak. Decyzja o ewakuacji została podjęta zbyt późno. Ludzie byli zdenerwowani, zmęczeni, czuli potworne skutki działania gazu. W efekcie na zewnątrz udało się wydostać tylko dwóm parom. Uratowanymi szczęśliwcami byli: Frederick Woods, Harry Oram, Walter Arnold i Frank Shaw. W trakcie ewakuacji doszło do straszhwej tragedii.

To jedna z najbardziej przerażających historii, o jakich słyszałem...

Rzeczywiście, ciarki przechodzą po plecach. Dowódcy „Thetis” obliczyli, że nie ma szans na ewakuację całej załogi, zanim dwutlenek węgla nie zabije wszystkich na pokładzie. Było za mało czasu. Zalanie komory wodą, a potem jej odsączenie to długotrwały proces. W efekcie podjęto fatalną decyzję o ewakuowaniu ludzi czwórkami. A komora była przecież zaprojektowana na dwie osoby...

Fatalny pomysł.

Proszę sobie to wyobrazić. Jest pan wciśnięty w wąską tubę z trzema innymi mężczyznami. Macie na sobie gogle, zestawy ratunkowe. W tym kontenerze panują całkowite, nieprzeniknione ciemności. Totalna czerń. Zamykają się ciężkie drzwi i czuje pan, jak zalewa pana lodowata woda. Stopy, nogi, pas, piersi. Mężczyźni zamknięci w tubie nie wytrzymali tego psychicznie. Gdy próba otwarcia drzwi się nie powiodła, wpadli w straszną, zwierzęcą panikę. Zaczęli uderzać się nawzajem głowami. Zdzierać z siebie aparaty, wyrwali sobie rury z tlenem. Gryźli się, kopali, miotali w tubie jak oszalali. Łomotali w ściany. Z pułapki nie było jednak wyjścia. Gdy pozostali w środku marynarze w końcu otworzyli tubę, znaleźli trzy martwe, utopione ciała. Na ich twarzach widać było obłęd i przedśmiertelne przerażenie. Czwarty mężczyzna dogorywał.

Dlaczego zrezygnowano z kolejnych prób ewakuacji?

Nie zrezygnowano! Po tym, gdy dwóm parom udało się wydostać na powierzchnię, kolejni marynarze próbowali się wydostać. Podejmowano próbę po próbie. Drzwi na zewnątrz się jednak zacięły! W efekcie uchylały się tylko trochę. Przerażeni marynarze wściekle uderzali w skobel, mogli wystawić dłonie w zbawcze morze. Ale nic więcej. Drzwi komory nie ustępowały na tyle, żeby przecisnąć się przez nie człowiek. Ocalenie było tak blisko... a jednocześnie tak daleko.

Makabra.

Tak, to był koszmar na jawie. Jednocześnie na wybrzeżu zebrał się olbrzymi tłum bliskich. Członków rodzin i przyjaciół uwięzionych marynarzy oraz techników. Żony, matki, siostry, dzieci. W napięciu, we łzach czekali na wieści. Gdy nadeszła wiadomość, że okrętom ratunkowym udało się znaleźć „Thetis”, ludzie ci odczuli wielką ulgę. Zaczęli wiwatować, rzucali się sobie w ramiona. Byli pewni, że specjaliści z marynarki wojennej uratują ich ukochanych.

Jak przebiegała ta „akcja ratunkowa”?

Nad zatopionym „Thetis” stało 18 statków ratunkowych. Skoro zacięła się komora, ratunek mógł przyjść tylko z zewnątrz. Dziób „Thetis” był zalany i ciężki



HMS „Thetis” wrócił do służby pod nową nazwą „Thunderbolt”

FOT. DOMENA PUBLICZNA

w dół, ale załódze udało się podnieść rufę na tyle, że wynurzyła się z wody. Wystawała ponad powierzchnię na ok. 5,5 metra. Wówczas ekipy ratownicze przemocowały rufę stalową liną do jednego ze statków. Mijały bezcenne godziny, zatrucie gazem załogi było coraz bardziej zabójcze, okręt dryfował pod ostrym kątem, co sprawiało, że sytuacja uwięzionych w nim ludzi była jeszcze bardziej tragiczna. Zaczynali konać. Kierujący akcją ratunkową nie wiedzieli jednak, co zrobić. Nie byli w stanie zdecydować się na działanie.

Przecież w tym momencie oni wszyscy byli już uratowani! Wystarczyło za pomocą palnika wyciąć dziurę w burcie okrętu i wyprowadzić ich na zewnątrz. Całych i zdrowych.

To samo uważali marynarze z załogi „Thetis”. Gdy udało im się wynurzyć rufę, w każdej chwili spodziewali się ocalenia. Nie rozumieli, co się dzieje, dlaczego to tyle trwa. Nurkowie, którzy pływali wokół „Thetis”, słyszeli, że uwięzieni desperacko uderzają od środka w kadłub. Dają znać, że jeszcze żyją. Błagają o pomoc. Stukania te z czasem robiły się coraz słabsze... „Thetis” nieubłaganie zamieniał się w trumnę dla 99 osób. Na oczach znajdujących się na górze „ratowników”, którzy stali z założonymi rękami.

To niepojęte.

Gdy wreszcie na miejsce sprowadzono Thomasa McKenziego – nurka, najlepszego cywilnego eksperta od morskich operacji ratunkowych – było już za późno. Prąd morski zaczął znosić „Thetis”. Stalowa lina się zerwała. Okręt ponownie szedł na dno... To był koniec. Wszyscy zginęli. Od czasu zanurzenia upłynęło blisko... 50 godzin. McKenzie do końca życia był rozczulony i wściekły. Gdy zeznawał przed komisją mającą wyjaśnić

okoliczności tragedii, powiedział, że wszystkich znajdujących się na pokładzie „Thetis” można było ocalić. Wszystkich.

Jak?

Najpierw należało wywiercić w kadłubie niewielką dziurę, przez którą trzeba było wypompować zatrute powietrze i wpompować świeże. I w ten sposób dostarczyć załodze beczennego tlenu. To pozwoliłoby zyskać na czasie. Następnie służby ratunkowe mogłyby wyciąć palnikiem otwór, przez który po kolei wydobyto by na zewnątrz załogę „Thetis”. Czasu na to było dość. Służby ratunkowe przez cały czas miały pod ręką niezbędny sprzęt. Tej całej strasliwej tragedii można było więc uniknąć.

Skoro to było takie proste, dlaczego tego nie zrobiono?

To jest pytanie, które nurtowało wszystkich. Podczas pisania książki natknąłem się na szokujący dokument. Raport sekretarza premiera sir Johna Ruperta Colvilla. Napisano w nim wprost, że służby ratownicze dostały wyraźny rozkaz z Admiralicji – pod żadnym pozorem nie wolno wam naruszyć konstrukcji statku. Żadnego wiercenia, żadnego cięcia. Pancierz „Thetis” nie może uciepieć. Rozmawiałem z wnukiem Thomasa McKenziego. Zdradził mi, że jego dziadek do końca życia nie mógł się pogodzić, że Admiralicja wydała taką decyzję. Uważał to za zbrodnię.

Ale dlaczego tak postanowiono?! Przecież to nieludzkie.

Dlatego, że ten okręt kosztował bardzo, bardzo dużo pieniędzy. Jakikolwiek naruszenie kadłuba oznaczałoby zaś, że możliwości bojowe „Thetis” zostałyby znacznie osłabione. Podczas zanurzania okręt wojenny poddawany jest olbrzy-



TONY BOOTH

„THETIS DOWN: THE SLOW DEATH OF A SUBMARINE”

PEN & SWORD

miemu ciśnieniu. Podczas walki pękają wokół niego pociski głębinowe. Gdyby kadłub miał słaby punkt, mógłby pęknąć i okręt poszedłby na dno. Utracono by ważną jednostkę.

Admiralicja uznała więc, że okręt podwodny jest cenniejszy niż życie stu ludzi.

Tak. Dokładnie tak. Był 1 czerwca 1939 r. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wojna z III Rzeszą jest tylko kwestią czasu. Admiralicja uważała, że do walki z Kriegsmarine potrzebny będzie każdy okręt podwodny. Szczególnie tak potężny jak „Thetis”. Aby ratować maszynę, poświęcono ludzi. Muszę przyznać, że kiedy przeczytałem raport sir Colvilla, byłem zszokowany.

Może ta decyzja była uzasadniona?

Skądże! 99 ludzi, którzy zginęli na pokładzie „Thetis”, to byli najlepsi specjaliści w swoich dziedzinach pracujący w Wielkiej Brytanii. Mieli olbrzymie doświadczenie, ich wykształcenie i wyszkolenie kosztowało również bardzo dużo pieniędzy. Gdyby ich uratowano, inżynierowie i technicy zbudowałiby kolejne okręty podwodne. A oficerowie i marynarze walczyliby na ich pokładach z Niemcami. Zmarnowano ludzki kapitał, który był cenniejszy niż sam statek. Ta decyzja była więc nie tylko bezwzględna i niemoralna, lecz także nieracjonalna.

Kto konkretnie ją podjął?

Z dokumentów wynika, że bez wątpienia premier Neville Chamberlain o niej wiedział. Zakładam jednak, że była to decyzja Admiralicji. Dowództwa marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości. Mimo że mamy rok 2020, nie wszystkie dokumenty dotyczące tragedii „Thetis” zostały odtajnione. Nietrudno się domyślić, dlaczego tak jest. Przez wiele lat marynarka wojenna odmawiała składania wyjaśnień, zasłaniając się „bezpieczeństwem państwa”. Stanowczo zaprzeczała, że świadomie poświęcono załogę „Thetis”. Wszystkie podobne przypuszczenia ośmieszała, nazywając je „teoriami spiskowymi”. Okazało się, że teoria spiskowa jest prawdą. Zatoniecie „Thetis” było największą katastrofą w dziejach Royal Navy w czasach pokoju. Można jej było uniknąć.

Czy rodziny dostały jakąś rekompensatę finansową od Korony?

Poruszona tragedią ludność Liverpoolu zebrała 1 tys. funtów dla bliskich ofiar katastrofy. Król się dorzucił do tej zbiórki i przeznaczył na nią... 50 funtów. Tak, to była obraza dla członków rodzin. Trudno o tym mówić.

Co się stało z „Thetis”?

Został podniesiony z dna. Zajęło to ok. trzech miesięcy. Gdy nurkowie weszli na pokład, znaleźli w środku pływające ciała. To był koszmar. Wyglądało to jak jakieś makabryczne Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud. Ciała były napuchnięte. W strzępach mundurów. Niektórzy marynarze się do siebie przytulali, najwyraźniej próbowali się pocieszać w ostatnich sekundach życia. Nurkowie byli wstrząśnięci. Wydobycie tych rozkładających się ciał było horrorem.

Jak zginęli członkowie załogi „Thetis”?

Część skonała w męczarniach, dusząc się dwutlenkiem węgla, reszta zginęła, gdy do okrętu wdarła się woda przez otwartą komorę ewakuacyjną i doszło do dekompresji. To skróciło ich cierpienia. Wszyscy umierali w ciemnościach, bo akumulatory wysiadły. Do końca mieli nadzieję na ratunek, bo słyszeli uderzenia młotkiem w kadłub. Jeden z członków ekipy ratunkowej dawał w ten sposób znać, że pomoc nadchodzi... Straszliwa śmierć. Wie pan, od kiedy napisałem tę książkę, sporo myślę o tych ludziach.

Jakie były dalsze losy „Thetis”?

Okręt przeszedł remont w stoczni i wrócił do służby jako HMS „Thunderbolt”. Walczył z Niemcami i Włochami na terenie Morza Śródziemnego. Odbił wiele udanych patroli. Zatopił wiele nieprzyjacielskich statków. 12 marca 1943 r. „Thunderbolt” ostrzelał włoski konwój w pobliżu Sycylii. W pościg rzuciła się za nim korweta „Cicogna”. Jej doświadczony kapitan, były podwodniak Augusto Migliorini, wiedział, że prędzej czy później okręt musi się wynurzyć. Zabawa w kotka i myszkę trwała dwa dni. Gdy 14 marca „Thunderbolt” się wynurzył, włoski kapitan obłożył go ponad 20 bombami głębinowymi.

Trafił?

Tak. Okręt został trafiony, a woda wokół niego dosłownie się zagotowała. Na pokładzie w wyniku eksplozji zapewne wybuchł pożar i część załogi spłonęła żywcem. Wszędzie fruwały oderwane fragmenty zmiażdżonej konstrukcji. Światła nadal się paliły, silniki działały, ale zniszczony okręt nieubłaganie szedł na dno. Prawie kilometr w dół...

Ilu ludzi tym razem zginęło?

Sześćdziesięciu dwóch. Zmiażdżenie okrętu przez pociski spowodowało, że w środku wytworzyło się straszliwe ciśnienie. Jeżeli zgniecie pan puszkę, to zgniecie pan również powietrze, które znajduje się w środku. Ciała marynarzy na pokładzie „Thunderbolta” były więc dosłownie rozrywane na strzępy. Trudno sobie wyobrazić, przez co przeszli ci ludzie w ostatnich sekundach życia. To była śmierć szybsza niż w przypadku załogi „Thetis”, ale bez wątpienia bardziej brutalna.

Po przeczytaniu pańskiej książki nigdy nie wsiadę na pokład okrętu podwodnego.

Rozumiem pana znakomicie. Ja – kiedy pisałem książkę – musiałem wejść do takiego okrętu, ale na szczęście stał w doku. Nigdy nie zgodziłbym się na udział w podwodnym rejsie. Myśl o tym, że płyńie się w tej ciasnej, ciemnej przestrzeni, głęboko pod wodą... i nagle coś idzie nie tak... Tak jak wtedy na „Thetis”... Gdy dojdzie do katastrofy zwykłego statku, człowiek zawsze ma szansę na ocalenie. Może wskoczyć do szalupy lub czekać w wodzie na statki ratunkowe. Gdy jednak umiera okręt podwodny, załoga umiera razem z nim. Powoli. Na dnie oceanu. W ciszy, ciemności i zimnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. NICO BOOTH

Tony Booth

jest brytyjskim historykiem i byłym marynarzem. Napisał wiele książek o wojnie na morzu, m.in. „Cox's Navy: Saving the German High Seas Fleet at Scapa Flow 1924–1931” oraz „Admiralty Salvage in Peace and War 1906–2006: Grope, Grub and Tremble”.



XX w. / Intrygująca



Księżna Daisy, czyli Maria Teresa Olivia Hochberg von Pless. Obok: Jan Henryk XV von Hochberg

FOT. WIKIPEDIA

historia rodziny Hochbergów

Skandal w Pszczynie



Sławomir Koper

/ Wspaniałe pałace, ogromny majątek i mroczne tajemnice pruskich arystokratów na Śląsku

Wprawdzie arystokracja zawsze uchodziła za kosmopolityczną warstwę społeczną, ale z reguły pamiętano o pochodzeniu rodów. Zmiany granic po pierwszej wojnie światowej spowodowały, że w granicach państwa polskiego znalazły się majątki rodzin o obcym pochodzeniu. Ich przedstawiciele przyjęli jednak polskie dokumenty i z reguły okazywali się lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej.

Jednym z takich rodów, który zresztą uległ częściowej polonizacji, byli Hochbergowie notowani na Śląsku od 1290 r.

W 1509 r. otrzymali w zastaw Książ (który później wykupili), a w 1846 r. odziedziczyli Pszczynę wraz z tytułem książęcym. Uchodzili za jeden z najznakomitszych (i najbogatszych) rodów europejskich, a podstawą ich majątku stała się eksploatacja dziewięciu śląskich kopalni węgla. Również do nich należał funkcjonujący do dziś słynny browar Książęcy w Tychach.

Tradycja rodzinna nakazywała Hochbergom (używali również nazwiska von Pless – od Pszczyny) nadawanie pierworodnym synom imion Jan Henryk (Hans Heinrich) i numerowanie ich w kolejności urodzin. W 1907 r. rodzinne dobra odziedziczył Jan Henryk XV, konserwatysta, przyjaciel cesarza Wilhelma II i zwolennik polityki pruskich junkrów. Sprzeciwiał się jednak działalności Haskaty w swoich majątkach, dokonał również wielu inwestycji przemysłowo-socjalnych (rozbudowa kopalni, rozwój kolonii pracowniczych). Jan Henryk miał prawdziwie arystokratyczny gest i nie zwykł się przejmować kosztami utrzymania książęcej rodziny czy sumami wydawanymi na organizację balów dla śmietanki arystokracji europejskiej. A ogromne

kwoty pochłonęła również przebudowa zamku w Książu.

O załamaniu finansowym Hochbergów zadecydowały pierwsza wojna światowa i upadek międzynarodowego handlu węglem. Książę wiązał jednak z wojną osobiste nadzieje, uchodząc za jednego z pretendentów do polskiej korony. Był bowiem potomkiem Piastów Śląskich (po rodzinie Promnitzów spokrewnionej z książętami legnickimi).

Upadek Hohenzollernów zmusił jednak księcia von Pless do zmiany poglądów. Stał się zwolennikiem samodzielnosci Śląska, zwerbował również i wyposażył kompanię ochotników, która pod dowództwem jego syna wzięła udział w walkach o Górę św. Anny (po stronie niemieckiej).

Granica ustalona przez mocarstwa podzieliła dobra Hochbergów: Pszczyna znalazła się po stronie polskiej, Książ – po niemieckiej. Jan Henryk XV przyjął polskie obywatelstwo, chętnie goszcząc w Pszczynie krajowych dostojników. Popierał jednak śląski ruch separatystyczny, stając się jednym z liderów mniejszości niemieckiej. Lata wielkiego

kryzysu pogłębiły trudności finansowe rodu, zaległości podatkowe narastały, ostatecznie stary książę w 1937 r. podpisał zrzeczenie się przywileju górniczego na ziemi pszczyńskiej. W efekcie Rzeczpospolita przejęła ponad 50 proc. dóbr książąt von Pless.

Stary Jan Henryk do końca życia czuł się Niemcem (zmarł w 1938 r.), natomiast jego dwaj starsi synowie walczyli podczas wojny przeciwko hitlerowcom: Jan Henryk XVII (to on dowodził ochotnikami pod Górą św. Anny) w brytyjskim lotnictwie, natomiast młodszy Aleksander, używając nazwiska Pszczyński, znalazł się w armii Andersa (brał udział w bitwie pod Monte Cassino). Najmłodszy z synów starego księcia, Konrad zwany Bolkiem, zmarł w tajemniczych okolicznościach w czerwcu 1936 r. Zgon nastąpił dwa miesiące po wypuszczeniu go przez gestapo z więzienia w Gliwicach (w jego sprawie interweniował u Ribbentropa polski ambasador w Berlinie).

Podejrzewano, że śmierć spowodowały brutalne przesłuchania, matka Bolka utrzymywała jednak, że powodem zgonu była białaczka. Na Śląsku szeptało o chorobie wenerycznej, co w pewien sposób potwierdził sam książę, nie dopuszczając do siebie lekarzy. Bolka pochowano w parku obok zamku, a na jego pogrzebie grano muzykę Chopina. Na losach rodziny Hochbergów oparte zostały znakiemity film Filipa Bajona „Magnat” i serial „Biała wizytówka” w gwiazdorskiej obsadzie (Jan Nowicki, Olgierd Łukasiewicz, Jan Englert, Bogusław Linda, Grażyna Szapołowska).

Zamek w Pszczynie

Pszczyna przypadła Hochbergom w połowie XIX w. jako spadek po książętach Anhalt-Köthen-Pless. Nowi właściciele przebudowali zamek, wkomponowując go w okoliczne założenie parkowo-krajobrazowe. Na polecenie księcia Jana Henryka XI powstała również zachowana do dziś monumentalna sala jadalna z dwoma kryształowymi lustrami o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych każde. Pszczyna stała się rezydencją godną królewskiego rodu, chociaż z komfortem domowników było różnie.

„Znajdowały się tu hektary tarasów i ogrodów – wspominała księżna Daisy, żona Jana Henryka XV – oraz wiele obojętnych rzeźb. Wspaniały porządek reprezentacyjnych przestrzeni z ciężkim bogactwem luksusu, ale bez komfortu i wygody, a nawet bez osobistej łazienki!”.

Podczas pierwszej wojny światowej zamek przez trzy lata był cesarską Główną Kwaterą i siedzibą sztabu niemieckiej armii. To właśnie w jego murach podejmowano najważniejsze decyzje, to tutaj rezydował Wilhelm II, marszałek Paul von Hindenburg i gen. Erich von Ludendorff.

W czasach II Rzeczypospolitej Hochbergowie chętnie gościli w murach rezydencji polskich notabli, ze szczególnym uwzględnieniem śląskich dostojników. W parkowym ogrodzie znaleźli również swój spoczynek (są pochowani tam po dziś dzień) Jan Henryk XV i jego najmłodszy syn Bolko. W innym miejscu ogrodu zachowała się nekropolia książąt Anhalt-Köthen-Pless.



Pszczyna jest ewenementem na ziemiach polskich, albowiem zachowało się tutaj kompletne wyposażenie zamku z czasów Hochbergów. Według relacji miejscowych przewodników dużo w tym zasługi sowieckiego oficera dowodzącego oddziałem Armii Czerwonej zajmującym miasto i zamek w lutym 1945 r. Osobnik ten w cywilu był historykiem sztuki i chociaż na zamku powstał tymczasowy szpital, to zadbał o nietykalność rezydencji. A kilku podwładnych usiłujących rabować polecił niezwłocznie rozstrzelać.

Wspomniane film i serial Filipa Bajona o rodzinie Hochbergów kręcono w oryginalnych plenerach pszczyńskiego zamku. Obraz zyskał na autentyczności, a w poszczególnych sekwencjach wykorzystano zachowane wyposażenie. Niezapomniane wrażenie zrobiła szczególnie

scena śniadania książęcej rodziny, kiedy to ugotowane jajka dostarczano na stół za pomocą miniaturowego, srebrnego modelu karety. Przedmiot ten można podziwiać na własne oczy (a jest co) w pszczyńskim muzeum zamkowym.

Księżna Daisy

Żona Jana Henryka XV, księżna Daisy, pochodziła z brytyjskiej arystokracji, naprawdę nazywała się Maria Teresa Olivia Hochberg von Pless. Wprawdzie pod koniec XIX w. czasy świetności finansowej jej rodziny należały już do przeszłości, ale szczytła się pochodzeniem sięgającym króla Anglii Henryka III Plantageneta panującego w latach 1216–1272. Nie brakowało jej też współczesnych koligacji; młodszy brat Daisy był drugim mężem matki Winstona Churchilla.

Wprawdzie Daisy nie miała pieniędzy, ale te posiadał nawet w nadmiarze jej narzeczony, a do tego robił wielką karierę na niemieckim dworze. Studiował w Berlinie, Bonn i Genewie, w 1883 r. otrzymał od cesarza Wilhelma I tytuł Fürst Fürstenberg, odbył służbę wojskową w pułku huzarów gwardii cesarskiej. Do tego krążył po świecie, specjalizując się w egzotycznych polowaniach; szczególnie rozpałały wyobraźnię jego myśliwskie wyprawy do Indii. Przyjaźnił się z następcą tronu (późniejszym cesarzem Wilhelmem II), wszedł też w skład niemieckiej służby dyplomatycznej i właśnie na placówce w Londynie poznał Daisy.

Angielka uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet epoki, a małżeństwo było doskonałym rozwiązaniem dla obu stron. Daisy zyskiwała w ten sposób dostęp do ogromnego majątku Hochbergów, natomiast Jan Henryk XV uznanie europejskiej arystokracji. Rody pruskie czy niemieckie były wówczas traktowane w eleganckim świecie z pewnym lekceważeniem, cesarstwo powstało dopiero w roku 1871, zatem jego przedstawicieli uznawano za parweniuszów wśród europejskiej arystokracji.

Ślub Hochberga i Daisy odbył się w grudniu 1891 r. w ulubionej świątyni angielskiej arystokracji, londyńskim kościele św. Małgorzaty w Westminsterze. Państwa młodych pobłogosławiła osobiście królowa Wiktoria (świadkami byli: książę Walii z żoną), co oznaczało



Pałac w Pszczynie FOT. HON5084/WIKIMEDIA COMMONS

■ przyjęcie Hochbergów do europejskiej elity.

Na świat przyszło trzech synów: Jan Henryk XVII, Aleksander i Konrad (Bolko), małżonkowie spędzali czas w sposób charakterystyczny dla ludzi swojej sfery. Odwiedzali różne zakątki świata, a Książ (Daisy nie przepadała za Pszczyną) stał się ulubionym miejscem imprez dla niemieckiej i europejskiej arystokracji. Często bywał tam cesarz Wilhelm II, a Jan Henryk po odziedziczeniu w 1907 r. tytułu książęcego po zmarłym ojcu stał się jedną z najzamożniejszych osób w Niemczech.

Cieszył się jednak znacznie mniej – szą popularnością od żony, która dużo czasu poświęcała pracy charytatywnej i społecznej. Dzięki jej zaangażowaniu otwarto w Wałbrzychu pierwszą szkołę specjalną dla niepełnosprawnych dzieci, księżna organizowała także pomoc dla ubogich rodzin, a co najważniejsze, potrafiła doprowadzić do budowy sprawnego systemu kanalizacyjnego w Wałbrzychu, dzięki czemu udało się zwalczyć powtarzające się w okolicy epidemie tyfusu.

Natomiast małżeństwo z Janem Henrykiem XV układało się coraz gorzej i z upływem czasu partnerzy nie mieli sobie już wiele do powiedzenia. Książę miał swoje romanse, Daisy angażowała się w nowe projekty (szeptano również o jej związku z Wilhelmem II), a ostateczny rozkład pożycia nastąpił podczas pierwszej wojny światowej. Hochberg w pełni popierał politykę niemiecką, a Daisy jako Angielka nie mogła pogodzić się z wojną pomiędzy oboma narodami. Niebawem po jej wybuchu rozpoczęła zresztą pracę jako siostra Czerwonego Krzyża i kontynuowała ją w różnych pociągach sanitarnych aż do końca konfliktu.

Rozwód małżonków orzeczono z winy księcia w grudniu 1922 r., Daisy zatrzymała tytuł książęcy, apanaż i prawo do utrzymywania niewielkiego dworu. W 1935 r. osiadła w Książu, gdzie zajmowała się głównie spisywaniem pamiętników, które zresztą osiągnęły ogromny sukces wydawniczy. Ostatnie lata spędziła w willi w Wałbrzychu, gdzie zmarła w grudniu 1943 r. Pochowano ją w rodzinnym mauzoleum Hochbergów w parku przy zamku, jednak trumnę ze szczątkami księżnej ukryto kilkanaście miesięcy później w obawie przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Do dziś jej nie odnaleziono, podobnie jak słynnego naszyjnika z pereł, który zawsze miała przy sobie. Sprawa ta wciąż budzi zainteresowanie poszukiwaczy skarbów. Motyw naszyjnika pojawił się też w kilku powieściach sensacyjnych.

Macocha i pasierb

To była jedna z największych sensacji towarzyskich w Europie. Jan Henryk XV, 73-letni książę Pszczyny, rozwiódł się ze swoją młodszą o 37 lat żoną, Klotyldą de Silva y Gonzales de Candamo, i polecił jej wyjść za mąż za swojego najmłodszego syna. Romans pomiędzy Konradem (Bolkiem) a macochą trwał już od kilku lat, prawdopodobnie to młody książę był ojcem najmłodszej córki Jana Henryka XV, Beatrice.

O skandalicznym związku od dawna plotkowała europejska prasa, książę pszczyński jednak zachowywał milczenie. Bez słowa płacił rachunki za wydatki żony i syna, dużo czasu spędzał w europejskich kurortach. Wreszcie miał już

dość – po urodzeniu kolejnego dziecka (zmarło w niemowlęctwie) uznał, że przyszła pora na zdecydowane działania. Wezwał do siebie wiarołomną parę i pod groźbą wydziedziczenia zażądał od Bolka poślubienia Klotyldy i uznania jej dzieci za własne. Bolko przystał na warunki ojca i niebawem po rozwodzie ojca ożenił się ze starszą o 10 lat macochą. Mieli zamieszkać w rodowej siedzibie w Monachium. Klotylda zdążyła urodzić Bolkowi jeszcze córkę i syna (Bolka Konstantyna von Pless, ostatniego sukcesora książąt pszczyńskich), małżeństwo trwało jednak zaledwie dwa lata. Bolko został aresztowany przez gestapo (podobno był zamieszany w jakieś ciemne interesy) i dwa miesiące po zwolnieniu go z aresztu zmarł w Pszczynie. Umierającemu księciu nie towarzyszyła zresztą żona, u jego boku czuwała kochanka, Eleonora Wells. Natomiast Klotylda żyła jeszcze długo, wojnę spędziła w rodzinnej Hiszpanii, zmarła w Monachium w 1978 r.

Jan Henryk XV niewiele przeżył syna, zmarł na atak serca 1 stycznia 1938 r. w Paryżu. Spoczął w pszczyńskim parku obok Bolka, ich szczątki miano przenieść do Książa, jednak z powodu wybuchu wojny nigdy do tego nie doszło. Dzisiaj ich skromne płyty grobowe w porównaniu z blichtrzem pałacu wywierają szczególne wrażenie.

W filmowej opowieści Filipa Bajona w rolę Klotyldy wcieliła się Grażyna Szapołowska, natomiast jako Bolko wystąpił Bogusław Linda. Szczególnie jedna ze scen filmu, zbliżenie erotyczne pomiędzy pasierbem a macochą na kuchennym stole, wśród rozłożonych makowców, pozostała w pamięci widzów.

Osoba Klotyldy została niemal wymazana z historii Hochbergów. Zamek w Pszczynie jest udekorowany portretami rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem pierwszej żony Jana Henryka XV, pięknej Daisy. Gdy zwiedzając kilka lat temu budowlę, zapytałem o podobizny Klotyldy, usłyszałem, że – owszem – są takie, ale wyłącznie w magazynie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia: P. Semka, „Pan na Pszczynie”, „HDR” nr 20/2019; D. Hochberg von Pless, „Taniec na wulkanie”; D. Hochberg von Pless, „Lepiej przemilczeć. Prywatne pamiętniki księżnej Daisy von Pless z lat 1895–1914”; M. Kluss, „Zamek w Pszczynie. Perła architektury śląskiej”.



DZISIAJ

GLÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Ilona Januszevska**

1794 r. / Po klęsce maciejowickiej...

Jan Bogumił Plersch
„Bitwa pod Maciejowicami”

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Zapomniany Naczelnik



Marek Gałęzowski

/ Tomasz Wawrzecki, bohater bitew o Żmudź i Pragę, był gotów walczyć do końca mimo klęski Kościuszki...

Wojaska rosyjskie feldmarszałka Aleksandra Suworowa już w pierwszym uderzeniu złamały opór polskich obrońców Pragi. Następnie wdarły się w głąb jej ulic, zabijając bez pardonu nie tylko żołnierzy usiłujących przedostać się na lewy brzeg rzeki, lecz także dokonując rzezi cywilnych mieszkańców. Wkrótce część Moskali dotarła do Wisły i zaatakowała most – jedyną drogę ucieczki. W tym momencie jeden z nielicznych obrońców, którzy nie ulegli panice, zmusił kilku kanonierów, by ponownie zajęli stanowiska przy czterech armatach porzuconych przy moście i choć na chwilę powstrzymali nacierających Rosjan. Kiedy ci w końcu wdarli się na most, rozkazał go podciąć i podpalić, po czym wśród ostat-

nich wycofał się na lewy brzeg Wisły. Był to następca gen. Tadeusza Kościuszki na stanowisku naczelnika zrywu powstańczego w 1794 r.

Rodem z Kresów

Tomasz Wawrzecki był jednym z tych wybitnych polskich patriotów, jakich dały Rzeczypospolitej jej ziemie wschodnie. Rodzinnym majątkiem Wawrzeckich były Meyszty w ziemi brasławskiej, wówczas na dalekich krańcach Wileńszczyzny, dziś położone w północnej Białorusi. Tam w 1753 r. przyszedł na świat bohater naszej opowieści. Od młodych lat obecny w życiu politycznym rodzinnej ziemi, poważniejszą karierę rozpoczął z chwilą wyboru na posła do Sejmu, który z czasem zyskał słynne miano Czteroletniego.

Wawrzecki należał do stronnictwa patriotycznego i szczególnie zabiegał o powiększenie liczby wojska Rzeczypospolitej, krytykując ślamazarną pracę w tej najważniejszej wówczas narodowej sprawie: „My wojsku stutysięcznemu jednogłośnie okrzykiem uchwalonemu wyznaczaliśmy konsystencje [tu w znaczeniu: określone zasady organizacji – przyp. M.G.] w konstytucji. A na tym przestając, jak byśmy to wojsko już stojące mieli; czwarty miesiąc kończy się, a żadnej materii siły krajowe aktualnie powiększającej jeszcze nie zdecydowaliśmy i właśnie umyślnie od tego unikamy” [ten i pozostałe cytaty, jeżeli nie zaznaczono inaczej, za: Maria Przywecka-Samecka, „Tomasz Wawrzecki (1753–1816)”, Wrocław 1993].

Pamiętnego 3 maja 1791 r. poseł Wawrzecki jako szósty w kolejności, wśród 84 innych, złożył swój podpis pod aktem konstytucji, a tydzień później w mowie sejmowej bronił jej zasad i formy uchwalenia. Kiedy rok później Moskale zaatakowali Polskę, nie skąpił swojego majątku, przeznaczając na cele wojskowe konie, bydło, owies, srebro. Był niestety jednym z niewielu ofiarnych przedstawicieli szlacheckiego społeczeństwa.

Wkrótce Wawrzecki udał się do obozu dowódcy armii litewskiej gen. Józefa Judyckiego i chociaż nie był wojskowym, to został mianowany jego doradcą. Nie był figurantem. Popierał tych oficerów sztabu, którzy starali się wymusić na nieudolnym Judyckim działania zaczepne, zwłaszcza pod Mirem, gdzie – jak się okazało – Polacy mieli przewagę liczebną nad zbliżającymi się Rosjanami. Daremnie, gdyż – jak pisał historyk dziejów wojny w obronie konstytucji Adam Wolański – „generałowie po prostu nie wiedzieli, co robić, mimo narad, niedoprowadzających długo do żadnego wyniku”. Ostatecznym wynikiem były pośpieszny odwrót na zachód i żałosna klęska w wojnie, zwieńczona przystąpieniem do konfederacji targowickiej króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nie zrobił tego Wawrzecki, w liście do monarchy dając do zrozumienia, że gdyby aktów zmuszony był podpisać, uznałby to za „hańbę całego życia”.

Posel powstaniec

Wkrótce widzimy Tomasza Wawrzeckiego wśród spiskowców, którzy na wezwanie Tadeusza Kościuszki, rozpoczynającego walkę w marcu 1794 r., przygotowywali powstanie przeciw Rosji w Wilnie. Już po jego raclawickim zwycięstwie, w połowie kwietnia Moskale aresztowali niektórych przywódców wileńskiego sprzysiężenia i zesłali ich na Syberię. Na liście przeznaczonych na Sybir był i Wawrzecki, zdołał jednak się ukryć. Tydzień później płk Jakub Jasiński obalił władzę Rosji i targowiczian w Wilnie, a nasz bohater natychmiast zgłosił akces do rozpoczętego tak zwycięsko powstania. W maju wyznaczono go dowódcą oddziałów broniących granicy Żmudzi z Kurlandią, a w czerwcu został mianowany przez Kościuszkę generałem i dowódcą powstania na Żmudzi. W swojej nominacji naczelnik insurekcji nazwał go „niesprawcowanym w ratunku Ojczyzny mężem”.

Powstańcy żmudzcy znakomicie poradzili sobie z niepokojącym ich dużym oddziałem rosyjskim, atakującym z Kurlandii, po czym sami wkroczyli na teren tego do niedawna jeszcze księstwa lennego Rzeczypospolitej, 25 czerwca 1794 r. zajmując Lipawę. Sukces ten nie okazał się co prawda trwały, gdyż pod naporem Rosjan wkrótce się wycofano, ale po zwycięstwie nad rzeką Muszą,



Tomasz Wawrzecki FOT. WIKIPEDIA

8 sierpnia, Wawrzecki przypuścił szturm na Lipawę i przełamawszy obronę rosyjską, zajął ponownie to miasto. Cztery dni później Rosjanie zdobyli jednak Wilno, co na początku września zmusiło powstańców do opuszczenia nie tylko Kurlandii, lecz także Żmudzi.

Wawrzecki czynił to niechętnie, krytykując brak woli walki zawodowych generałów. Oczywiście było dlań, jak pisał, „że w czasie wojny jest wojsko na to, żeby się biło”, jednego z jego dowódców na Wileńszczyźnie nazywając kąśliwie astronomem, gdyż „wojska przez całą kampanię inaczej nie użył niż »jak tylko ks. Poczubut [Marcin Poczubutt-Odlanicki] i [Andrzej] Strzecki swoich instrumentów«” (a więc do obserwacji przeciwnika, zdecydowanie z dużej odległości – przyp. M.G.). Wskutek upadku powstania na Litwie musiał jednak ustąpić.

Odwrót przeprowadził znakomicie, wychodząc zwycięsko z licznych walk z Prusakami i Rosjanami. Dodajmy, że wśród żołnierzy Wawrzeckiego, którzy opuszczali Żmudź, było wielu miejscowych niemówiących po polsku: „Wszyscy mówili między sobą językiem żmudzkim i litewskim, obuci byli w łapcie i chodaki, a ubrani w stare, najczęściej połatanie kapoty, ale duch był dzielny i wielka energia i lekkość w ruchach oraz dar dawania sobie rady z najlichszą nieraz bronią”. 20 września wojsko Wawrzeckiego dotarło do Grodna, dołączając do zbierającej się tam armii powstańczej z Litwy. Stamtąd ruszyła ona ku Warszawie, gdzie wcześniej jednak dotarła dramatyczna wieść o klęsce pod Maciejowicami 10 października 1794 r. i niewoli Tadeusza Kościuszki.

Cztery dni po – używając określenia Walerego Przyborowskiego – „gromie maciejowickim” Rada Najwyższa Narodowa wybrała na nowego wodza insu-

rekcji Tomasza Wawrzeckiego, słusznie zwracając uwagę, że jego „uczciwość, przywiązanie do ojczyzny, niepodległość żadnej partii, rozsądek i odwaga osobista znane były od dawna w Polsce”. Decyzja ta, podjęta przy nieobecności głównego zainteresowanego, nosiła jednak wszystkie cechy odsuwania od siebie odpowiedzialności za losy sprawy powstania przez bardziej znanych polityków i wojskowych.

Nawet biografka dowódcy powstania żmudzkiego Maria Samecka-Przywecka przyznawała, że „pobudki, jakimi członkowie Rady kierowali się przy wyborze nowego naczelnika, nie były wystarczające. Wawrzecki nie mógł się równać z Kościuszką ani popularnością i kwalifikacjami wodza, ani umiejętnością mobilizacji innych do czynu i wiarą w powodzenie. Tymczasem położenie kraju wymagało doświadczonego i rutynowego wodza, dobrego stratega, umiejętnego rozbić armię zebrać, tchnąć na nowo ducha męstwa w zdemoralizowane szeregi i zmusić je do dalszej, rozstrzygającej walki”.

Dla samego Wawrzeckiego wybór był całkowitym zaskoczeniem. Natychmiast wyruszył do Warszawy, gdzie odmówił przyjęcia godności, stwierdzając, że nie posiada żadnych ku temu kwalifikacji, i doradził, by wybrano „osobę, która obok talentów wodza posiada również popularność wśród wojska”. Natrafił jednak na stanowczy opór członków Rady, którzy usilnie domagali się, by nie uchylał się od przyjęcia wyboru. „Błagano go i zaklinano”, a w końcu posunięto się nawet do zarzutu, że „przedkłada osobisty spokój i próżność nad ojczyznę”. Poddany takiej presji ostatecznie przyjął wybór, gdyż – jak powiedział wówczas – „gdzie święta powinność obrony Ojczyzny i jej wolności zachodzi, tam wszystkie uwagi ustępować muszą”. Wzywając naród do najwyższego wysiłku, wyraził przy tym nadzieję, że „niepomyślne zdarzenia, które nieodstępnie towarzyszą losowi wojennemu, nie zrażą męstwa naszego”. To jednak nie było już możliwe, jak bowiem dobrze oddawała sytuację powstania Przywecka-Samecka, „ze wszystkich stron waliły się klęski i nieprzyjacieli z dniem każdym zacieśniał obręcz z dział i bagnietów dookoła Warszawy”.

Tymczasem Moskale podeszli pod Pragę, której szaniec pośpiesznie umacniano, niestety za późno i bez zapasów



Aleksander Orłowski, „Rzeź Pragi”
FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ – „mieszkańcy Warszawy dalecy byli teraz od tej ofiarności i waleczności, jaka cechowała ich w dniach kwietniowych i w czasie oblegania stolicy” przez Rosjan oraz Prusaków latem. Chociaż – jak ocenia badaczka – Wawrzecki wraz ze swoimi współpracownikami „potrafili wydobyć z siebie tyle energii, aby wśród powszechnego upadku ducha wytrwać do końca”, to Praga nie została odpowiednio przygotowana do obrony. Najbardziej przekonującym tego świadectwem było to, że trzon znajdujących się tam sił polskich stanowili wyczerpani żołnierze armii litewskiej i zdemoralizowani klęską rozbitkowie spod Maciejowic. Nie zdołali oni nawet obsadzić całości szanieców praskich przed armią Suworowa, liczniejszą i mającą świadomość przewagi.

Utrata nadziei

Osobiste męstwo większości oficerów na czele z mianowanym gen. Jakubem Jasińskim, do końca pozostających na posterunku, wystarczyło do powstrzymania nacierających przez kilka godzin. Wśród tych oficerów nie było dowódcy Pragi, gen. Józefa Zajączka. Ten, kiedy tylko na powierzonym mu odcinku znaleźli się żołnierze Suworowa, natychmiast pośpieszył w kierunku mostu na Wiśle. Był natomiast dzielny naczelnik Wawrzecki, który wycofał się dopiero po tym, gdy kazał podpalić prowadzący do serca Warszawy most, na którym byli już Moskale.

Rzeź Pragi sparaliżowała możliwość oporu w Warszawie. Chyba najbardziej przekonującym dowodem upadku ducha była reakcja na wiadomość o jednym z warunków Suworowa przyjęcia kapitulacji Warszawy – odbudowa zniszczonego w części mostu na Wiśle. Zanim

wydano rozporządzenie w tej sprawie, znaleźli się ochotnicy do jego naprawy.

Wawrzecki zgodził się na poddanie stolicy, ale – jak pisał historyk insurekcji Bartłomiej Szyndler – nie załamało to następcy Kościuszki: „Będąc zdecydowany prowadzić dalej powstanie, wydał 6 listopada rozkaz do wszystkich dowódców, stwierdzając w nim, że kapitulacja Warszawy w żaden sposób nie może dotyczyć wojska, w którym powinny być podejmowane wysiłki na rzecz przywrócenia odwagi i dyscypliny, gdyż [...] »przysięgliśmy zginąć lub zwyciężyć i nie skazemy naszych dusz krzywoprzysięstwem«”.

O determinacji Wawrzeckiego świadczy także to, że zamierzając opuścić miasto, chciał zabrać ze sobą króla, którego znał osobiście jako jeden z czołowych posłów Sejmu Czteroletniego. Mimo że monarcha nie wziął żadnego udziału w powstaniu, to przynajmniej formalnie był najwyższym reprezentantem suwerennej władzy Rzeczypospolitej. Poniatowski z właściwą sobie obłudą udawał, że zamierza uczynić zadość życzeniu naczelnika. Służbie nakazał czynić przygotowania do podróży, jednocześnie przez zaufanych ludzi rozgłaszając pogłoski, „że wbrew jego woli powstańcy zamierzają go gwałtem uprowadzić z sobą” (Szyndler). Ostatecznie, mimo osobistej stanowczej prośby naczelnika, pozostał w mieście, a z nim, oprócz prezydenta Warszawy Ignacego Wyssogoty-Zakrzewskiego, cała Rada Najwyższa Narodowa, która jeszcze trzy tygodnie temu żądała przyjęcia przez Wawrzeckiego godności naczelnika, obiecując pełne wsparcie w działaniach.

8 listopada 1794 r. wojsko polskie, które skoncentrowano w Łazienkach Królewskich, opuściło Warszawę i skierowało się na południe, w Kieleckie. Następnego dnia do miasta wkroczyli

Rosjanie. Naczelnik nadal nie tracił wiary, uważając, że koncentracja wszystkich korpusów pozwoli kontynuować walkę. Tej wiary nie podzielał jednak już prawie nikt. Rozpadł się korpus ks. Józefa Poniatowskiego, bez winy dowódcy, poważnie wówczas chorego. Dezercje osłabiały pozostałe jednostki. W tej sytuacji Wawrzecki był już zdecydowany przyjąć projekt gen. Jana H. Dąbrowskiego i przedrzeć się do Francji. „Sprawę wnet uniemożliwiła nieprzychylna postawa wojska, które już nie myślało o walce”, tym bardziej opuszczeniu kraju. Część zaczęła odmawiać dalszego marszu, niektórzy opuszczali obóz i poddawali się albo idącym w pościgu Rosjanom, albo napierającym od zachodu Prusakom, gdy od wschodu nieśpiesznie nadchodzili również Austriacy. 15 listopada 1794 r. resztki armii powstańczej przybyły do Radoszyc. Dzień później przestała istnieć, z nią – Rzeczpospolita.

Jak klęska maciejowicka była wstrząsem dla Kościuszki, z którego już się nie podniósł, tak Radoszyce zabiły nadzieję Wawrzeckiego. W dzień wigilijny jako więzień został wywieziony do Petersburga, gdzie znalazło się już wielu innych przywódców insurekcji wraz z naczelnikiem, od którego wzięła swoją nazwę. Wawrzecki zapadł w celi na zdrowiu, którego nigdy w pełni już nie odzyskał. Wrócił do kraju i osiadł w swoim majątku na ziemi kowieńskiej, a w ostatnich latach życia – w rodzinnej ziemi brasławskiej. Poświęcił się pracy społecznej – jako prezes Komisji Sądowo-Edukacyjnej Wileńskiej położył ogromne zasługi dla rozwoju polskiej oświaty w zaborze rosyjskim (swoją funkcję pełnił do śmierci w 1816 r.).

Kiedy w 1812 r. Napoleon rozpoczął „drugą wojnę polską”, Wawrzecki, który zresztą z cesarzem Francuzów nie łączył żadnych nadziei politycznych, na wszelki wypadek, osobistym rozkazem cara Aleksandra I, został przymusowo wywieziony do Petersburga, chociaż już nie jako więzień. Zapobiegliwość z punktu widzenia Rosjan konieczna, gdyż wszyscy Wawrzeccy stanęli czynnie po stronie Napoleona. Grób Wawrzeckiego znajduje się do dziś w Widzach Łowczyńskich, w pobliżu jego rodzinnych Meyszt.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Piotr Semka

/ Irlandczycy byli bitnymi żołnierzami i dlatego łatwo znajdowali wikt i służbę pod sztandarami monarchów katolickich

W dziejach Irlandii od wczesnego średniowiecza pojawia się stały ponury motyw. Obcy najeźdźcy dokonywali podbojów Zielonej Wypsy, a następnie tłumili kolejne wolnościowe zrywy dumnych Irów, jak nazywali się tamtejsi Celtowie. Dzieci Irlandii zmuszone do opuszczania swojej ojczyzny uciekały do państw, w których nie groził im los niewolników. Później doszedł kolejny czynnik – wybór krajów, w których swobodnie można wyznawać katolicyzm. Wyznanie, które po przejściu Anglii na reformację skazywało wiernych Rzymowi Irlandczyków na los obywatela drugiej kategorii.

Irlandczycy byli bitnymi żołnierzami i dlatego łatwo znajdowali wikt i służbę pod sztandarami monarchów katolickich. A ich uraz do protestantów wzmacniał u monarchów katolickich pewność, że nie zmienią frontu ani nie skierują swej broni przeciw nim samym.

Historia „dzikich gęsi” – jak nazywali Irlandczycy emigrantów politycznych – to prawie 300 lat szukania szczęścia na kontynencie i to historia opłakiwania przez irlandzkie rodziny swoich bliskich, których mogiły znaczyły Europę, a potem i obydwa Ameryki.

U Habsburgów, Burbonów i Napoleona

Pierwsza masowa emigracja irlandzkiej arystokracji to rok 1607. Był to efekt wystąpienia szlachty irlandzkiej przeciw Brytyjczykom, której pomagał (jak się okazało – niezwykle kiepsko) hiszpański król Filip III. Irlandczycy stworzyli wów-



XVII–XX w. / Żołnierska emigracja z Zielonej Wypsy

Jan van Huttenburg „Bitwa nad Boyne” FOT. WIKIPEDIA

Irlandczycy najemnicy

czas swój własny regiment we Flandrii, który zdobył uznanie dowódców hiszpańskich z racji swej pogardy dla śmierci. Irlandczycy na europejskich dworach bywali też wyznaczani do wyjątkowo trudnych i wymagających pełnego zaufania misji.

W roku 1634 dowódca wojsk cesarskich w wojnie trzydziestoletniej Albrecht Wallenstein zaczął być podejrzewany o przygotowania do przejścia na stronę protestantów. Cesarz postanowił zgładzić swego dotychczasowego ulubieńca. Do zabójstwa doszło w 1634 r. w czeskiej miejscowości Cheb, znanej bardziej pod niemiecką nazwą Eger. Specjalne komando pod dowództwem wygnańca z Irlandii Waltera Butlera przygotowało zamach. Bezpośrednimi sprawcami także byli Irlandczycy – Geraldine i Walter Deveraux. Zaskoczyli oni Wallensteina w trakcie przygotowań do spoczynku i zaszlachtowali w jego własnym łóżku. Protestanci nagłośnili tę śmierć jako dowód wiarołomstwa Habsburgów, ale większość historyków jest obecnie zdania, że feldmarszałek istotnie szykował się do zmiany frontu.

W 1691 r. Irlandczycy na masową skalę wspierają próbę odbicia Wypsy

Brytyjskich przez króla Jakuba II, którego „chwalebna rewolucja” z 1688 r. wygnała na emigrację do Francji. Gdy wojska Wilhelma Orańskiego zwyciężyły Irlandczyków i brytyjskich jakobitów w bitwie nad rzeką Boyne, Irlandczycy znów doświadczyli kolejnej klęski. Tym razem jednak traktat kończący wojnę zawarty w 1691 r. w południowo-zachodniej irlandzkiej miejscowości Limerick zawierał klauzulę pozwalającą irlandzkiej szlachcie na wyjazd do Francji bez przeszkód ze strony wojsk Wilhelma.

Król Ludwik XIV z przyjemnością przywitał napływ oficerów i żołnierzy irlandzkich. Z przybylszy stworzył regimenty irlandzkie, które cieszyły się autonomią, posługiwały się własną komendą w języku irlandzkim i miały własne irlandzkie sztandary.

Dlaczego Anglicy zgodzili się na takie zakończenie wojny? Wtedy w 1691 r. zgoda na wyjazd ok. 19 tys. była dla Anglików początkiem ich taktyki wypychania niespokojnych duchów z wyspy. Oczywiście mieli oni pełną świadomość, że wygnani Irlandczycy będą chcieli z pomocą króla Francji wrócić z bronią w rękę do kraju. Per saldo Anglicy uznali jednak, że jest

to mniejsze zło niż ciągłe konspiracje partyzantki na terenie Zielonej Wyspy. W 1745 r. druga generacja uciekinierów z 1691 r. wsparta przez oficerów-weteranów tamtego zrywu, częściowo zasilila jakobickie powstanie w Szkocji w 1745 r., któremu przewodził tzw. młodszy prezydent książę Bonnie Prince Charlie.

I ten zryw się nie udał, ale nie zakończyło to kariery irlandzkich żołnierzy i oficerów w służbie króla Francji. W czasie wojny siedmioletniej w latach 1756–1763 Francja odkryła jeszcze jedno źródło pozyskiwania irlandzkiego rekruta. Oto z jednostek brytyjskich wysłanych na kontynent irlandzcy rekruci zaczęli masowo uciekać i z chęcią wstępować do jednostek irlandzkich pod flagą francuskich Burbonów. W czasie wspomnianej wojny siedmioletniej pod białym sztandarem pełnym lilii walczyło aż sześć regimentów irlandzkich oraz jeden regiment kawalerii gen. Charles'a Fitz-Jamesa. Wielu oficerów, którzy pełnili służbę w tych jednostkach, pochodziło z irlandzkich rodzin, które osiedliły się we Francji.

Nawet upadek Ludwika XVI nie osłabił pozycji Irlandczyków na ziemi Gallów. Owszem, część oficerów odeszła z armii, dochowując wierności królowi, ale jednocześnie republika francuska zachęcała niektórych oficerów i żołnierzy do stworzenia irlandzkiej brygady, która miała stworzyć przyszłą republikę Irlandii. To pod wpływem wzorców rewolucji francuskiej wybuchło w 1798 r. powstanie w Irlandii. Oczywiście specyfiką irlandzką było to, że do oddziałów, którymi dowodzili irlandzcy republikanie i wolnomyśliciele, doszłusowało wielu księży, którzy bardziej od laickiej republiki nienawidzili brytyjskich najeźdźców.

Jeszcze w 1803 r. Napoleon Bonaparte zorganizował własny legion irlandzki, przekonany, że prędzej czy później zdoła dokonać morskiej inwazji na wyspy. Podobnie jak Polacy wykorzystywani instrumentalnie przez francuskiego władcę, w sytuacji, gdy inwazja na Wyspy stała się niemożliwa, Irlandczycy zostali wysłani do Hiszpanii, gdzie musieli walczyć ze swoimi braćmi w wierze, hiszpańskimi katolikami. Okazało się jednak, że podobnie jak Polacy Irlandczycy stawiali wyżej lojalność wobec Napoleona niż poczu-

cie wspólnoty w wierze z hiszpańskimi powstańcami. Irlandczycy zasłużyli się przy oblężeniu Astorgi w Leonie-Kastylii w 1812 r., a na północy regiment irlandzki zdobył szacunek cesarza Francuzów ponad trzymiesięczną obroną Antwerpii przed Anglikami. Po abdykacji Bonaparte i restytucji Burbonów irlandzkie jednostki rozwiązano i nie wracano już do tego pomysłu. Tak zakończono 125-letnią tradycję walki Irlandczyków na francuskiej ziemi.

Pod Kłuszynem...

Obok Francji drugim miejscem, gdzie Irlandczyków przyjmowano z otwartymi ramionami, była Hiszpania. Pierwszy irlandzki regiment powstał na Półwyspie Iberyjskim już w 1698 r. Władze w Madrycie chętnie wysyłały Irlandczyków do swoich kolonii. I tak oddział irlandzki stacjonował w Hawanie na Kubie w latach 1770–1771. Nieco wcześniej oddział irlandzki pilnował interesów korony w Meksyku między 1768 a 1771 r. Z kolei powstały w 1709 r. tzw. Hibernia Regiment pilnował porządku w Hondurasie w latach 1782 i 1783.

Innym kierunkiem, który przyciągał uwagę Irlandczyków, były Włochy. Już w 1655 r. w Mediolanie powstał 500-osobowy oddział Terzio Lucas Taf. Bardzo wielu Irlandczyków służyło w armii Sabaudii oraz w posiadłościach hiszpańskich na południu Włoch.

Osobnym rozdziałem w dziejach „dzikich gęsi” była służba Irlandczyków w armii austriackiej. James Francis Fitz-James Stuart, tytułarny książę Berwick, zasłużył się Austrii jako dowódca woj-

skowy i był nawet ambasadorem Habsburgów w Rosji. Najbardziej romantyczną postacią, która uwieńczyła tę tradycję irlandzkiej służby w armii Habsburgów, był podziwiany za odwagę pilot austriackiego lotnictwa morskiego Gottfried von Banfield, który w czasie pierwszej wojny światowej zdobył wyjątkowo prestiżowy order Marii Teresy za swoje naloty bombowe na włoskie porty. Banfield w okresie już po upadku monarchii austro-węgierskiej został włoskim biznesmenem i nie wywoływało to bynajmniej niechęci Włochów, raczej otaczał go szacunek dla rycerskiego przeciwnika z lat wojny.

Swoich własnych Irlandczyków miewała też Rosja. W XVIII w. Peter Lacy (1678–1751) podjął służbę wojskową w Rosji i został marszałkiem polnym w służbie carów.

Słabo zbadane są jeszcze ślady po służbie Irlandczyków w armii Rzeczypospolitej. W 1609 r. irlandzki dowódca objął dowodzenie nad 1,3 tys. żołnierzami irlandzkimi, których przyjął do swej armii król Szwecji. Pod wpływem agitacji polskich księży irlandzcy żołnierze przeszli na polską stronę w bitwie pod Kłuszynem. Irlandczycy służyli też pod polską komendą w trakcie wojny z Moskwą w latach 1605–1618. Tutaj niestety nasi przodkowie się nie popisali, zalegali z wypłatami dla irlandzkich żołnierzy i doczekali się buntu oraz wypowiedzenia posłuszeństwa.

Dlaczego ten irlandzki wkład w polskie dzieje został tak szybko zapomniany? Ernest Bryll, były ambasador polski w Dublinie i miłośnik związków kulturowych między Polską a Irlandią, twierdzi, że Irlandczycy byli nazywani w Polsce myląc „Scotus”, co powodowało ich utożsamianie ze Szkotami, a nie z Irlandczykami. Kto wie, być może opisany w „Trylogii” Kettling w istocie nie był Szkotem, ale jednym z irlandzkich uciekinierów?

Emigracja najbardziej odważnych i najbardziej przedsiębiorczych Irlandczyków powodowała, że Zielona Wyspa zapadła po walkach ostatnich jakobitów w stan letargu. Brytyjska polityka wypychania buntowników za granicę na dłuższą metę okazała się skuteczna. W 1732 r. brytyjski arystokrata sir Charles Wagan w liście do proboszcza katedry św. Patryka Jonathana Swifta ocenił, że w ciągu minionych czterech dekad ok. 120 tys. Irlandczyków oddało życie pod sztandarami obcych władców.

Mapa Irlandii z 1799 r.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS





Śmierć Albrechta von Wallensteina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wreszcie w kregach brytyjskich zarządców Irlandii zaczęła wygrywać kolejna taktyka. Od 1790 r. złagodzone zakaz służby katolików w armii brytyjskiej. W XIX w. irlandzkich jednostek odwołujących się do lokalnej dumy, ale w ramach lojalności wobec władców Wielkiej Brytanii, było całkiem sporo. Nawet po 1922 r., gdy Londyn uznał wolne państwo Irlandię z nominalnym władztwem króla Wielkiej Brytanii, w Anglii wciąż istniały jednostki nawiązujące do irlandzkich tradycji.

Siła przyciągania brytyjskiej armii musiała być mocna, skoro w czasie drugiej wojny światowej parę tysięcy

Irlandczyków opuściło kraj i zgłosiło się do armii brytyjskiej. Po zakończeniu wojny musieli się oni zmierzyć z sankcjami prawnymi, gdyż państwo irlandzkie uznało ich zaciągnięcie się pod „Union Jack” za bezprawną służbę w obcej armii.

Nawet dziś w Wielkiej Brytanii istnieją trzy jednostki o nazwach związanych z Zieloną Wyspą. To Irish Guard mający swoje siedziby w Londynie Hounslow, Royal Irish Regiment stacjonujący w Ulsterze i London Irish Rifles w Flodden Road. Nikt już nie czyni z powodu tych nazw żadnych problemów międzynarodowych.

Jak to zwykle bywa z emigracyjną służbą pod obcymi sztandarami, zdarzają się w Irlandii autorzy, którzy epopeję „dzikich gęsi” uważają za bezsensowne przelewanie irlandzkiej krwi w cudzej służbie. Ot, coś na wzór popularnego niegdyś w polskiej literaturze rozdierania szat nad sensem walki Polaków w Legionach we Włoszech lub oburzenia na posłuszny wyjazd polskich legionistów na egzotyczne Santo Domingo z rozkazu Napoleona. Są też tacy irlandzcy publicyści, którzy wskazują, że legenda „dzikich gęsi” budziła w Irlandczykach poczucie nieważności i znikomej własnej wartości. Szczególnie w XVIII w., kiedy rodzimą ludność zepchnięto do roli pozbawionych wszelkich praw najmitów żyjących pod brytyjskim batem, wieści o karierach synów Zielonej Wyspy w obcych armiach pozwalały zachować ducha oporu. Nieprzypadkowo wielki memoriał w Dublinie ku czci zrywów niepodległościowych zbudowany jest wokół motywu odlatujących dzikich ptaków. Dziś ich legenda jest w Irlandii wciąż żywa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Rozegraj bitwę, która zmieniła losy Europy!

Jest sierpień 1920 roku, z nieba leje się żar, a w międzyczasie dwie potężne armie szykują się do rozstrzygającego starcia w bitwie, która zadecyduje o losach obu krajów. Stań po jednej ze stron konfliktu i poprowadź swoje wojska do ZWYCIĘSTWA. Wykorzystaj umiejętności dowódców, siłę oddziałów oraz posiadane zasoby, aby pokonać nieprzyjaciela.

Twoje decyzje pokażą, jak przebiegnie i zakończy się BITWA WARSZAWSKA!

20% rabatu na zielonasowa.pl

kod rabatowy: HISTORIADORZECZY

Kod rabatowy obowiązuje do 10 grudnia 2020 roku lub do wyczerpania zapasów.

Gry polecają:

30 LAT MUZEUM
LAT NIEPODLEGŁOŚCIBoard Times
Gry planszowe to nasza pasja!

RYNEK ZABAWEK





Zarazy / *Mycobacterium tuberculosis*, czyli prątek gruźlicy

Richard Tennant Cooper
„Gruźlica” FOT. WELLCOME COLLECTION

Zmora biedaków i poetów



Maciej Rosalak

/ Już po wykryciu prątka gruźlicy przez Roberta Kocha, a więc po 1882 r., zmarło na nią ponad 100 mln ludzi

Panująca obecnie epidemia COVID-19 skłania też do zainteresowania innymi chorobami, zwłaszcza atakującymi płuca, które dramatycznie potęgują niszczące człowieka działanie koronawirusa. Należy do nich m.in. gruźlica. Bynajmniej nie przestała być groźna – ani na świecie, ani w Polsce. Przypomnijmy jej ponurą historię...

Gruźlica stała się chorobą bardzo rozpowszechnioną w XIX w., ale nęka ona ludzi i niektóre inne stworzenia od zarania dziejów. Prątki gruźlicy znaleziono

w mumii sprzed 8 tys. lat. W szczątkach zwierząt zachowały się sprzed 17 tys. lat. Długo nie wykrywano wcześniejszych, aż niedawno świat nauki zbulwersowało odkrycie polskiego paleontologa Dawida Surmika, który – wspomagany przez kolegów z Polski oraz z USA – ślady prątków zidentyfikował w resztkach szkieletu morskiego gada sprzed 245 mln (!) lat. Jeszcze zanim zaczęła się era dinozaurów!

Ów krokodylopodobny proneustikozaur mierzył ponad metr, a odkopano go na przełomie wieków XIX i XX w okolicach Gogolina. Stał się wrocławskim obiektem muzealnym, mocno zniszczonym podczas ostatniej wojny, ale nie na tyle, aby dr Surmik nie odkrył dwa lata temu na zachowanych żebrach przedpotopowego gada charakterystycznych, mikroskopijnych narośli po bakteriiach rodzaju *Mycobacterium tuberculosis*.

To właśnie są prątki gruźlicy, zwanej w Polsce także suchotami, przenoszona drogą kropelkową (np. kichaniem, kaszlem) z płuc zarażonego człowieka na drugiego, który jest nieświadomy zagrożenia lub nieostrożny. Tylko gruźlica

płuc jest zaraźliwa, a np. gruźlica kości i stawów – nie. Roznosiicielami bakterii bywają także zwierzęta, zwłaszcza żyjące w norach gryzonie. Odkrywcą prątka gruźlicy był niemiecki uczonec Robert Koch, który wyniki swoich badań opublikował 24 marca 1882 r. Stąd obok *Mycobacterium tuberculosis* używa się też nazwy: prątek Kocha.

Mickiewicz też?

Rewolucja przemysłowa XVII, XVIII i początku XIX w. oraz trudne kształtowanie się nowych warstw społecznych sprawiły, że gruźlica stała się plagą. Szczególnie podatni byli na nią biedacy – mieszkający w ciemnych, zimnych izbach, niedożywieni, topiący często smutki w alkoholu, co jeszcze bardziej obniżało odporność ich organizmów na wszelkie zarazy. Gruźlica nie stała się jednak bynajmniej tylko chorobą biedaków, ludzi z tzw. niższych warstw.

Jeszcze na początku XIX w. także w „warstwach oświeconych” nie orien-

towano się, że tą chorobą można zarazić się od członka najbliższej rodziny. Ze skutkiem śmiertelnym. Przyjrzyjmy się bliżej środowiskom romantycznych twórców – w Wielkiej Brytanii i wśród polskiej Wielkiej Emigracji. Tragiczne losy dotknęły szczególnie utalentowaną angielską rodzinę Brontë z West Yorkshire. I tak 24 września 1848 r. malarz (portret trzech siostr jego pędzla jest dziś podziwiany w National Gallery), niespełniony pisarz i poeta Patrick Branwell Brontë (1817–1848) zmarł na plebani swego ojca w Haworth. 28 września został pochowany w krypcie rodzinnej.

Na plebanii w Haworth umarli rychło i zostały pochowane trzy jego siostry, które nie alkoholizowały się jak brat i przeszły potem do historii literatury. Ich książki czyta się do dziś na całym świecie i ogląda filmy z fabułą na nich opartą i z ich niepowtarzalnym nastrojem. Emily Brontë (1818–1848, autorka „Wichrowych Wzgórz”) zmarła na gruźlicę w grudniu tego samego co brat 1848 r., a Anne Brontë (1820–1849, „Agnes Grey”) w maju roku następnego. Kilka lat później gruźlica spowodowała również zgon bodaj najślawniejszej z siostr – Charlotte Brontë (1816–1855, „Dziwne losy Jane Eyre”). A więc tak obdarzone talentami rodzeństwo Brontë umierało w wieku od 29 do 39 lat...

W wieku zaledwie 26 lat zmarł zaś angielski poeta romantyczny John Keats (1795–1821), który stał się po śmierci legendą nie tylko w Wielkiej Brytanii. Tłumaczył m.in. „Eneidę” Wergiliusza, a w latach 1817, 1818 i 1820 wydał trzy zbiory wierszy, w których dominowały kolejno: sonety, ody, hymny i poematy (m.in. poświęcone pamięci Tadeusza Kościuszki i Roberta Burnsa) oraz ballady. Gruźlicą zaraził się od swego umierającego brata – Toma...

Gruźlica śmiertelnie atakowała nie tylko brytyjskich poetów. Polskich także. W „Medycynie Nowożytniej” (tom 5, z. 2, 1998) ukazała się recenzja z ciekawej pracy Barbary Zaorskiej („Ich mizeria tułacza z gruźlicą w tle”, Warszawa 1998). Spotykamy tam m.in. pogląd, że – poza Juliuszem Słowackim i Zygmuntem Krasińskim – również trzeciego (a może pierwszego...) z narodowych wieszczów Adama Mickiewicza trapiła gruźlica. Oto obszerny fragment tekstu:

Wiele przemawia za tym, iż ojciec poety, Mikołaj Mickiewicz, zmarł w wieku 47 lat z powodu gruźlicy.



Adam Mickiewicz, siostry Brontë, Vivien Leigh

FOT. DOMENA PUBLICZNA I WIKIPEDIA

Spośród jego pięciu synów czterech chorowało na gruźlicę, nabytą zapewne w domu rodzinnym. Z listów Adama i przekazów jego przyjaciół wynika wyraźnie, iż objawy tej choroby pojawiły się u niego już w 1819 r., jednak w latach następnych organizm poety nie wykazywał symptomów czynnego procesu gruźliczego. Dość powszechnie przyjmuje się, iż przyczyną zgonu Mickiewicza w Konstantynopolu w 1855 r. była cholera. Jest to wysoce prawdopodobne, choć w chwili obecnej bardzo trudne do udowodnienia [...].

Gruźlicę należy upatrywać jako przyczynę zgonu – w wieku zaledwie 40 lat – Juliusza Słowackiego. Brak na to bezpośrednich dowodów, lecz korespondencja chorego poety ze znanym w środowisku polskiej emigracji doktorem Antonim Hłuszniewiczem i spostrzeżenie Bohdana Zaleskiego są wystarczająco wymowne [Józef

Bohdan Zaleski, polski żołnierz odznaczony Virtuti Militari w powstaniu listopadowym, również poeta romantyczny – przyp. M.R.].

Gruźlica stanowiła bezspornie przyczynę zgonu Zygmunta Krasińskiego. Poeta zmarł w wieku 47 lat w stanie krańcowego wyniszczenia przez chorobę. Gruźlica u Krasińskiego miała charakter wielonarządowy – objęła płuca, przewód pokarmowy, kości i skórę. Krasiński najprawdopodobniej przejął ją od matki, Marii z Radziwiłłów. Sam był zapewne źródłem zakażenia dla dwóch swoich przedwcześnie zmarłych synów, Zygmunta i Władysława. Ofiarą gruźlicy padł także bliski przyjaciel Mickiewicza, utalentowany poeta Stefan Florian Garczyński, zgasł w wieku niespełna 28 lat.

Do niedawna jeszcze przyjmowano na ogół bezdyskusyjnie, iż gruźlica była przyczyną śmierci Fryderyka Chopina. Profesor Jean Cruveilhier, który podpisał kartę zgonu artysty, podał jako przyczynę zgonu gruźlicę płuc i krtani. W 1987 r. wysunięto hipotezę, iż Chopin chorował na mukowiscydozę, a w 1994 r. pojawiło się przypuszczenie o zespole niedoboru alfa-1-antytrypsyny. Obie te współczesne hipotezy nie wykluczają zresztą koincydencji każdej z tych chorób z gruźlicą płuc.

Gruźlica wpisała się także w emigracyjną egzystencję Zofii Szymanowskiej (przyrodniej siostry żony Mickiewicza, Celiny), a także jej męża, poety i rzeźbiarza Teofila Lenartowicza. Choroba ta była obecna w najbliższym otoczeniu Maurycego Mochnackiego – jego młodszy brat Kamil zmarł na nią w wieku 27 lat. Sam Maurycy zmarł także przedwcześnie, mając 31 lat, lecz brak jest podstaw, aby jego zgon przypisywać gruźlicy. Na gruźlicę zmarł [inny – przyp. M.R.] emigrant-demokrata Henryk Kamieński.

Z listy zmarłych

Szacuje się, że już po wykryciu prątka gruźlicy przez Roberta Kocha, a więc po 1882 r., z powodu gruźlicy zmarło na świecie ponad 100 mln ludzi. Na liście osób chorujących w ciągu ostatnich stuleci na gruźlicę znajdują się pisarze i poeci, malarze i rzeźbiarze o znanych nazwiskach, trwale zapisanych w dziejach światowej kultury. Wymieńmy niektórych:

Eugène Delacroix (1798–1863) – najwybitniejszy francuski malarz romantyczny;

Frédéric Bartholdi (1834–1904) – francuski rzeźbiarz, autor Statui Wolności odsłoniętej w Nowym Jorku 28 października 1886 r.;

Amedeo Modigliani (1884–1920) – stworzył w Paryżu własny styl malarstwa modernistycznego (zwłaszcza aktów kobiecych). Sławę zyskał po śmierci;

Luigi Boccherini (1743–1805) – włoski wiolonczelista i kompozytor, najbardziej

■ znany jako autor menuetu z „Kwintetu smyczkowego nr 13”;

Niccolò Paganini (1782–1840) – włoski kompozytor i skrzypek znany zarówno z niezrównanej wirtuozerii, jak i z obyczajowych skandali;

Giovanni Battista Pergolesi (właśc. Draghi, 1710–1736) – włoski kompozytor i muzyk baroku, młody i schorowany twórca „Stabat Mater”;

Igor Strawiński (1882–1971) – rosyjski pianista, dyrygent i kompozytor modernistycznej muzyki, np. baletu „Święto Wiosny” (1913);

Carl Maria von Weber (1786–1826) – niemiecki romantyczny kompozytor koncertów i innych dzieł fortepianowych oraz oper;

Antoni Czechow (1860–1904) – rosyjski pisarz, dramaturg i lekarz. Autor do dziś wystawianych sztuk („Wujaszek Wania”, „Trzy siostry”, „Wiśniowy sad”);

Maksim Gorki (właśc. Pieszkow, 1868–1936) – rosyjski pisarz („Matka”, „Artamonow i synowie”) oraz działacz sowiecki;

Jaroslav Hašek (1883–1923) – czeski pisarz, podczas pierwszej wojny w c.k. armii oraz u bolszewików, autor niezrównanych „Przygód dobrego wojaka Szwejka”;

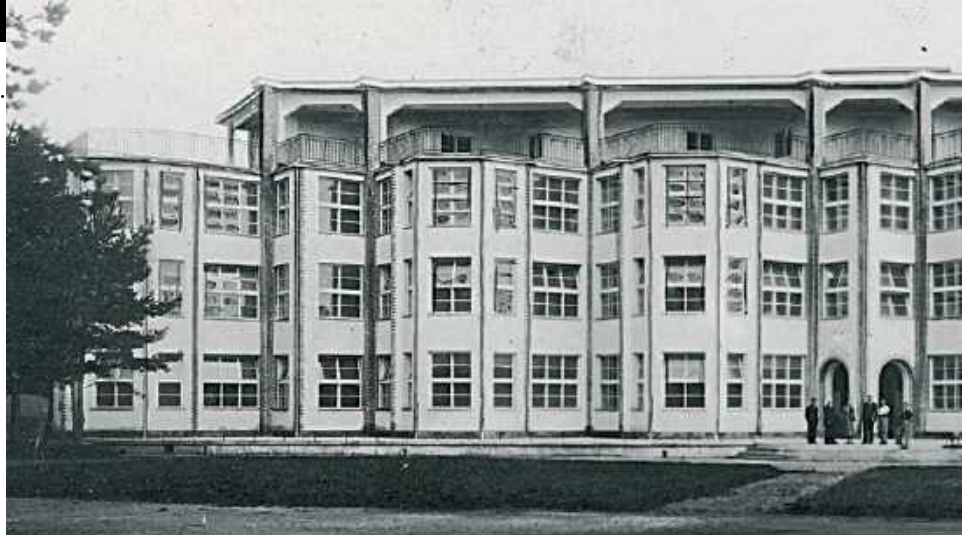
Franz Kafka (1883–1924) – żydowskiego pochodzenia pisarz niemieckojęzyczny z Pragi, najlepiej znany z niesamowitej powieści „Proces”;

William Somerset Maugham (1874–1965) – autor sztuk teatralnych i powieści („W niewoli uczuć”) dożył w walce z gruźlicą 91 lat!;

Guy de Maupassant (1850–1893) – francuski pisarz naturalista, znany z nowel, od „Baryłeczki” poczynając. Cierpiał też na postępującą obłąd;

Molier (właśc. Jean Baptiste Poquelin, 1622–1673) – francuski komediopisarz, twórca m.in. „Świętoszka”, „Skąpca”, „Mieszczanina szlachcicem”;

Jean-Jacques Rousseau (1712–1778) – głoszący we Francji idee oświeceniowe



Sanatorium przeciwgruźlicze w Jarosławcu, 1939 r. Obok autoportret Nikifora pt. „Malarz w drodze do pracy”

FOT. NAC, MUZEUM NIKIFORA W KRYWICY, O. MUZEUM OKRĘGOWEGO W NOWYM SĄCZU

w dziedzinie ustroju i pedagogiki (swoich pięcioro dzieci oddał do przytułku);

Friedrich Schiller (1759–1805) – niemiecki poeta, filozof i dramaturg, autor licznych znanych utworów, od „Zbójców” i „Ody do radości” poczynając;

Robert Louis Stevenson (1850–1894) – szkocki autor poczytnych powieści przygodowych („Czarna strzała”, „Wyspa skarbów”, „Porwany za młodu”) cierpiał całe życie na gruźlicę;

George Orwell (1903–1950) – brytyjski profetyczny pisarz, który najcelniej ujął istotę sowiezizmu („Rok 1984”, „Folwark zwierzęcy”, „W hołdzie Katalonii”);

Simone Weil (1909–1943) – francuska filozofka i działaczka syndykalistyczna, mimo słabego zdrowia ruszyła w 1936 r. do Hiszpanii;

Albert Camus (1913–1960) – francuski pisarz, dramaturg i filozof, zginął w wyniku wypadku drogowego, ale cierpiał na gruźlicę.

Z biedą i wojną

Na przełomie wieków XIX i XX, podczas wielkiej epidemii gruźlicy w Europie, powstały organizacje charytatywne, a następnie rządowe, do walki z gruźlicą. Pierwszą poradnię przeciwgruźliczą, zajmującą się leczeniem, wykrywaniem źródeł gruźlicy i zapobieganiem chorobie, zorganizowano w Edynburgu, następnie – bardziej profilaktyczną – w Paryżu. Na ziemiach polskich pierwsze poradnie powstały w latach 1909–1911 w Warszawie, we Lwowie, w Krakowie,

Wilnie, a także Lublinie. W 1909 r. Róża Mączewska, żona zmarłego na gruźlicę lubelskiego adwokata, założyła charytatywne Towarzystwo Walki z Gruźlicą. Zachęciła do współpracy ok. 200 lekarzy, przedsiębiorców i ziemian.

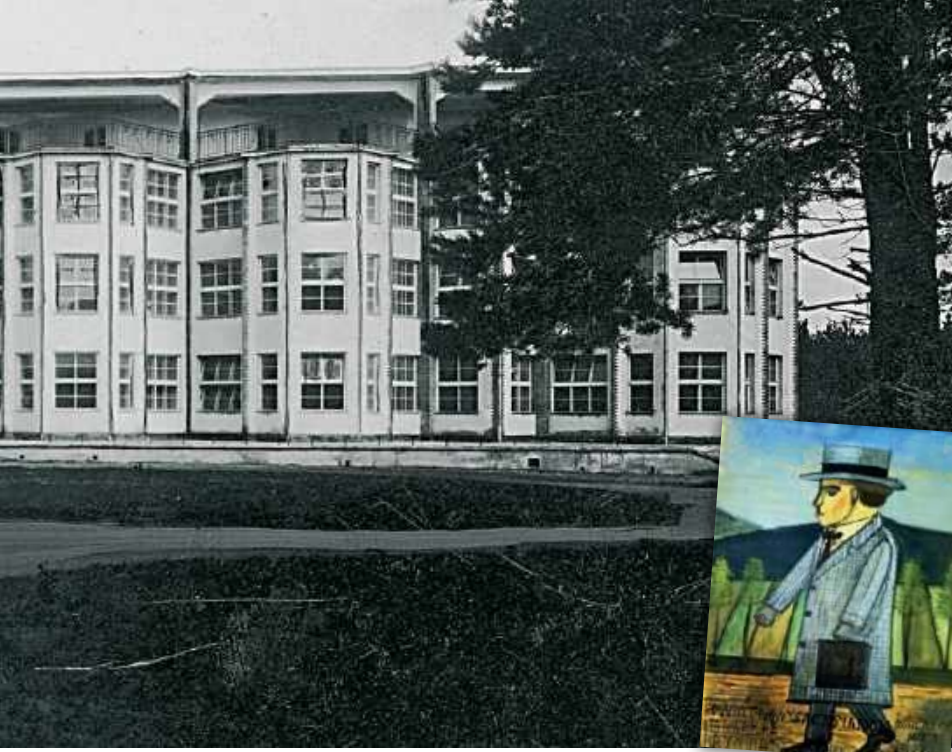
W cytowanej wyżej „Medycynie Nowożytniej” (tom 16, z. 1–2, 2010) Jerzy Janiuk pisze, jak przedstawiała się sytuacja materialna robotników polskich pod zaborem rosyjskim w roku 1914. Otóż przy dziennym zarobku wynoszącym 1,18 rubla musiał wydawać na utrzymanie rodziny... 1,30 rubla. A jadł głównie ziemniaki, chleb i kaszę, z niewielką ilością tłuszczu. Potrawy mięsne stanowiły luksus – „Osoby pracujące fizycznie spożywały w tygodniu przeciętnie 10–15 kg mięsa. Dzienna wartość kaloryczna takich posiłków wynosiła ok. 2900 kcal., przy należnym zapotrzebowaniu 3500–4000 kcal.”.

Tak jadł utrzymujący rodzinę mężczyzna; dzieci, kobiety i starcy byli stale niedożywieni, cierpieli nędzę i głód. Szerzył się alkoholizm. Spadek odporności potęgowały fatalne warunki kilkustopniowej często pracy w kurzu i pyłe. Wreszcie „dziewczeta, które w wieku 12–15 lat podejmowały pracę w fabryce, w wieku 21 lat z reguły zapadały na czynną gruźlicę z masowymi krwotokami płucnymi. Słowem, trudno nie przyznać racji tym, którzy twierdzili: »Usuńcie nędzę, a gruźlica zniknie«”.

Po pierwszej wojnie światowej sytuacja epidemiologiczna – jeśli chodzi o gruźlicę – zaczęła się poprawiać. Było to spowodowane stopniową poprawą



Robert Koch na niemieckim znaczku FOT. DOMENA PUBLICZNA



Fragment książki, która właśnie ukazuje się na rynku:

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARAZY LUDZKOŚCI”

FRONDA

warunków życia – bytowych, sanitarnych, odżywiania oraz rozwoju medycyny. Znani ludzie zapadali jednak na suchoty nadal. Oto w drugiej połowie XX w. zmarła na gruźlicę Vivien Leigh (właśc. Vivian Mary Hartley, 1913–1967), wspaniała aktorka, niezapomniana odtwórczyni roli Scarlett O'Hara w „Przeminęło z wiatrem”. Od wczesnych lat dorosłego życia cierpiała na cyklofrenię – zaburzenia afektywne dwubiegunowe, czyli psychozę maniacko-depresyjną, co niejednokrotnie dramatycznie zaburzało jej życie osobiste oraz występy na scenie czy przed kamerami. Od połowy lat 40. doznawała też powtarzających się napadów przewlekłej gruźlicy, której nawrót ostatecznie spowodował jej śmierć w wieku 53 lat.

Druga wojna światowa i gehenna milionów ludzi w Europie oraz wschodniej Azji spowodowały rozprzestrzenianie się gruźlicy. Gnębiła ona – mimo stosowania już antybiotyków – wielu ludzi dotkniętych terrorem i skrajną nędzą w krajach pobitych przez Niemców i Sowietów (także przez Japończyków na Wschodzie).

Skuteczne zapobieganie gruźlicy zapoczątkowało dopiero wynalezienie i stosowanie szczepionki ochronnej BCG w 1921 r. Leczenie, które doprowadziło

do niemal całkowitego wyeliminowania tej plagi w świecie zachodnim, zaczęło się jednak w drugiej połowie lat 40. XX w. – od stosowania antybiotyków, a zwłaszcza streptomycyny wspomaganą kwasem p-aminosalicylowym PAS. Zbiegło się to z nieznanym wcześniej w historii powojennym rozwojem gospodarki i autentycznej demokracji przejawiającej się także w polepszeniu warunków życia i dobrobycie całych społeczeństw.

W krajach uzależnionych od Związku Sowieckiego, gdzie taki rozwój był niemożliwy, starano się – nawet z niezłym skutkiem – ratować sytuację powszechnością szczepień i dostępnością opieki zdrowotnej. Nie zawsze – mimo wspaniałych, ofiarnych lekarzy – mogła być skuteczna. Oto przykłady dwóch ciekawych postaci leczonych z zaawansowanej choroby w małopolskim szpitalu przeciwgruźliczym w Jarosławcu.

Pierwszą był malarz samouk łemkowski pochodzenia Nikifor zwany Krynickim (właśc. Epifaniusz Drowniak, 1895–1968). Do Jarosławca przywołano go parokrotnie, odkąd w 1960 r. stwierdzono u niego bardzo rozwiniętą i zaniedbaną gruźlicę. Dożył jednak do 1968 r., a więc do 73 lat. Malowane m.in. na tekturkach obrazki tego wyraziciela malarskiego (i życiowego) prymitywizmu osiągają obecnie zawrotne ceny.

Zaledwie 45 lat dożył natomiast Stanisław Grzesiuk (1918–1963), sławny bard czerniakowskiego przedmieścia Warszawy, o którym pisał („Boso, ale w ostrogach”) i śpiewał do końca życia. Gruźlicy nabawił się w straszliwym niemieckim

obozie koncentracyjnym KL Mauthausen („Pięć lat kacetu”), a walkę z chorobą opisał dojmująco w ostatniej, wydanej już po jego śmierci autobiograficznej książce („Na marginesie życia”).

AIDS i COVID

Kiedy wydawało się już, że gruźlica przestała zagrazać w naszym kręgu cywilizacyjnym, w latach 80. XX w. nastąpił jej nawrót. Przypomnę, że w 1993 r. WHO uznała gruźlicę za „zagrożenie globalne”. W Europie sytuacja epidemiologiczna wyrażona zapadalnością na gruźlicę jest zróżnicowana. W Polsce w ciągu lat nastąpiła znacząca poprawa i należymy już, według definicji ekspertów europejskich, do krajów o niskiej zapadalności, czyli niższej niż 20 przypadków gruźlicy na 100 tys. ludności.

Jednak w 2017 r. zarejestrowano u nas 5787 przypadków gruźlicy (umarło 10 razy mniej osób). Współczynnik zapadalności wyniósł 15/100 000 ludności i był nadal wyższy niż średnia w większości krajów UE (np. Niemcy – 7,5; Czechy – 5,4; Słowacja – 4,8). Zapadalność na gruźlicę wyższą niż Polska wykazały m.in.: Portugalia (23,9), Estonia (25,4), Bułgaria (32,1), Łotwa (39,7), Litwa (58,7) i Rumunia (89,7). W Polsce czynnik ów wzrastał wraz z wiekiem: od 1,2 wśród dzieci (po 14. roku życia) do 22,6 wśród osób w wieku 65 lat i starszych.

Ale w latach 80. pojawił się zupełnie nowy współczynnik „zagrożenia globalnego”. To wirus AIDS i powodowana przezeń śmiertelna choroba – HIV. Współistnieją z gruźlicą – co stwierdzają oficjalnie międzynarodowe organizacje – od samego początku epidemii AIDS/HIV. Około 10 mln osób choruje na obie choroby jednocześnie, przy czym 90 proc. pochodzi z krajów Trzeciego Świata. Zakażenie HIV jest bowiem przyczyną stopniowego upośledzenia odporności komórkowej, co prowadzi do znacznego zwiększenia ryzyka rozwoju gruźlicy, jeśli oczywiście zakażenie jej prątkiem wcześniej nastąpiło. A im więcej *Mycobacterium tuberculosis* unosi się w naszym otoczeniu, tym częściej do zakażenia dochodzi... Koło się zamyka i kręci się coraz szybciej. Z tych samych względów gruźlica jest szczególnie groźna jako „choroba towarzysząca” u osób zarażonych COVID-19.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego najbardziej znanym literackim wizerunkiem gułagu, zarówno w ZSRS, jak i na Zachodzie, stało się lapidarne opowiadanie Aleksandra Sołżenicyna?

DARIUSZ TOŁCZYK: Rzeczywiście, mamy rok 2020 i kiedy pytam moich amerykańskich studentów, czy czytali coś o gułagach, zawsze zalega cisza, potem jedna osoba czy dwie wymieniają „Jeden dzień Iwana Denisowicza”. O „Archipelagu GUŁag” czasem ktoś tylko słyszał. Dlaczego właśnie Denisowicz? Otóż śmiem twierdzić, że stało się tak w wyniku swoistej komedii omyłek. Przypomnijmy, że temat łagrów stanowił w ZSRS tabu od roku 1937. Po śmierci Stalina Nikita Chruszczow, żeby zapewnić sobie poparcie aktywu partyjnego w walce o władzę, starał się uspokoić towarzyszy, że pod jego rządami nie powtórzą się krwawe czystki sowieckich elit. W chruszczowskiej mitologii odwilży dominowała opowieść, jak to ideowi bolszewicy padli ofiarą niedobrego tow. Koby, lecz mimo wszystko nie wyrzekli się nigdy wierności partii i ideologii. Władze zapraszały twórców do współpracy w tworzeniu tej narracji. W takiej chwili nieznany wówczas nikomu nauczyciel matematyki z Riazania przekazał wpływowemu pismu literackiemu „Nowy Mir” opowieść o Iwanie Denisowiczu. Bohater, prosty chłop-żołnierz, niewinnie zamknięty w łagrze, stara się przetrwać w nieludzkich warunkach, a autor pokazuje jego zwykły dzień. I tyle, żadnej polityki, żadnych ideowych komentarzy, jedynie konkretny język prostego człowieka.

Czyli władza nie dostrzegła w tekście Sołżenicyna krytyki komunizmu?

Właśnie. Redaktorowi naczelnemu „Nowego Miru”, Aleksandrowi Twardowskiemu, zależało na publikacji. Wiedział jednak, że cenzura tego nie puści, choćby przez ostrożność. I że wyłącznie odgórna decyzja samego Chruszczowa może zapalić zielone światło. Udało mu się przedstawić maszynopis gensekowi, a ten się nim zachwycił, stwierdzając, że to prawdziwa literatura w duchu partyjnym, sam Denisowicz uosabia zaś wzór homo sovieticus. W kluczowej scenie opowieści Iwan – spadkobierca chłopskiej etyki pracy – poświęca się z zapamiętaniem robocie na łagrowej budowie. Chruszczowowi to wystarczyło jako niezbity dowód, że bohater Sołżenicyna jest komunistą – nawet, jeśli sam jeszcze



Kadr z filmu Caspara Wrede'a „Jeden dzień Iwana Denisowicza”
FOT. ALAMY/BEGW

Wywiad / Ze sławistą Dariuszem Tołczykiem



rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Prawda zbrodni i fałsz słów

o tym nie wie, bo przecież w literaturze socrealistycznej wszyscy stachanowcy to komuniści, świadomi tego albo nie, ale – tak czy owak – powodowani instynktem klasowym. I tak, „Jeden dzień Iwana Denisowicza” wyszedł w listopadzie 1962 r. i od razu stał się wielkim wydarzeniem w ZSRS. Mało tego, trafił na Zachód i był tam chwalony przez środowiska, które do tej pory atakowały i odrzucały świadectwa łagrowe. Na przykład francuskie wydanie opowiadania ukazało się z laudacją Pierre’a Daix, redaktora komunistycznego pisma „Les

Lettres Françaises”, które kilkanaście lat wcześniej oczerniało Wiktora Krawczenkę, uciekiniera z ZSRS i autora wstrząsającej książki „Wybrałem wolność”, oraz francuskiego pisarza Davida Rousseta, wyrażającego współczucie dla ofiar gułagów. Teraz Daix wychwalał Sołżenicyna jako rzecznika aktualnej linii sowieckiej kompartii i powtarzał sumiennie za Chruszczowem, że Denisowicz to prawdziwy sowiecki przodownik pracy, któremu nawet gułag nie jest straszny. W wyniku tego qui pro quo Sołżenicyn ze skromnego prowincjonalnego pedagoga

przeistoczył się w światową gwiazdę pisarstwa. Ale zamiast podpisać się pod oficjalną sowiecką interpretacją własnego debiutu, rzucał władzy wyzwania. Niebawem miały ukazać się na Zachodzie jego kolejne książki: „Pierwszy krąg” i „Oddział chorych na raka”. Chruszczow pojął, jak bardzo się pomylił, a wielu byłym wielbicielom Kraju Rad na Zachodzie wstyd się zrobiło, że dali się nabrać. Żeby jednak teraz skrytykować Sołżenicyna, musieliby sami sobie zaprzeczać. Nierazko woleli machnąć ręką, zwłaszcza gdy w latach 1973–1974 wyszedł na Zachodzie „Archipelag GUŁag” – wielkie dzieło, które dzisiaj mało kto czyta, ale które wówczas odmieniło historię.

Wspomniał pan, że temat łagrów stał się w ZSRS zakazany w roku 1937. A jak było wcześniej?

Przemoc bolszewicka od początku interesowała wielu artystów. Czasem była to fascynacja podszyta ambiwalencją, tak jak w słynnym poemacie Aleksandra Błoka „Dwunastu”. Ale przemoc sławiono też w radosnych tonach. Na przykład Włodzimierz Majakowski szydził z pokojowo nastawionych mienszewików i humanitarnych safandulów-inteligentów, wychwalając zawadiacki brak skrupułów u bolszewickich oprawców. Ulubiony poeta Lenina i Stalina, Demian Biedny, zwywał do wytepienia „przeklętego białego robactwa”. Borys Pilniak w powieści „Nagi rok” (1921) zachwycał się urodą bolszewickich funkcjonariuszy w skórzanych kurtkach. Te ubiory czekistów i partyjnych aparatczyków miały akcentować nadludzką twardość, to były swego rodzaju zbroje. Sam Lenin jakoś nie przebrał się w skórę, nosił mieszczański garniturek. Człowiek, po którym go donaszał, być może został zabity, bo wódz rewolucji otrzymał to odzienie ze zdobycznych zapasów czerezwyczajki. Przez długie lata Lenina prezentowano w sowieckiej hagiografii jako wielkiego wizjonera i zarazem dobrego wujaszka. Czytając jednak jego liczne rozkazy i wewnętrzne okólniki, utajnione przez dekady, ujawnione dopiero w dobie głośności, widzi się człowieka kipiącego agresją i okrucieństwem. Jego ulubiony przysłówek to „bezpощадно” – bezlitośnie. Lenin nienawidził inteligenckiej skłonności do moralnych wahań, bo właśnie w nich

dostrzegał główne zagrożenie dla rewolucji. Na przykład nie znosił muzyki klasycznej, gdyż – jak sam przyznał – wywierała ona na nim rozmiękczające wrażenie. Z takich powodów nie cierpiał w ogóle sztuki – chyba że wychwalała sowiecki terror.

Literatury go gloryfikującej w latach 20. nie brakowało...

W piśmiennictwie sowieckim zaroilo się od romantycznie wystylizowanych postaci czekistów zwalczających własne wady w imię rewolucji. Największą słabością okazywało się sumienie. Na przykład tytułowy bohater powieści Ilji Erenburga „Życie i śmierć Nikołaja Kurbowa” nie mógł się zdobyć na zlikwidowanie zakochanej w nim kobiety (która okazała się wrogiem klasowym) i skończyło się to jego samobójstwem. Ale nie brakło też macho o dobrze rozwiniętej świadomości klasowej. Czekista z książki Wiktora Kina „Po tamtej stronie”, przeczytawszy „Zbrodnię i karę” Fiodora Dostojewskiego, nie mógł się nadziwić: „Tyle gadania z powodu jednej staruchy”; jego towarzysz broni z prozy Aleksandra Tarasowa-Rodionowa „Czekolada” stwierdzał: „Kazałem rozstrzelać setkę zakładników i nigdy nie zastanawiałem się, czy oni są winni. Czym jest wina? Czy burżuj jest winien, że jest burżujem? Czy krokodyl jest winien, że jest krokodylem?”.

Kiedy i jak Maksim Gorki przeistoczył się w literackiego propagandystę?

Długo przed rewolucją zyskał międzynarodowe uznanie i pozostawał w bardzo zażyłych stosunkach z samym Leninem. Kiedy jednak bolszewicy zdobyli władzę, był przerażony. Zdążył jeszcze napisać cykl artykułów ostro krytykujących ich nadużycia. Korzystał ze swojej znajomości z Leninem, starając się zapewnić wielu rosyjskim twórcom podstawy bytu i chronić ich przed bolszewicką przemocą. Ale kiedy jego starania o pozwolenie na wyjazd za granicę dla ciężko chorego Błoka oraz prośby o niewykonywanie kary śmierci na poecie Nikołaju Gumilowie (byłym mężu Anny Achmatowej) okazały się bezowocne, demonstracyjnie wyjechał na Zachód. Zamieszkał w luksusowej willi w Sorrento. Jednak nigdy nie spał z sobą mostów. Po kilku latach zatęsknił za Rosją, jego słowa trochę przygasła, zaczynało brakować pieniędzy na wystawny styl życia, do którego przywykł. OGPU bardzo aktywnie szpiegowało Gorkiego. Agentami Gienricha Jagody okazali się zarówno osobisty sekretarz pisarza, Kriuczukow, jak i była żona twórcy, Maria Andriejewa, która ponownie z nim zamieszkała. Stalinowi zależało na pozyskaniu Gorkiego i sprowadzeniu go do ZSRS. Wraz z Jagodą roztaczali przed autorem „Matki” wielkie perspektywy, grali na jego emocjach i wreszcie pisarz się zgodził. Odbił wtedy wiele letnich podróży do Kraju Rad. Wożono go triumfalnie po rozmaitych pokazowych fabrykach, kołchozach, szkołach, sanatoriach itp., a on pisał na ten temat peany. Jagoda osobiście przygotowywał te trasy. W czerwcu 1929 r. zabrano Gorkiego do obozu koncentracyjnego na Wyspach Sołowieckich.

Skąd ów pomysł?

W tym czasie sposób publicznego przedstawiania bolszewickiego terroru i zniewolenia zmieniał się radykalnie. Ostentacyjne pochwały komunistycznego barbarzyństwa ustąpiły miejsca nobliwym wizjom resocjalizacji osobników o zapóźnionej świadomości klasowej w specjalnych ośrodkach terapeutycznych, czyli w łagrach. Strategicznym celem ZSRS stało się stworzenie militarnego supermocarstwa, które, gdy wybuchnie



Odnaka za zasługi dla rozwoju pechorskiego zagłębia węglowego

FOT. WORTHPOINT/WORTHPEdia

■ nowa wojna światowa, dokona ostatecznej rozprawy z imperialistycznym Zachodem, zapewniając komunizmowi globalny triumf. Ale warunkiem sine qua non dla stworzenia takiej potęgi była na razie współpraca z tymże burżuazyjnym Zachodem, ponieważ stanowił on jedyne źródło technologii niezbędnych Sowietom. Jednocześnie Stalin mocno wierzył, że jedynym sposobem na szybkie uprzemysłowienie kraju było masowe wykorzystanie niewolniczej pracy. Zachodni partnerzy ZSRS raczej nie chcieli widzieć się w roli pomocników tyranii, więc należało im dać jakieś moralne alibi, przekonać, że w „ojczyźnie światowego proletariatu” nic złego się nie dzieje i ze Stalinem można robić biznes. W Związku Sowieckim przeprowadzano wtedy kluczowy eksperyment totalitarnej inżynierii społecznej, starając się dowiedzieć, że władza jest w stanie zastraszyć społeczeństwo i ogłupić je do takiego stopnia, by ludzie przestali uważać własnym doświadczeniom, obserwacjom i ocenom, a zamiast tego uważnie wsłuchiwali się w głos partii, która wskaże, co jest prawdą, co jest słuszne, z czego się cieszyć, a czym martwić. I odtąd wszyscy żyć będą długo i szczęśliwie w jednomyślnym, harmonijnym kolektywie. To się nazywało pieriekowka, czyli przekuwanie dusz. Ideałem nowego człowieka został niewolnik gorliwie wychwalający swój los i swoich panów. Dla uwiarygodnienia pieriekowki należało dostarczyć dowodów, że jest ona czymś rzeczywistym, innymi słowy – trzeba było stworzyć iluzję. Przedstawianiem zmyślenia tak, by przemieniło się w prawdę, zajęła się literatura – pisarze zostali inżynierami dusz. Stalin, w przeciwieństwie do Lenina, wysoko cenił kulturę, przypisując jej wielkie moce. Gorki miał opisać łagier sołowiecki jako przykład udanej pieriekowki. Dla ułatwienia przygotowano wiele potiomkinowskich efektów specjalnych, poprzebierano więźniów w lepsze ubrania, urządzono pokazowy szpital, położono białe obrusy, postawiono kwiatki, zasadzono drzewka itp. Pisarz nie był idiotą, więc zaraz się zorientował w sytuacji. W prywatnym notatniku zanotował, że czuje się jak pies: wszystko widzi, lecz milczy. Następnie opublikował – tak jak od niego oczekiwano – entuzjastyczną laudację o cudach przemiany przestępców we wzorowych proletariuszy dokonywanych w soło-



DARIUSZ TOŁCZYK „NIE WIDZIEĆ ZŁA. GUŁAG I INŻYNIEROWIE DUSZ”

PIW

wieckim łagrze. Gorki powrócił w końcu do ojczyzny i do końca życia otaczany był kultem jak chyba żaden inny literat w historii.

Najważniejsze dzieło literackie pieriekowki dotyczyło flagowej inwestycji pierwszej pięciolatki, czyli budowy przez więźniów Kanału Białomorskiego.

Ten zbiorowy tom powstał na początku roku 1934 pod redakcją Gorkiego, któremu towarzyszyli literacki polityk Leopold Awerbach oraz komendant łagru Siemion Firin. Od razu widać, że była to praca na wskroś nowatorska, do tej pory pisarstwo i obozy koncentracyjne stanowiły oddzielne domeny, teraz zaczęły się uzupełniać i przenikać. Władze tworzonego właśnie Związku Pisarzy Sowieckich, odpowiednio zainspirowane przez OGPU, zorganizowały wycieczkę 120 (sic!) pisarzy po nowo zbudowanym przez niewolników Kanału Białomorskim. Następnie zespół 36 autorów stworzył ponad 600-stronicowy panegiryk opiewający triumf pieriekowki na tej budowie. Twórcom literackiego projektu zależało na pozyskaniu pisarzy o różnorodnym rodowodzie artystycznym i politycznym, aby zademonstrować paralelę między przemianą więźniów w sowiecki kolektyw oraz podobnym procesem konsolidacji autorów w sowiecki chór. Wśród opisujących znaleźli się ideowi komuniści, tacy jak Awerbach, ale też na przykład eksbiałogwardzista i syn ministra spraw wewnętrznych Imperium Rosyjskiego, książę Dmitrij Światopełk-Mirski (który właśnie powrócił z emigracji w Anglii), niegdysiejszy sympatyk mieniszewików i przedstawiciel formalizmu Wiktor Szklowski, dawny białogwardzista i emigrant, hrabia Aleksiej Tołstoj, były Polak i futurysta, a obecnie żarliwy prozaik sowiecki Bruno Jasieński wraz z żoną-komunistką Anną Berzin, wzięty humorysta Michaił Zoszczenko i wielu innych. „Biełomorka” został od razu wyniesiony do rangi pomnikowego arcydzieła socrealizmu. Autorzy udowodnili, że są godni swojej nowej roli inżynierów dusz – potrafia prawidłowo kłamać. Każdy z osobna i wszyscy razem.

Monumentalne tomiszcze wycofano z obiegu zaledwie trzy lata po premierze. Dlaczego?

Wewnętrzna logika pieriekowki opierała się na założeniu, że niebawem wszyscy zostaną „przekuci” na nowych ludzi sowieckich i nie będzie już żadnych przeciwników, lecz powszechna harmonia. Tymczasem nadchodzi rok 1937 i wrogowie się mnożą. Czyżby pieriekowka zawiodła? Czyżby nie była prawdą? Bolszewiczcy mentorzy i pedagodzy sami okazali się agentami światowego imperializmu. „Biełomorka” zdobyła zdjęcia. Stalina na pierwszej stronie, na drugiej Jagody, następnie komendantów gułagu, Matwieja Bermiana i pozostałych. Wszystkich – oprócz Stalina – uznano za wrogów ludu. Skazano i stracono. Świat stanął na głowie.

Jak potoczyły się losy autorów?

Różnie. Awerbacha i Firina – protegowanych Jagody – rozstrzelano wraz z nim. Gorki zmarł najprawdopodobniej śmiercią naturalną w roku 1936. Jasieńskiemu, zasiadającemu w prezydium Związku Pisarzy Sowieckich, przypomniano, że jest Polakiem. Został aresztowany i rozstrzelany 17 września 1938 r. Jego małżonka, Anna Berzin, dostała wyrok łączony: osiem lat łagru i trzy zsyłki. Przeżyła. Książę Światopełk-Mirski – jako agent brytyjski – otrzymał 10 lat gułagu. Zmarł na Kołymie po niespełna roku. Studenci w krajach anglosaskich do dziś poznają dzieje literatury rosyjskiej z jego podręcznika. Jednak Aleksiej Tołstoj stał się po śmierci Gorkiego nieformalnym ambasadorem Stalina w świecie kultury. Nawet działał w oficjalnej sowieckiej komisji, która w roku 1944 stwierdziła, że za zbrodnię katyńską odpowiedzialni byli Niemcy. Los chciał, że Stalin mu ufał i podobało mu się jego pisarstwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Dariusz Tołczyk – żoliborzanin, absolwent polonistyki UW, od trzech dekad wykładowca slawistyki na uczelniach w USA (Harvard, Virginia). Autor książek „Gułag w oczach Zachodu” oraz właśnie opublikowanej po polsku „Nie widzieć zła. Gułag i inżynierowie dusz”.

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
JÜRGEN OSTERHAMMEL „HISTORIA XIX WIEKU. PRZEOBRAŻENIE ŚWIATA”**

**WSZECHSTRONNA PANORAMA NAJBARDZIEJ
INNOWACYJNEGO WIEKU W DZIEJACH LUDZKOŚCI.**

W czerwcu 2006 r. w australijskim ogrodzie zoologicznym dokonała żywota żółwica Harriet, która w 1835 r. na wyspach Galapagos poznała młodego badacza natury Karola Darwina. Nie ma już zatem wśród żywych nikogo, kto pamiętałby chińskie powstanie bokserów czy wojnę burską w Afryce. Nikt nie pamięta świata bez żarówki, karabinu maszynowego, samochodu, kinematografu, techniki rentgenowskiej. Nie ma też książki, która przedstawiałaby panoramę XIX wieku z taką wnikliwością, rozmachem i pasją, jak dzieło Osterhammela. Na jej kartach rewolucje, wojny napoleońskie, Pax Britannica, Dziki Zachód czy dominacja i arogancja Europy ukazane są z niezwykłą mocą i plastycznością.

Autor z pasją opisuje osiągnięcia epoki industrializacji: maszynowe przyspieszenie, ruchy emancypacyjne czy triumfalny pochód filmu, ale też jej upiory: krwawe wojny, 16-godzinny dzień pracy, anarchię w rachubie czasu czy komercyjne wystawianie na widok publiczny tzw. osobliwych ludzi. Historia XIX wieku. *Przeobrażenie świata* to nie tylko wybitna praca historyczna, ale przede wszystkim wciągająca lektura, od której trudno się oderwać.

109 zł

oszczędność 97 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

Rok 1912. Po burzliwych wydarzeniach pierwszej rewolucji rosyjskiej z lat 1905–1907 ogromne Imperium Rosyjskie przeżywa okres chwilowej stabilizacji. Reformy premiera Piotra Stołypina zapewniły krajowi stały przyspieszony rozwój gospodarczy. Powoli, ale nieuchronnie modernizuje się rosyjska wieś. Likwidacja tradycyjnej „obszcziny” (wspólnoty wiejskiej) zapoczątkowała proces tworzenia klasy zamożnych chłopów, na których może oprzeć się carat w przyszłości... Pewna stabilizacja dotknęła również życia politycznego kraju. Radykalne partie zepchnięto do głębokiego podziemia, głos politycznej emigracji (Lenina i jego bolszewików) jest ledwo słyszalny w kraju. W Petersburgu rozpoczęła pracę IV Duma państwowa, która coraz bardziej zaczyna przypominać prawdziwy parlament.

W Dumie niesamowitą karierę polityczną robi młody 36-letni lider socjaldemokratów, urodzony w Warszawie Polak, pochodzący ze zubożałej szlachty kresowej Roman Malinowski. Socjaldemokratów w Dumie jest niewielu – 14 na 442 deputowanych – ale są oni niezwykle aktywni, zwłaszcza ich lider, reprezentujący zarówno bolszewików Lenina, jak i mienszewików Plechanowa. Był to stosunkowo krótki okres rosyjskiej historii, kiedy te dwa odłamy rosyjskiej socjaldemokracji odłożyły na bok swe dość głębokie sprzeczności i razem próbowały zaistnieć na legalnej arenie politycznej kraju.

Lider w Dumie

Inauguracyjne przemówienie z tribuny parlamentarnej Romana Malinowskiego. Zapropował on wprowadzenie ustawowego ośmiogodzinnego dnia pracy, powszechnego ubezpieczenia pracujących, a także równouprawnienia wszystkich narodowości imperium. Mówił także o prześladowaniu przez władze carskie robotniczych związków zawodowych, zakazie związkowego druku, masowym zatruciu robotnic w Rydze, wybuchu w ochłińskich zakładach prochowych w Sankt Petersburgu i innych nega-

1912–1918 / Marny koniec podwójnego agenta

Czerwony zdrajca



Mikołaj Iwanow

Roman Malinowski był przyjacielem Lenina i bolszewikiem. A jednocześnie szpiclem ochrony



RYŚ: KRZYSZTOF WĄTRZKOWSKI

tywnych aspektach życia ówczesnej Rosji. Przemówienie Malinowskiego bardzo wysoko ocenił Lenin, który w tym momencie był zwolennikiem dwutorowej walki z caratem: legalnej, za pośrednictwem socjaldemokratycznych deputowanych Dumy, i nielegalnej, za pomocą rozgałęzionej siatki podziemnych komitetów partyjnych. Malinowski, wspaniały utalentowany mówca, niedawny robotnik, oddany sprawie bolszewickiej, był dla Lenina idealnym narzędziem realizacji pierwszej części jego planu walki z caratem.

Swoje oddanie sprawie bolszewickiej Roman Malinowski, jak się wydawa-

ło Leninowi, zaświadczał osobistym do niego przywiązaniem. Regularnie odwiedzał Lenina w polskim Poroninie i Krakowie, znajdującymi się na terenie zaboru austriackiego, składał przywódcom bolszewików obszernie sprawozdania z działalności parlamentarnej i otrzymywał wskazówki co do dalszej działalności. Malinowski zaprzyjaźnił się z żoną Lenina, Nadieżdą Krupską, a także z jeszcze jednym przywódcą bolszewi-



Roman Malinowski FOT. WIKIPEDIA

ków – Grigorijem Zinowjewem. Lenin osobiście układał dla Malinowskiego konspekty jego kolejnych przemówień w Dumie, nakreślał taktykę w stosunkach z mienšewikami, członkami wspólnej frakcji socjaldemokratycznej w Dumie. Powoli Malinowski wysuwał się na drugie po Leninie miejsce w partii bolszewickiej, biorąc odpowiedzialność za całość legalnej działalności partii na terenie Imperium Rosyjskiego.

Talenty polityczne Malinowskiego ocenili również przeciwnicy polityczni bolszewików. Przewodniczący Dumy „oktiabrista” Michaił Rodzianko pisał: „Wyjątkowo ostre wystąpienia Malinowskiego były jednocześnie nadzwyczaj interesujące i merytoryczne, przygotowane w taki sposób, że nie musiałem stosować wobec nich cenzury”. Na ten fakt zwracali uwagę także Lenin i niektórzy inni przywódcy zarówno bolszewików, jak i mienšewików. Najbardziej radykalne odcinki planowanych wystąpień Malinowskiego, bardzo często zaproponowane i doredagowane przez Lenina, niespodziewanie zniknęły w ostatecznym wariantcie przemówień, z którymi lider socjaldemokratów zjawiał się na trybunie Dumy. Tajemnica jego dziwnego zachowania okazała się dość prymitywna. Po Leninie przemówienia Malinowskiego redagował jeszcze jeden człowiek – szef korpusu żandarmerii Stepan Bielecki.

Płatny agent

Zdumiewające, ale drugi po Leninie bolszewicki lider był jednocześnie płatnym agentem ochrony. Jego zarobki w carskiej tajnej policji były prawie niewiarygodne. Trudno w to uwierzyć, ale miesięcznie ten człowiek dostawał od policji do 700 rubli, plus po 25–50 rubli za każde doniesienie o działalności bolszewików. Do tego Malinowski jako członek Dumy państwowej dostawał 350 rubli. Znamienne, że miesięczne wynagrodzenie szefa departamentu policji sięgało jedynie 680 rubli. Od tak ogromnych pieniędzy mogło się zakręcić w głowie każdemu. Malinowski i jego rodzina (miał żonę i dwoje dzieci) zaczęli prowadzić wystawne życie. Na kolację wybierał się do najdroższych restauracji, w Dumie pojawiał się w garniturach od najdroższych krawców, podróżował jedynie pierwszą klasą.

Partijni koledzy donosili Leninowi o podejrzanym zachowaniu Malinowskiego. Ale wódz bolszewików nie brał tego pod uwagę. Dla niego najważniejsze było to, że Malinowski twardo trzymał się generalnej linii partii. Lenin po krótkiej odwilży obrał kurs na zerwanie współpracy z plechanowcami, a Malinowski realizował konsekwentnie jego wskazówki. Paradoxs polegał na tym, że również kierownictwo policji dążyło do rozpadu zjednoczonej socjaldemokratycznej partii. W ten sposób Malinowski działał we wspólnym policyjno-leninowskim interesie.

Drugi paradoxs działalności Malinowskiego polegał na tym, że współpracując z policją, był on przekonany, że działa na korzyść ruchu robotniczego. Działalność agenturalną rozpatrywał jako rzecz marginalną, która ułatwia mu pracę partyjną. Niektórzy badacze rosyjscy przypuszczają, że Lenin wiedział o policyjnych koneksjach swego kolegi partyjnego, ale również był przekonany, że w ten sposób da się wyrolować policję. Rzeczywiście bardzo często kierownictwo policji musiało wykazywać swemu agentowi niezadowolenie, a czasem i reprimendę za jego rewolucyjną antyrządową postawę w Dumie. Malinowski zarekomendował siebie w rosyjskim parlamencie jako twardego leninowca, niektórzy nawet nazywali go „cieniem Lenina”, człowiekiem, który konsekwentnie realizuje wszystkie wskazówki lidera partii. Doprowadziło to do ostatecznego podziału we frakcji socjaldemokratycznej i wyodrębnienia dwóch zwalczających się nawzajem grup deputowanych: bolszewików i mienšewików.

Przekonanie Malinowskiego, że jego współpraca z policją dostarcza więcej korzyści dla partii, niż powoduje szkód, nie odpowiadało rzeczywistości. Na podstawie agenturalnych informacji Malinowskiego ochrona w roku 1910 sporządziła 25 tajnych raportów, w roku 1911 – 33 raporty, w 1912 – 23 raporty, w 1913 – 7 raportów. Dzięki tym doku-

mentom doskonale wiedziała, co się dzieje w kierownictwie partii, i mogła nawet manipulować partyjną polityką w wygodnym dla siebie kierunku. Malinowskiemu udało się dostarczyć policji archiwum dumskiej frakcji socjaldemokratów, listę robotników prenumerujących „Prawdę” i inne partyjne wydawnictwa. Co więcej, na podstawie informacji Malinowskiego zostali aresztowani i uwięzieni lub zesłani na Syberię czołowi działacze bolszewicy: Jakow Swerdłow, Sergo Ordżonikidze, Nikołaj Bucharin i wielu innych. W 1913 r. trafił za kraty dzięki donosowi Malinowskiego i Józef Stalin. Czyżby była to jedna z przyczyn polonofobii przyszłego dyktatora Związku Sowieckiego, która znalazła wyraz w ludobójstwie 200 tys. Polaków sowieckich w okresie wielkiego terroru?

Oprócz przemówień, w których zawzięcie bronił ideologii bolszewizmu, w latach 1912–1914 brał on udział we wszystkich konferencjach partii. Jego artykuły regularnie pojawiały się w partyjnym głównym organie – „Prawdzie” – i innych wydawnictwach partyjnych. Leninowi szczególnie odpowiadała niezwykła aktywność Malinowskiego w związkach zawodowych, jego liczne probolszewickie wystąpienia w środowisku robotniczym.

Jednocześnie w specjalnych gabinetach drogiej petersburskich restauracji przeważnie w godzinach wieczornych Malinowski spotykał się z szefem ochrony Stepanem Bieleckim, któremu towarzyszył wicedyrektor departamentu policji Siergiej Wissarionow. Świadczy to, jak bardzo był ceniony ten agent i jaki stopień wtajemniczenia towarzyszył tym spotkaniom. Wissarionow odgrywał rolę protokolanta i eksperta. Informacji o tak ważnym agencie nie można było powierzyć nikomu z szeregowych pracowników policji.

Podwójna działalność Malinowskiego jednak nie mogła trwać wiecznie. Niespodziewanie kres jego podwójnej działalności położyli nie bolszewicy, nie Lenin, lecz ochrona. Na przełomie lat 1913 i 1914 zmieniło się kierownictwo departamentu policji. Nowy szef Władimir Dżunkowski zdecydował się przeprowadzić gruntowną reformę swego departamentu. Przyjęto ustawę zabraniającą werbowania agentów wśród zawodowych żołnierzy, urzędników państwowych i deputowanych Dumy. Malinowskiemu zaproponowano ustąpienie ze stanowiska.



Roman Malinowski (szósty z lewej) wśród członków frakcji socjaldemokratycznej w Dumie, 1913 r. Obok: odznaka WCzK/GPU

FOT. WIKIPEDIA

■ Na kolejnym tajnym spotkaniu Malinowskiemu ogłoszono detale jego dymisji. Otrzymał on szczodre odstępnę – 6 tys. rubli, a także obietnicę, że wszystkie kompromitujące go dokumenty zostaną zniszczone.

Malinowski znalazł się w sytuacji bez wyjścia i 5 maja 1914 r. został zmuszony złożyć na ręce przewodniczącego Dumy państwowej swą rezygnację z mandatu posła. Kilka dni później dwóch agentów ochrony odprowadziło Malinowskiego do granicy imperium. Wydawało się, że były już agent na zawsze opuścił kraj. Ale Malinowski nie byłby Malinowskim, gdyby zgodził się zrezygnować z polityki i udać na spokojną emeryturę. Zamiast ukryć się przed zemstą swych towarzyszy, skierował się wprost do Poronina, do Lenina, będąc pewnym, że uda mu się przekonać lidera partii o swej niewinności.

Tam sam wystąpił do kierownictwa partii z prośbą o utworzenie specjalnej komisji śledczej w celu zbadania jego działalności partyjnej i okoliczności odejścia z Dumy. Komisję w składzie: Włodzimierz Lenin, Jakub Ganecki i Grigorij Zinowjew utworzono natychmiast. W ciągu prawie dwóch miesięcy zbadano wszystkie detale kariery partyjnej oskarżonego. Jako świadków przesłuchano Nikołaja Bucharina, Eugeniusza Rozmirowicza, Michała Saweljewą i wielu innych działaczy. Niektórzy wysłali z Rosji pisemne świadectwa na temat Malinowskiego. W rezultacie oczyszczono go ze wszystkich zarzutów. Lenin napisał na ten temat:

„Nikt z członków komisji nie znalazł absolutnie żadnych dowodów zdrady. Ustalono, że Malinowski nie był i nie jest prowokatorem. Zwrócono się również do wybitnego specjalisty w dziedzinie ujawnienia prowokatorów Włodzimierza Burcewa, który również wykluczył możliwość prowokacji. Napisał do nas: »Nie dopuszczam nawet samej myśli o tym, że oskarżenia wobec Malinowskiego miały jakiekolwiek podstawy«. Lenin nie był jedynym wśród czołowych bolszewików, którzy z pogardą odrzucali oskarżenia Malinowskiego. Ariadna Kollantaj pisała na ten temat: »Oskarżyciele nie mają żadnych dowodów, to wszystko jedynie plotki, poniżające plotki, oni chcą wykorzystać sprawę Malinowskiego w celu rozpoczęcia czołowej nagonki na bolszewików».

Z początkiem pierwszej wojny światowej Roman Malinowski został zmobilizowany i trafił na front. Pojawiła się informacja o jego śmierci. Nekrolog w partyjnym organie – gazecie „Socjaldemokrata” – został podpisany przez Lenina i Zinowjewa. Pisano w nim, że Malinowski „w sensie politycznym był człowiekiem sumiennym, którego wrogowie próbowali oskarżać o niechlubne czyny”.

Kres w WCzK

Malinowski jednak nie zginął, lecz trafił do niewoli niemieckiej. Lenin w „Socjaldemokracie” napisał w związku z cudownym ocaleniem swego protegowanego: „Mówią, że ludzie, których ogłaszają zmarłymi, później bardzo długo żyją. Życzymy tego również Romanowi Malinowskiemu”. Tym razem Lenin się pomylił. Życ Malinowskiemu pozostało niespełna trzy lata.

W obozie jenieckim Roman Malinowski wykonywał ogromną pracę oświatową wśród rosyjskich jeńców, występował z lekcjami i odczytami na temat aktualnej polityki bolszewików, tłumaczył podstawowe dogmaty marksizmu, obarczał carat winą za krwawą wojnę imperialną. O jego wystęпах stało się dość głośno, co wywołało niepokój i oburzenie jego niedawnych mocodawców z departamentu policyjnego.

W Petersburgu nawet planowano wymienić go na jednego z niemieckich oficerów w rosyjskiej niewoli i w ten sposób zmusić do milczenia. Lenin natomiast, będący konsekwentnym zwolennikiem porażki Rosji w wojnie, ostatecznie, jak się rzekomo wydawało, przywrócił Malinowskiego do łask. Były szef frakcji bolszewickiej w Dumie otrzymywał od partii maksymalnie możliwą pomoc finansową, przesyłki żywnościowe, niezbędne do prowadzenia propagandy bolszewickiej materiały drukowane, publikacje prasowe, książki. Aktywnie posługiwano się międzynarodowym Czerwonym Krzyżem.

Rozpoczęcie życia od nowa Malinowskiemu jednak nie wyszło. Po

rewolucji lutowej w 1917 r. Rząd Tymczasowy stworzył specjalną komisję śledczą do spraw zbadania bezprawnych działań departamentu policji. Wysłała na jaw całą wieloletnią agenturalną działalność Malinowskiego. Czy to wreszcie przekonało Lenina

o zdradzie jego protegowanego? Nie mamy jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Wódz bolszewików tym razem nie bronił ślepo Malinowskiego, lecz oskarżył mieniszewików o próbę kolejnego oczernienia bolszewików za pomocą sprawy Malinowskiego.

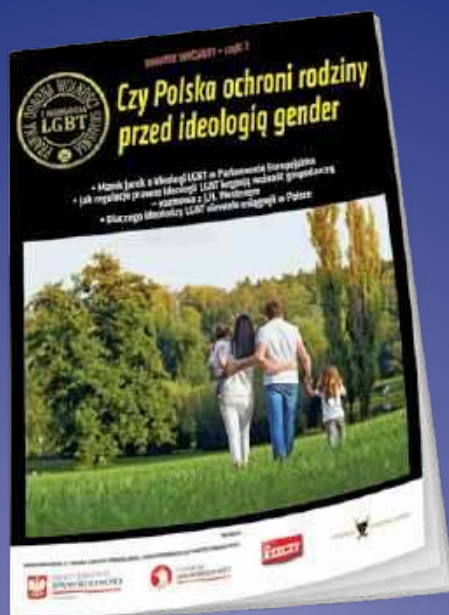
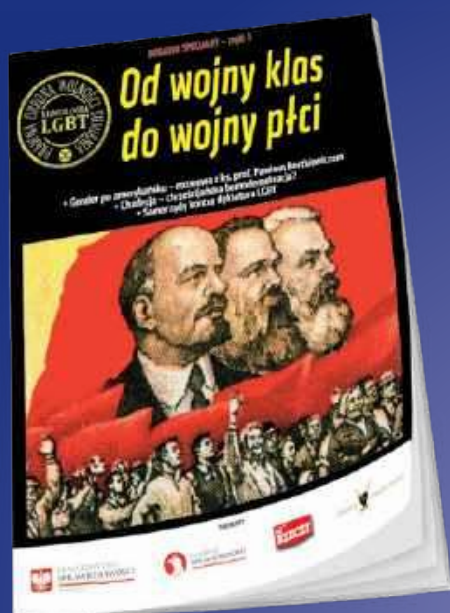
Sam Roman Malinowski do ostatnich dni żył nadzieją, że jego zasługi dla partii wyraźnie przeważają nad winami, że uda mu się kolejny raz obronić swe dobre imię. Skąd taka naiwność? Czy była to wiara we wszechwładzę Lenina, z którym wiązały Malinowskiego stosunki specjalne?

20 października 1918 r., w wyniku podpisania układu pokojowego w Brześciu między I Rzeszą Niemiecką a Rosją bolszewicką, Roman Malinowski wrócił do kraju. W Petersburgu sam z własnej woli zgłosił się do sekretarza partii bolszewickiej, oświadczając, że oddaje się w ręce sowieckiego wymiaru sprawiedliwości z nadzieją, iż uda mu się uzyskać wybaczenie za swe czyny. Pomylił się zdecydowanie. Pomylił się głównie dlatego, że liczył na pomoc Lenina. Wódz bolszewików w tym momencie jednak był po ciężkim zranieniu w wyniku zamachu na kuracji i po prostu fizycznie nie był w stanie niczego zrobić dla Malinowskiego. Aresztowano go i wysłano do Moskwy do więzienia WCzK (Wszechrosyjska Czerewycyjska Komisja).

Malinowski pomylił się również dlatego, że trafił na okres apogeum czerwonego terrorku, kiedy tysiące ludzi rozstrzeliwano bez sądu. 5 listopada odbył się proces sądowy, który trwał bardzo krótko. Jako świadkowie wystąpili więźni przez WCzK byli kierownicy departamentu policji – Wissarionow, Dżunkowski i Pletniow, którzy jedynie potwierdzili to, co już wcześniej zeznali przed komisją śledczą Rządu Tymczasowego. W tej sytuacji wyrok mógł być tylko jeden – kara śmierci, którą wykonano tego samego dnia. Rozstrzelano również i świadków-policyjantów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatki w wersji elektronicznej
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONETEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Tomasz Stańczyk

/ Zygmunt Szczesny Feliński był patriotą, który sprzeciwiał się bezcelowemu przelewaniu krwi. Rozpętano przeciw niemu kampanię nienawiści

W 1861 r. w Warszawie wrzało. W lutym wojsko carskie strzelało do demonstrantów. Padło pięciu zabitych. Ludność miasta

urządziła im manifestacyjny pogrzeb. Kolejna demonstracja, w kwietniu, na pl. Zamkowym, przyniosła znów ofiary śmiertelne. 15 października, dzień po wprowadzeniu stanu wojennego, odbywały się w warszawskich kościołach nabożeństwa za duszę Tadeusza Kościuszki. Żołnierze rosyjscy wtargnęli do kościołów, w których śpiewano „Boże, coś Polskę”, i dwa z nich sprofanowali. W odpowiedzi ks. Antoni Białobrzeski, wikariusz kapitulny archidiecezji, rozkazał w proteście zamknąć wszystkie kościoły. Władze zaborcze zareagowały brutalnie: aresztowały duchownego i skazały go na karę śmierci, zamienioną potem na zesłanie.

W lutym 1862 r. przybył do Warszawy nowy metropolita, abp Zygmunt Feliński. Miał prawo czuć się nad Wisłą obco, ponieważ całe swoje dotychczasowe życie spędził poza Królestwem Polskim. Na dodatek opinia publiczna i znaczna część księży uznały go za sługę Petersburga, a niektórzy duchowni byli po prostu zazdrośni, że to nie jeden z nich został arcybiskupem.

Feliński urodził się 40 lat wcześniej, w 1822 r., w Wojutynie na Wołyniu. Jego stryjem był poeta Alojzy Feliński, twórca słynnej pieśni „Boże, coś Polskę” i pierwszy dyrektor Liceum Krzemienieckiego. I choć w ramach represji po powstaniu listopadowym szkoła została zlikwidowana, to byli w Krzemieńcu jeszcze niektórzy nauczyciele. Dlatego Ewa Felińska przeniosła się do tego miasta

1862–1863

/ W przedpowstańczej i powstańczej Warszawie

Arcybiskup Zygmunt Szczesny Feliński

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Dramat arcybiskupa

w 1837 r. Zaprzyjaźniła się wówczas z Salomeą Bécu, matką Juliusza Słowackiego. Rok później Felińska, jako uczestniczka spisku Konarskiego, została aresztowana i zesłana na kilka lat, bez dzieci, w głąb Rosji.

Zygmunt zajął się ziemianin Zenon Brzozowski, umożliwiając mu zdobycie wykształcenia na Uniwersytecie Moskiewskim. Później Feliński został nauczycielem jego dzieci. Kontynuował naukę na Sorbonie. W Paryżu poznał

starszego o 13 lat Słowackiego i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Z Paryża wyjechał w 1848 r. do Wielkopolski i wziął udział w działaniach powstańczych, odnosząc poważną ranę. Jeszcze tego samego roku widział stłumienie rewolucji w Paryżu. Wydarzenia te z pewnością wpłynęły na jego spojrzenie na sprawy polskie, gdy objął warszawski tron arcybiskupi.

W 1849 r. Słowacki umarł na rękach Felińskiego. „Wobec cierpień ojczyzny i utraty przyjaciela życie wydawało mi się gorsze od śmierci” – pisał Feliński w pamiętniku. Chęć do życia odbierało mu też zakochanie się w żonie jego dawnego opiekuna, uczucie niemożliwe do spełnienia.

Miał prawie 30 lat, gdy wstąpił do seminarium duchownego w Żytomierzu. Po święceniach pracował w petersburskiej Akademii Duchownej jako wykładowca filozofii i ojciec duchowny alumnów.

Niemożliwe posłannictwo

Znając stan umysłów w Królestwie Polskim, Aleksander II nie życzył sobie, by arcybiskupem warszawskim został ktoś z miejscowych księży. Aleksander Wielopolski, który rozpoczął już swoje starania o poprawę bytu, także narodo-wego, mieszkańców Królestwa Polskiego, podsunął carowi kandydaturę Felińskiego, księdza nieuwikłanego w układy i emocje polityczne panujące w Warszawie. Choć oczywiście to papież wyznaczał biskupów, ale w Rosji nie mogło się to stać bez zgody cara. Podczas audiencji u Aleksandra II Feliński dowiedział się, że władca oczekuje od niego uspokojenia nastrojów i osłabienia wpływu „szalonych warchołów”. Feliński zgadzał się, bał się, jak sam stwierdzał, „zapalnego naszego i nieogłędnego charakteru narodowego”, który może ściągnąć na Polaków klęskę.

Tonowanie emocji było jednak ogromnie trudne. „Z postawieniem nogi na ziemi warszawskiej rozpoczęło się moje trudne, po ludzku mówiąc, niemożliwe posłannictwo” – wyznawał Feliński.

Przyjęty został chłodno przez wiernych i duchowieństwo jako człowiek z zewnątrz, „rządowy”. Nie mówiąc już o tym, że arcybiskupa 40-latkę warszawscy księża uważali za „młokosa”.



Aleksander Lesser „Pogrzeb pięciu poległych” FOT. MNK

Biograf arcybiskupa Ignacy Polkowski stwierdzał, że „motłoch i gawiedz uliczna, na których nie zbywało tak w mieście, jak i na wsi, wrzeszczeli, że to gwałt, że to nieprawdy biskup, że to Moskal”, a posługę Fijałkowskiego w Warszawie nazwał „ustawiczną, ciężką koroną cierniową”.

Złe wrażenie zrobiło kazanie Felińskiego, w którym mówił, że car mógłby wiele zrobić dla Polaków, ale najpierw trzeba zaniechać manifestacyjnych nabożeństw i patriotycznych śpiewów w kościołach. Złe przyjęto słowa wzywające do spokoju: „Tam, gdzie chlebem powszednim mieszkańców kraju jest bezbożność, samolubstwo i wzajemna nienawiść, gdzie słychać bluźnierstwa tylko, przechwałki i groźbę lub krzyki nienawiści i rozpacz, tam, mówię, społeczeństwo zamiast krzepnąć, rozpręga się i popada w ruinę”.

Feliński, który deklarował: „Polakiem jestem, Polakiem umrzeć pragnę, bo tego chce Boskie i ludzkie prawo”, uważał, że „patriotyzm prawdziwy nie na głośnych okrzykach, lecz na sumiennej a wytrwałej pracy dla dobra kraju zależy; pragnę iść z całą duszą z całym narodem, ową drogą wewnętrznych zasobów narodowych, co pomyślność kraju pomnażają”. Podkreślał, że nie należy schodzić ze ścieżki legalizmu. To odpowiadało stronnictwu białych.

Nie podobało się takie stanowisko radykalnej części opinii publicznej, nie podobało się szczególnie pracemu do konfrontacji stronnictwu czerwonych. Czy te grupy reprezentowały większość społeczeństwa? Raczej wątpliwe. Hierarcha proponował właściwie program pracy pozytywnej, którą mądrzy Polacy – po szkodzie, jaką wywołało powstanie styczniowe – podjęli.

Odbywały się wrogie demonstracje przeciw arcybiskupowi. Grupa młodzieży głośno zachowywała się w kościele podczas kazania Felińskiego, zdarzały się gwizdy. Gdy arcybiskup chciał udzielić błogosławieństwa, rozległ się głos: „Niech nikt nie kłeka”, po czym część osób wyszła ze świątyni. Posłużono się też rozpuszczoną plotką, że – jakoby – podczas spowiedzi dowiedział się od trzech osób o jakichś politycznych spisach i wydał tych ludzi carskiej policji.

Feliński doprowadził do otwarcia kościołów, zamkniętych od kilku miesięcy, i do ponownego poświęcenia dwóch z nich, gdyż zostały sprofanowane. To znów nie podołało się patriotycznie rozemocjonowanym wiernym, którzy żądali, by przedtem Rosjanie zwolnili osoby uwięzione za działalność patriotyczną.

Nie ugiął się jednak arcybiskup przed żądaniami Rosjan, by nie święcić dwóch sprofanowanych kościołów. Taka uroczystość oznaczałaby uznanie, że faktycznie do tego doszło.

Kiedy na murach miasta pojawiły się ogłoszenia o otwarciu świątyni, arcybiskupa spotkał kolejny afront. Na ogłoszeniach naklejano rysunki przedstawiające go z kluczami w jednym ręku oraz nahajką w drugim i w towarzystwie dwóch kozaków.

Arcybiskup Feliński był zdecydowany skończyć z manifestacyjnymi śpiewami w kościołach, podkreślając jednocześnie, że nikt nie zabrania modlić się za ojczyznę. A księża mówili, że wobec nastrojów wiernych zakaz śpiewów będzie nieskuteczny, a oni narażą się na zarzut, że nie są z narodem. Na spotkaniu z księżmi z archidiecezji Feliński został zaatakowany przez jednego z nich,

ks. Karola Mikoszewskiego, członka konspiracji czerwonych, który zarzucił arcybiskupowi, że chce zamknąć usta ludowi pozbawionemu wolności. Mikoszewski właściwie wezwał do nieposłuszeństwa, mówiąc, że „żaden kapłan nie pójdzie w ślady pasterza, który sam swoją owczarnię na pastwę wilków chce oddać”.

Jednak arcybiskup odparł ten atak, zarzucając ks. Mikoszewskiemu, że gdy został aresztowany, ratując własną skórę, przyrzekł, iż w jego kościele patriotycznych śpiewów nie będzie. Mikoszewski nie pozostał mu dłużny i na łamach tajnego pisemka „Głos Kapłana Polskiego” nazwał arcybiskupa zdrajcą ojczyzny. A tak nazwany arcybiskup wymógł, po śmierci dziewczyny aresztowanej za patriotyczne śpiewy i zmarłej z powodu brutalności policji, by wojsko oraz policja trzymały się z dala od kościołów.

Nie zmieniało to faktu, że opinia publiczna była podburzana przez stronnictwo czerwonych, prące do konfrontacji. Pewnego razu, jak podaje biograf arcybiskupa ks. Adam Zelga, na Felińskiego i przebywającego w ogrodzie z przyjaciółmi ks. Wincentego Majewskiego posypały się kamienie, a towarzyszyli im okrzyki: „Fagas wielkiego księcia Konstantego!”. Arcybiskup odezwał się wówczas: „Widziałeś, słyszałeś, Wincenty... To moja największa Kalwaria... Wiesz, jak kocham Polskę, jak kocham moich braci i jak pragnę dla nich pracować, a oni robią mnie fagasem moskiewskim, najmitą i zdrajcą...”.

Czerwoni prowadzący powstańcze przygotowania ściągali od wielu ludzi datki na ten cel. Płacono z przekonania, ale i, nie dzielając radykalnych poglądów, ze strachu przed spiskowcami. Także u arcybiskupa pojawił się wysłannik i prosił o pieniądze. Feliński zdecydowanie odmówił, wskazując, że jest przeciwny spiskom oraz „rewolucyjnym knowaniom” i nie zamierza być obłudny oraz konformistyczny, wspierając je datkiem. Oczywiście posłużyło to za dowód, że arcybiskup nie jest patriotą.

15 stycznia 1863 r., kilka dni przed wybuchem powstania, Feliński mówił do księży, że duchowni nie mogą nie potępiać zamachowców. A były próby zabicia Wielopolskiego wdrażającego korzystne dla Królestwa Polskiego reformy i na

nader dobrze ustosunkowanego do Polaków wielkiego księcia Konstantego.

Po wybuchu powstania

Chociaż abp Feliński był gorącym przeciwnikiem powstania, to po jego wybuchu poprosił o dymisję ze stanowiska członka Rady Stanu. Wielki książę Konstanty przekonywał go, że taki gest zostanie odebrany jako aproba dla powstania i wpłynie na to, że niezdecydowani zasilą szeregi walczących. Arcybiskup przypominał, że dawał wiele razy dowody sprzeciwu wobec spisków i konspiracji. Oświadczył jednak: „Tam, gdzie krew się leje i gdzie represja coraz surowszy przybiera charakter, miejsce Pasterza nie jest obok wodza prowadzącego zbrojne zastępy na lud obłąkany może, ale w dobrej wierze działający”. Ostatecznie dymisję dostał.

Co więcej, Feliński napisał list do Aleksandra II, w którym mocno wyraził to, czego oczekują Polacy. „Polska nie zadowolili się autonomią administracyjną, potrzebuje życia politycznego [...]. Uczyni z Polski naród niepodległy, połączony z Rosją tylko dynastycznym węzłem. Jest to jedyne rozwiązanie zdolne powstrzymać rozlew krwi i położyć stałe trwałe pokoju podwaliny”. Listu tego wielki

książę Konstanty, zapoznawszy się z jego treścią, nie zamierzał jednak przekazywać bratu.

Gdy zbliżało się Boże Ciało, władze rosyjskie w Warszawie nalegały, by arcybiskup nakazał odbywanie procesji w kościołach, a nie na zewnątrz. Feliński zdecydowanie odmówił, stwierdzając, że Kościół nie będzie sam ograniczał swoich praw. Zapewnił, że procesje odbędą się spokojnie. Tak też się stało. „Był to najpiękniejszy dzień mojego pasterstwa – wspominał Feliński – gdyż w tym dniu Kościół zatriumfował jawnie nad terroryzmem rządu, jak i rewolucji”.

W czerwcu 1863 r. w Cytadeli powieszono kapucyna Konarskiego, w stroju zakonnym, za to, że brał udział w powstaniu. Feliński zareagował ostrym protestem. W tym samym miesiącu we francuskiej prasie opublikowano list arcybiskupa do cara, w tym samym numerze, w którym wydrukowano francuską notę do władz Rosji, co mogło zrobić w Petersburgu wrażenie skoordynowanej akcji. List ten, jak stwierdzał sam Feliński, dostał się na Zachód przez „niedyskrecję osób trzecich”.

Wezwano go wówczas do Petersburga, by się wytłumaczył z tego i z całej działalności, która się nie podobała władzom. Ale nie dojechał do stolicy, zatrzymano go w pałacu w Gatchynie. Rozmowa z arcybiskupem nie zadowoliła wysokiego carskiego dygnitarza. „Czy to do religii należy, czy ten lub inny kraj będzie tak lub inaczej politycznie konstruowany?” – pytał. Feliński replikował: „Religia ukazuje jasno nie tylko prywatne, ale i społeczne obowiązki i staje zarówno na straży praw człowieka, jak i praw narodu”. Car zażądał wyjaśnień na piśmie. Feliński zauważył w nich, że nie można winić Polaków, iż chcą odzyskać utraconą niepodległość i że są patriotami.

W efekcie arcybiskup został na 20 lat internowany w Jarosławiu nad Wołgą. W 1883 r. papież zwolnił go z obowiązków arcybiskupa warszawskiego. Feliński osiadł w Dźwiniacze, we wschodniej Galicji. Zmarł w 1895 r. w Krakowie. Dwadzieścia pięć lat później, już w wolnej Polsce, trumnę arcybiskupa złożono w podziemiach katedry warszawskiej.

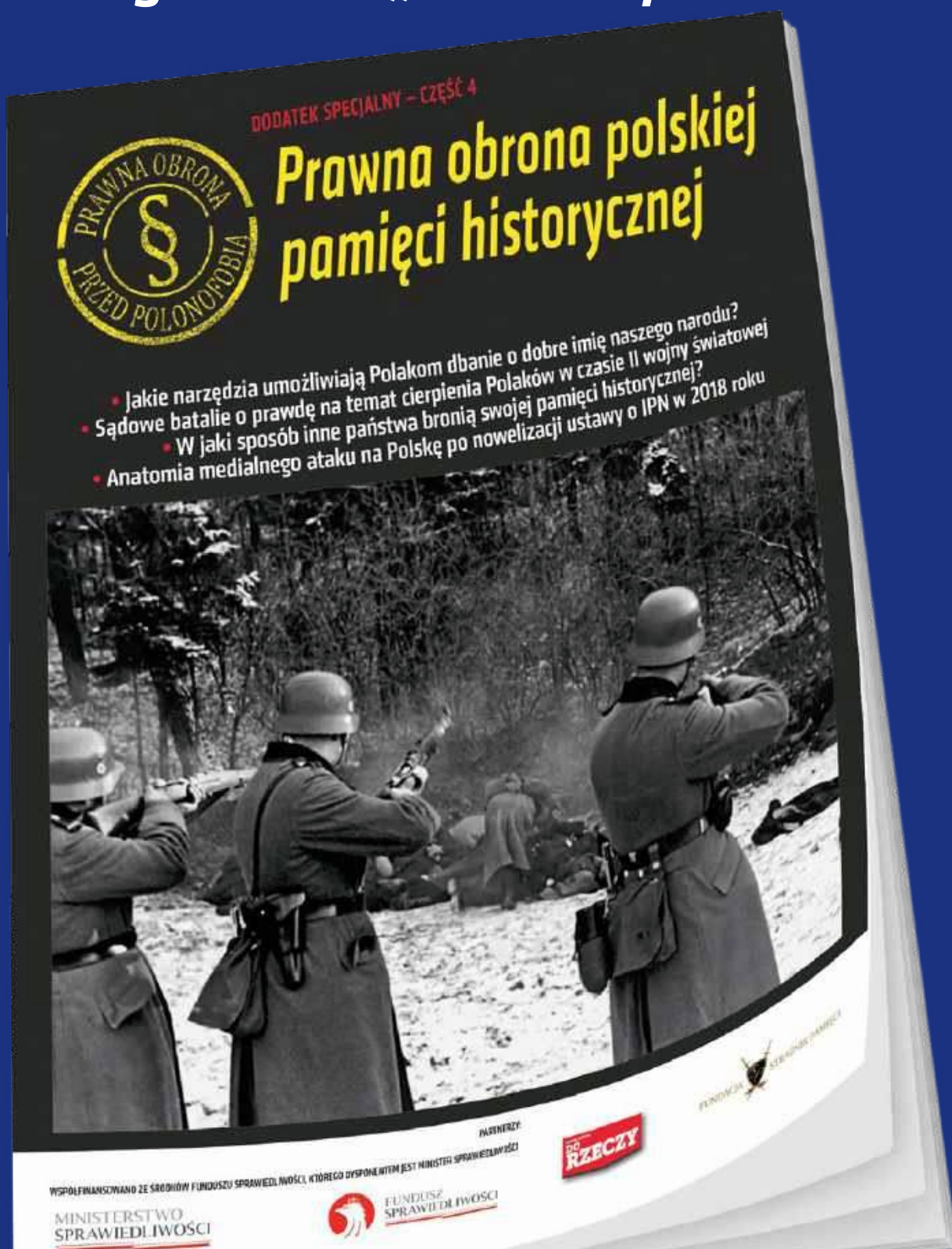
W 2002 r. Jan Paweł II beatyfikował Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, a kanonizował go w 2009 r. Benedykt XVI.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Artur Grottger „Zamknięcie kościołów” FOT. WBP W LUBLINIE

Już 14 grudnia w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

1903–1969

/ Literacko-miłosny związek dwóch pisarek

Szklanka wody

Anny Kowalskiej



Krzysztof Masłoń

/ Do Marii Dąbrowskiej pisała w 1946 r.: „Nie skarż się na dwoistość uczuć. Najgorzej, gdy nie ma ich wcale”

Powiedzieć, że książek zmarłej w 1969 r. Anny Kowalskiej nikt dziś nie czyta, byłoby wyważaniem otwartych drzwi. Jej powieści i opowiadania nie

cieszyły się czytelnickým wzięciem już w momencie wydania, choć miały niezgorsze, a nawet pochlebne recenzje i, w istocie, przynajmniej niektóre z nich, z „Na rogatce” na czele, zasługują na przetrwanie. Dający się zauważyć obec-

nie renesans zainteresowania Kowską wiąże się jednak nie z jej twórczością, ale osobą. Głównie z preferencjami seksualnymi tej towarzyszką życia – innej pisarki, Marii Dąbrowskiej.

Ich związek trwał 22 lata. W tym czasie wymieniły ze sobą 2,3 tys. listów, ale nie była to bynajmniej miłość korespondencyjna. Po raz pierwszy uczucie to skonsumowały w 1943 r. Anna miała wtedy 39 lat, Maria 53. Pierwsza była żoną o 10 lat starszego prof. Jerzego Kowalskiego, filologa klasycznego, któremu w 1946 r. urodziła córkę Marię, zwaną w domu Tulą. Towarzyszem życia drugiej

prawdą, że społeczeństwo, w którym żyły pisarki, było, owszem, zdecydowanie bardziej pruderyjne, ale też przyjmowało do wiadomości istnienie czegoś takiego jak zdrada, wstyd i grzech.

O tym ostatnim pozwalam sobie przypomnieć z uwagi na przedśmiertną spowiedź Anny Kowalskiej, po 42 latach od chwili, gdy uklękła przed konfesjonalem. „Nie bez wahania, ale staje po stronie wiary” – pisze Sylwia Chwedorczyk w wydanej ostatnio, świetnie napisanej (w przeciwieństwie do „rewelacji” Kry-

tyki Politycznej) książce „Kowalska. Ta od Dąbrowskiej”. To wskazanie w tytule, o którą Kowalską chodzi, ma głęboki sens, niejednokrotnie bywała wszak mylona z Anką Kowalską, autorką „Pestki”.

Poczwórne kłamstwa

Pierwsze osobiste notatki Anna Kowalska zaczyna sporządzać już w 1916 r. Rodzi się wówczas jej uczucie do swojej nauczycielki, Marii Jarosiewiczówny, zdecydowanie przekraczające dziecinne zauroczenia charakterystyczne dla, proszę wybaczyć, „cielecego” wieku. Dochodzi do tego, że Jarosiewiczówna zakazuje dziewczynie przychodzić do swego domu, a dyrektorka szkoły prosi uczennicę, by od nowego roku uczyła się gdzie indziej. Rozżalona Kowalska (wtedy Chrzanowska) pisze: „Niechaj Bóg przebaczy tym, którzy zbezczeszcili mą pierwszą niewinną, dziecinną miłość”.

Ma 11 lat, gdy na zawsze opuszcza dom rodzinny, przeprowadzając się do ciotek i babki Desiree Quinton, rodowitej Francuzki. Wychowaniu u ciotek zawdzięczać będzie wyśmienitą znajomość francuskiego, ale dzieciństwo jej jawi się jako pasmo traumatycznych

był Stanisław Stempowski, 19 lat od niej starszy socjalista, działacz społeczny, w swoim czasie wybitny mason, ojciec świetnego eseisty pisującego także jako Paweł Hostowiec, Jerzego Stempowskiego. Obie panie były biseksualne. Ciekawe, że Anna Kowalska, chyba dopiero pisząc w końcu życia „Szczelinę” (1967), zdaje sobie sprawę z maskulinizmu swojej natury.

Prawdziwej natury ich związku dowiodły dopiero publikacje ich spisanych długimi latami „Dzienników”. Te, które były wyszły spod pióra Marii Dąbrowskiej, poznawaliśmy stopniowo,

udostępniane były bowiem z ogromną dbałością, by przypadkiem czytelnicy nie zgorszyli się życiem prywatnym autorki „Nocy i dni”. W ogóle działały się cudawianki, z rekordem świata pobitym przez Tadeusza Drewnowskiego, który – pisząc biografię Dąbrowskiej – raczył nie zauważyć jej lesbijsstwa. Jest też jednak

FOT. ARCHIWUM Cezarego GAWRYŚIA/FOTODIWA



■ raczej przeżyć. W tym domu jej ojciec, nadstróżnik miejski we Lwowie, traktowany był z pobłażaniem, matkę nazywano „prostaczką”, a ją samą „grubaską”. W 1927 r. umrze jej matka; odtąd prowadzić będzie swój dziennik do samego końca, gdy przegra śmiertelną walkę z rakiem. W 2008 r. dziennik ten ze wstępem Julii Hartwig, w wyborze i opracowaniu Pawła Kądzioły, ukaże się nakładem Iskier. Kto wie, co zasugerowała Julia Hartwig, czy rzeczywiście nie jest to „najciekawszy dokument literacki Anny Kowalskiej”?

I oto w 1962 r. autorka przegląda „Dzienniki” z lat 1933 i 1950 – „Każdy na inny sposób mnie przygnębił. 1933 – ważny, ale zatęchły. 1950 – niepojęty. Ale i 1933, i 1950 pisany przez kogoś mi obcego i niesympatycznego. Ograniczenie. Głupota. I poczwórne kłamstwa, i megalomania. Straszne doświadczenia”.

Straszne też są te słowa, ale nie dziwią w kontekście takich zapisów: „Rano świetne umysłowe samopoczucie. Otóż dochodzę do wniosku, że można by zrobić wielką tragedię w najlepszym stylu – z punktu widzenia komunistycznego” (14 października 1950 r.). Czy też:

„Wczoraj rano dowiedzieliśmy się, że umarł Stalin. Wszyscy o tym tylko mówią. Wstrząs, jaki ta śmierć wywołała, jest niezwykły. Był to człowiek nadludzkiego formatu. Trudno pracować, skupić się, gdy coś tak wstrząsającego się stanie. Coś niedobrze jest od dawna z moją wolą, słabnie wyraźnie. Produktywność moja maleje [...]”.

Prawda dnia następnego

W 1958 r. bije się w piersi: „Mierny ten mój dziennik. Nie wiem, czy to przez lata strachu przed gestapo, NKWD i UB, strachu, aby zapisując jakieś nazwisko, nie stać się bezwiednie przyczyną czyjogoś i własnego nieszczęścia, ale stale pomijam wszystko, co jest związane z polityką, sprawy ważne, opowiadania ludzi coś znaczących. A tu roi się, przewala”.

Sześć lat później zmienia zdanie, oceniając swój dziennik jako „bardzo prawdziwy, szczery”. Może dlatego, że skrupulatnie opisuje w nim wydarzenia łączące się z Listem 34, którego była sygnatariuszką. Nawiasem mówiąc, na



Maria Dąbrowska w swoim mieszkaniu, 1934 r. FOT. NAC

spotkaniu u premiera Cyrankiewicza, mówiąc o problemach środowiska pisarskiego, o sobie powiedziała najpiękniej, jak mogła: „Sama nie mam większych kłopotów z cenzurą ani nie skarżę się na nic, choć ósmy rok chodzę w moim zielonym płaszczu, lecz mogę jeszcze dwa lata w nim pochodzić”.

To właśnie wtedy, w okresie Listu 34, uwidacznia się ogromniejąca z dnia na dzień rola, jaką odgrywa Kowalska w kręgach intelektualnych, coraz bardziej

„Po południu M. [Dąbrowska – przyp. K.M.] zawałała mnie na herbatę. Byli Iwaszkiewicz i Andrzejewski. Nie było to bez pointy, te dwie pary”

krytycznych wobec PRL-owskiej polityki. Ale też otrzymuje cios ze strony, z której nie musiała się go spodziewać. 16 lipca 1964 r. notuje: „Mam sześćdziesiąt jeden lat. [...] Ostatniego roku zobaczyłam siebie i swoje książki. To także był szok. Zobaczyłam, a trudno było nie zobaczyć dzięki Tulci. »Ty grzybie! Jesteś brzydka, znowu zbrzydłaś. Po co piszesz, po co zaśmiecasz literaturę?!«. Od tego można zdechnąć na miejscu. Maryjka również pośrednio wprawdzie, nie tak czule jak jedynaczka, zauważyła, co to moje pisanie warte wedle jej. Jest dotknięta, a teraz jej honorarium wynosi tylko o dwieście pięćdziesiąt złotych więcej od arkusza niż moje.

A przecież i Tula, i Maryjka kochają mnie – na swój sposób. I ja każdą z nich kocham oczywiście na mój sposób. Czarna literatura zawsze zatrzymuje się przed prawdą dnia następnego”.

Podkreśliły te słowa: „Jesteś brzydka, znowu zbrzydłaś”. Trudno, patrząc na fotografie Anny Kowalskiej, tego nie zauważyć. Już po ślubie Anny we Lwowie w 1924 r. Stefan Napierkowski dziwił się związkowi tej kobiety nazwanej „bella kamiennia”, brzydkiej, grubo ciosanej, z człowiekiem o gigantycznej wiedzy i oszałamiającym tempie mówienia, ale „karzełkiem ludzkim”. Swoją drogą złośliwie i Marię Dąbrowską nazywano karzełkiem. Jak widać, z siłą uczucia uroda ma niewiele wspólnego.

Zamroczona i szczęśliwa

Była jednak Anna Kowalska, i to z całą pewnością, osobą odważną, którą stać było na niezależność sądów. W okupowanym przez Sowieców Lwowie nie wstąpiła do Związku Literatów, który nazwała „cynicznym towarzystwem prostytutki”, a po wojnie we Wrocławiu nie podpisała rezolucji Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju, choć wzięła w nim udział. Jednak w 1956 r. Melchior Wańkowicz określił ją – chociaż nigdy nie była w partii – jako „komunistkę”, może dlatego, że chwaliła powstanie Nowej Huty, a to w dobie „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka, który nagle, z dnia na dzień, odzyskał zdolność widzenia, było postawą niemalże heroiczną. Z pogardą wyraził się również o niej Ksawery Pruszyński wyraźnie zawiedziony, że nie dostał nagrody „Odrodzenia”, w jury

której znalazła się Kowalska, w związku z czym uznał, że jest to „nikomu nieznaną wielkość, tępy belfer polonistyczny w rodzaju Pigonia, krytyk bez zmysłu krytycznego jak Kubacki”. No rzeczywiście...

W „Dziennikach” Anny Kowalskiej sprawy społeczne i polityczne sąsiadują z najbardziej osobistymi notatkami. Niekiedy zdumiewającymi: „Wkładałam właśnie szlafrok, kiedy zadzwonił Miłosz. Rozmawialiśmy dziwnie, jak we śnie, byłam w świetnej formie – na pół godziny. Tak jak się śni, że się mówi obcym językiem. Nie zapytał mnie słowem o mnie, a owszem: »Wyszła pani za męża?«. Cały czas o nim, o poezji, pracy, ale była to nie tylko jego sprawa. Gdyby ktoś mnie zapytał o jego stosunek do mnie, nie umiałabym go określić. Dwa razy pocłował mnie, z niezwykłą delikatnością powiedział: »Jestem szczęśliwy, że panią znam«. A zresztą jego sposób bycia, ale tylko gdy jesteś sam, sposób wpatrywania się, odmienny ton głosu, określa ten stosunek. Mowy nie ma o miłości, a nawet przyjaźni, nie zatroszczyłyby się, czy żyję, ale widzenie to jest dla niego przeżyciem. Jest i dla mnie. Przez jedną dobę chodziłam zamroczona i szczęśliwa. Jak po dobrej sztuce w teatrze. Ale to jest nierzeczywiste przeżycie [...]”.

Z lektury „Dzienników” Anny Kowalskiej najgłębiej zapadł mi w pamięć ich fragment z czerwca 1943 r.:

„Po południu M. [Dąbrowska – przyp. K.M.] zawołała mnie na herbatę. Byli Iwaszkiewicz i Andrzejewski. Nie było to bez pointy, te dwie pary. W każdym razie jeśli nie aktualnie, to kiedyś była to para. Widać to po rumieńcach Andrzejewskiego i po nastającym spojrzeniu Iwaszkiewicza”.

A obok: „Już w dzień i na spokojno postanawiam jechać do Jerzego [męża – przyp. K.M.], choćby dlatego, że uważam ciągle to pośpieszne pożegnanie za zły omen, że muszę sprawdzić na miejscu tam, co warta jest moja miłość do M. [...]”.

Maria Dąbrowska zmarła w 1965 r., Anna Kowalska w 1969 r.

Nieudana rodzina

Na wieść o ciąży Anny wściekła Dąbrowska wyrzuca jej: „Pisałaś kiedyś, »obeszłabym kulę ziemską, żeby ci przynieść szklanek wody«. Obeszłabyś

ziemię, a od tego, żeby spółkować z kim innym, nie mogłaś się powstrzymać”. I próbuje namówić ją do aborcji, na co przyszła matka odpowiada, że „zatrucie płodu formaliną, noszenie borykającego się płodu, a potem trupa przez tydzień, dwa tygodnie i poród trupa” nie wchodzi w grę.

Wie, o czym pisze; w 1929 r. usunęła ciążę z powodów, jakkolwiek by to zarazem upiornie i groteskowo zabrzmiało, naukowo-literackich. Zrobiła wtedy magisterium; później nazywać się będzie „poronicielką”. Mąż jej niedługo cieszyć się będzie nieoczekiwanym dzieckiem, które przyjął jako późny dar losu. Umrze niewiele ponad półtora roku po przyjściu córki na świat. Stanisław Stempowski pożegna się z życiem w 1952 r.

Obie zostaną same i wreszcie, zdawałoby się na stałe, zamieszkają razem. Wcześniej Kowalska z mężem, a potem z dzieckiem będzie usiłowała zaklimatyzować się we Wrocławiu, Dąbrowska wierna będzie Warszawie. W ich wspólnym mieszkaniu w al. Niepodległości narastać będą jednak konflikty, których głównym powodem będzie Tula. Dąbrowska na próżno starać się będzie przełamywać lody między nimi, zresztą nie polubi nigdy dziecka Anny. Razem tworzą, jak ocenia każda z nich – z różnych powodów – „nieudaną rodzinę”. Dąbrowska uważa, że Kowalska nadmiernie rozpuszcza dziecko, mające i tak – oczywiście, po ojcu – jakże wiele negatywnych cech, Kowalska zaś zarzuca partnerce zaborczość, stałe domaganie się bezwarunkowej adoracji.

Sylwia Chwedorczyk pisze: „Dąbrowska jawi się Annie jako osoba apodyktyczna, wymagająca, ekscentryczna, małoduszna w obowiązkach dnia codziennego, drobiazgową do granic wytrzymałości. Męcząca w przypisywaniu znaczeń sprawom drobnym, od banalnych zakupów po

organizację domu. Chce dysponować czasem Anny, podporządkowywać domowników swoim potrzebom. Jest zazdrosna o chwile, jakie Kowalska spędza ze swoim dzieckiem; kiedyś pragnęła być Jerzym, teraz pragnie być Tulą”.

Maria Dąbrowska kupuje w końcu dom w Komorowie, a Anna zostaje na Niepodległości. Nie mogą jednak żyć bez siebie. Jak to się odbija na egzystencji Tuli? Przed śmiercią Anna poprosi Irenę Szymańską o zaopiekowanie się córką, który to obowiązek, z całym „dobrodziejstwem”, przyjmie na siebie Cezary Gawryś, biorąc ją za żonę. Będą mieli syna Filipa; wnuczka Tula już nie doczeka, umrze w roku 1993, mając tylko 47 lat.

Po śmierci Marii Dąbrowskiej zszokowana Anna dowie się, że nie została uwzględniona w testamentie pisarki. Dopiero odnaleziony po dłuższym czasie drugi, późniejszy o kilka miesięcy, testament, na mocy którego stanie się opiekunką jej spuścizny literackiej, a zwłaszcza dzienników, pozwoli Kowalskiej jako tako ułożyć się ze swoją przeszłością.

W 1959 r. Anna Kowalska wydała książkę „Safona”, z oczywistymi elementami i wątkami lesbijskimi. Książkę taką sobie, niespecjalną. Zdecydowanie ważniejsze są słowa, które Sylwia Chwedorczyk zacytowała jako motto swojej „Kowalskiej”, pochodzące z jednego z listów Anny do Marii z 1946 r.: „Nie skarż się na dwoistość uczuć. Najgorzej, gdy nie ma ich wcale”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Książkę Pawła Lisickiego zacząłem czytać akurat wtedy, gdy rozpoczynały się uliczne protesty przeciw orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, z licznymi wystąpieniami przeciw Kościołowi, połączonymi z dewastacją świątyń i ich otoczenia, profanacją pomników, brutalnymi atakami na wiernych i duchownych. Pod koniec lektury trafiłem na wypowiedź ks. Josepha Ratzingera – podówczas teologa uniwersytetu w Tybindze – o tamtejszych wydarzeniach 1968 r.:

„Egzystencjalizm upadł i rewolucja marksistowska rozpałała się na całym uniwersytecie, wstrząsnęła nim od podstaw”. Autor książki uzupełnia: „Czerwone bojówki urządzają demonstracje, blokują sale wykładowe, urządzają wiece i protesty, dochodzi do aktów przemocy wobec profesorów. Szybko rośnie w siłę radykalny feminizm. Na uniwersytecie rozrzucone są feministyczne ulotki, które wzywają studentki, żeby z rozłożonymi przed lustrem nogami oddawały się masturbacji. [...] Chodzi o totalny bunt przeciw wszystkim normom i obyczajom, całkowite obalenie obyczajów, wartości kulturowych i prawa naturalnego”.

Skojarzenie między lewacką rewoltą na Zachodzie A.D. 1968 a wydarzeniami w Polsce A.D. 2020 jest proste. Z tym że młodzi Polacy nie atakują uniwersyteckich profesorów, bo ci na ogół idą ręką w rękę z nimi, a nawet sami wysyłają ich na ulice. A Kościół rzymskokatolicki, tak za komuny jednoznaczny i nieugięty, dziś okazuje się bezbronny. Piętnaście lat po śmierci Jana Pawła II nie sprawuje już w Polsce „rządu dusz”. I tak późno: na Zachodzie nastąpiło to przed półwieczem. Co się stało z owym Jednym, Świętym, Apostolskim Kościołem?

Dogmat i tiara

O przyczynach „upadku rzymskiego katolicyzmu” w całym świecie cywilizacji łacińskiej pisze właśnie Lisicki. Sięga głęboko. Ani afery finansowe Watykanu, ani nawet skandale pedofilskie nie okazują się jednak prąźródłem kryzysu. One też są skutkiem. Zdaniem autora główną przyczyną upadku stała się reforma Kościoła dokonana przez najwyższe jego zgromadzenie, jakim jest sobór. W tym wypadku Sobór Watykański II (1962–1965), zwoła-



Książka miesiąca / Vaticanum II i następstwa

Rzym niezwyciężony leży pogrzebiony...

ny przez papieża Jana XXIII, jego inicjatora i przewodniczącego pierwszej sesji soborowej. Trzy następne sesje prowadził kolejny papież, konsekwentny następca poprzednika – Paweł VI.

Podczas soboru zwycięstwo odnieśli hierarchowie, głównie niemieccy, ale też niektórzy włoscy, austriaccy, holenderscy... Zapaleni do „modernizowania Kościoła”, zrujnowali dwa filary, na



Uczestnicy Soboru Watykańskiego II w bazylice św. Piotra

FOT. WIKIPEDIA/LOTHAR WOLLEH

o uroczystości zaprzysiężenia najpotężniejszego człowieka na świecie, amerykańskiego prezydenta”.

Przerzuty raka

Nie da się oczywiście streścić tu całej książki, bogatej w historię sporów teologicznych – z herezjami włącznie – stopniowego podmywania fundamentów zarówno zasady dogmatycznej, jak i znaczenia Stolicy Apostolskiej oraz wielu innych spraw, na przykład zastąpienia łacińskiej liturgii mszy świętej, ustanowionej 450 lat temu przez sobór trydencki, uproszczoną liturgią w językach narodowych. Efektem stała się utrata tożsamości, upodobnienie Kościoła rzymskokatolickiego do innych wyznań oraz przejmowanie roli jakiejś organizacji międzynarodowej. Kościół to przed atakami nie uchroniło – tyle że obok otwartej wrogości narastają lekceważenie i obojętność.

W tym procesie udział mieli wszyscy trzej następni papieże. Nie tylko obecny Franciszek, z jego niekontrolowanymi, delikatnie mówiąc, wypowiedziami i gestami. Zdaniem autora, o czym pisze z bólem, również Jan Paweł II szukający dziwnego „ekumenizmu” z żydami i muzułmanami. Działalność Josepha Ratzingera, zwłaszcza w pierwszej połowie lat 60., gdy wyładał w Tybindze oraz był ekspertem teologicznym jednego z niemieckich hierarchów na soborze, Lisicki ocenia ujemnie. Jako Benedykt XVI – zarówno jako urzędujący papież, jak i pierwszy papież na emeryturze – zadziwia go natomiast krytyka Vaticanum II i jednoczesną pochwałą owego soboru.

Efekty są widoczne. Od ponad półwiecza pustoszeją kościoły, coraz mniej wyświęca się księży, płoną świątynie, profanuje się święte symbole chrześcijaństwa, obca kultura i wiara wdzierają się na spustoszone obszary. A Kościół bynajmniej nie jednoczy się ani nie potrafi skutecznie przeciwdziałać. Przyczyny? Jak zauważył cytowany w książce abp Carlo Maria Vigano: „Jeśli nie zrozumimy przyczynowej relacji między Soborem Watykańskim II i jego koniecznymi konsekwencjami w ciągu ostatnich 60 lat, nie uda się ponownie skierować steru Kościoła w stronę, jaką wskazał Boski Sternik, na kurs, który utrzymywał dwa tysiące lat”. Wcześniej arcybiskup

Cykl ostatniej dekady:

„Dogmat i tiara...” to najnowsza książka znanego publicysty, eseisty i pisarza. Podczas ostatniej dekady jego zainteresowania koncentrują się na związanych z religią kwestiach ideowo-politycznych, historycznych i teologicznych. W imponującym cyklu opublikowanych książek Pawła Lisickiego znajdują się: „Tajemnica Marii Magdaleny” (2014), „Czy Jezus jest Bogiem?” (2014), „Dżihad i samozagłada Zachodu” (2015), „Krew na naszych rękach?” (2015), „Luter. Ciemna strona rewolucji” (2017), „Epoka Antychrysta” (2018), „Chrystus jest zawsze nowoczesny. O Kościele, zbawieniu, historii i współczesności z kardynałem Gerhardem L. Müllerem rozmawia Paweł Lisicki” (2018), „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi” (2019), „Nowa wspaniała przyszłość” (2019).

nazywa obecny kryzys Kościoła „przerzutem soborowego raka”.

Intrygujący jest przywołany przez autora cytat z „Epitafium Rzymowi” naszego XVI-wiecznego poety Mikołaja Sępa Szarzyńskiego: „Dziś w Rzymie zwyciężonym Rzym niezwycony / (To jest ciało w swym cieniu) leży pogrzebiony...”. Słowa owego nawiązania do elegii włoskiego poety Janusa Vitalisa po okrutnym złupieniu Rzymu przez barbarzyńskich żołądków Karola V (Sacco di Roma, 1527) brzmią dziś wyjątkowo ponuro.

Na zakończenie autor wyraża jednak nadzieję, że „może znowu rzeczywiście zstąpi Duch i sprawi, że katolicy odkryją piękno, wspaniałość i majestat zasady dogmatycznej, że odzyskają z muzeum tiarę i nałożą ją ponownie na głowę papieża, który będzie robił to, do czego został powołany: umacniał w wierze, głosił prawdę w porę i nie w porę, odrzucał błędy i herezje, domagał się poszanowania tej najwyższej władzy, jaką reprezentuje”. Daj nam, Panie Boże... ©

Maciej Rosalak



PAWEŁ LISICKI
„DOGMAT I TIARA. ESEJ
O UPADKU RZYMSKIEGO
KATOLICYZMU”

FRONDA

których się on opierał: dogmatu i autoritetu. Właśnie wśród nich znajdowali się też dwaj Włosi, wymienieni wyżej papieże, wtedy arcybiskupi: Wenecji – Angelo Roncalli – i Mediolanu – Giovanni Montini. I oto sobór podważył de facto normatywność dogmatów – podstaw wiary zawartych w Objawieniu i Tradycji apostoelskiej. Ogłaszają je sobory wraz z papieżami lub sami papieże. Pierwszym poapostolskim soborem, który tego dokonał, był Sobór Nicejski I (325 r.), a ostatnim z dogmatów ogłoszonych przez papieża – Piusa XII w 1950 r. – dogmat o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny.

Znakiem autorytetu Ojca Świętego była od średniowiecza tiara papieska, którą odróżniały od mitry biskupiej trzy korony. Stanowiły one widomy obraz roszczenia do supremacji nad władzą świecką, do przewodnictwa dla całego świata i do zastępstwa Jezusa Chrystusa na ziemi. Czytamy: „Koronacja tiarą – właśnie nie biskupią mitrą – i towarzyszące jej pierwsze błogosławieństwo miasta i całego kręgu ziemi to był decydujący obraz, który symbolizował objęcie urzędu. Temu potężnemu rytuałowi nie mogła dorównywać nawet koronacja angielskiej królowej, nie mówiąc już



Józef Piłsudski z członkami rumuńskiej rodziny królewskiej, 1922 r. FOT. NAC

Piłsudski dla wszystkich

Jeśli komuś brakowało popularnej, lekko napisanej, pozbawionej przypisów i nieopasłej biografii Józefa Piłsudskiego, to teraz może sięgnąć po książkę „Piłsudski. Portret przewrotny” Macieja Gablankowskiego. Potrzeba takiej publikacji jest oczywista. Choć Marszałek należy do kilku najbardziej rozpoznawalnych postaci polskiej historii XX w., to można się obawiać, że potoczna wiedza o nim sprowadza się najczęściej do czterech zdań na krzyż. A wśród nich często jest takie, które mówi o Piłsudskim jako twórcy i dowódcy Legionów. Nie był ani jednym, ani drugim. Przekora w tytule książki zapowiada, że nie będziemy mieć do czynienia z ugrzecznionym portretem Piłsudskiego. Jednak nie jest to biografia nadmiernie krytyczna, choć wielbicielom Komendanta nie wszystkie opinie autora

się spodobają. Cóż zrobić, panicz z Żułowa był też postacią kontrowersyjną.

Życie Marszałka prześwietlono na wiele sposobów, znane jest jego zaurczenie atrakcyjną dr Lewicką, z którą wyjechał na wakacje na Maderę, ale autor pisze też o jakby skrywanej przez historyków, bo nieco kłopotliwej do wytłumaczenia, nadmiernej zażyłości 16-letniego Ziuka z ponad dwa razy starszą od niego ciotką Lippmanówną.

Do wizerunku silnego człowieka, którym Piłsudski był, nie pasują też jego samobójcze myśli po tym, jak nie udało mu się przenieść z uniwersytetu charkowskiego na dorpacki. Autor



dość sceptycznie podchodzi do często przypominanej rywalizacji Dmowskiego i Piłsudskiego o Marię Koplewską, przyszłą żonę tego ostatniego. Uważa, że być może był to element kreacji postaci Piłsudskiego, który pokonał Dmowskiego, także w walce o kobietę.

Przyszły Marszałek stał na czele Organizacji Bojowej PPS, jednak robienie z niego terrorysty to przesada. Maciej Gablankowski pisze, że towarzysz „Wiktor” nie był entuzjastycznie nastawiony do „czyszczenia” – za pomocą browningów – ulic z carskiej policji.

A co do Legionów, to stały się one dla Piłsudskiego i jego strzelców kołem ratunkowym zaprojektowanym i rzuconym przez polityków galicyjskich. Gdyby nie oni, Komendant wypadłby na historycznym zakręcie z drogi, jaką sobie wytyczył. W lutym 1919 r. Piłsudski oddał pełnię władzy, którą dysponował, Sejmowi zwołanemu z jego polecenia. Zdaniem autora problem polegał na tym, że „nie chciał być dyktatorem, nie chciał być równoprawnym uczestnikiem demokratycznej gry, nie chciał się usunąć na bok”. Piłsudski uważał, że kształt polskiej granicy zachodniej będzie

podarkiem ze strony ententy, jednak nie oznacza to w żadnym wypadku – jak stwierdza Gablankowski – że był w tej sprawie bierny. A taka opinia wciąż pokutuje. ©©

Tomasz Stańczyk

**MACIEJ
GABLANKOWSKI
„PIŁSUDSKI.
PORTRET
PRZEWROTNY.
BIOGRAFIA”**

ZNAK

Bomba w dół!

Samoloty bombowe i ich piloci zawsze byli w cieniu maszyn myśliwskich i walczących na nich indywidualnie rycerzy przestworzy. Dlatego z uznaniem należy powitać książkę, która opowiada o polskim lotnictwie bombowym, nazwanym przez autora „skrzydlatą husarią”.

Książkę otwiera opis pierwszego lotu bojowego, 5 listopada 1918 r. we Lwowie, podczas obrony miasta. Był to lot nad stację kolejową na Persenkówce, gdzie wyładowywali się z wagonów żołnierze ukraińscy. Spadły na nich bomby rzucone ręką polskiego lotnika. Autor omawia

sprawę domniemanego bombardowania lotniska we Frankfurcie w odwecie za zbombardowanie lotniska na poznańskiej Ławicy podczas powstania wielkopolskiego, powietrzne ataki na wojska wierne Piłsudskiemu podczas przewrotu majowego oraz loty bojowe we wrześniu 1939 r.

Książka przedstawia najbardziej znane polskie samoloty bombowe z wytwórni PZL: „Żubr”, „Karaś” i „Łoś” – fazę ich projektowania, loty doświadczalne i katastrofy prototypów oraz doskonalenie konstrukcji. Autor pisze także o koncepcji rozwoju lotnictwa wojskowe-

go forsowanej przez Ludomiła Rayskiego oraz wiążących się z nią kontrowersjach.

Plastyczne, żywe opisy przygotowań do startu, lotów bojowych oraz katastrof są mocną stroną „Skrzydlatej husarii”. ©©

(t.s.)



**ŁUKASZ SOJKA
„SKRZYDLATA HUSARIA.
HISTORIA POLSKICH
LOTNIKÓW BOMBOWYCH”**

ZNAK HORYZONT

Führer i Duce, 1939–1940

Periodyk „Dzieje Najnowsze” cieszy się zasłużoną estymą wśród czasopism historycznych. Wysoki poziom pisma potwierdza kolejny wydany (2/2020) jego numer. Spośród zamieszczonych tam tekstów na szczególną uwagę zasługuje artykuł prof. Stanisława Żerki pt. „Niemcy wobec Włoch w pierwszej fazie II wojny” (wrzesień 1939–czerwiec 1940). Pomimo podpisania 22 maja 1939 r. układu sojuszniczego nazywanego paktem stalowym między Królestwem Italii a III Rzeszą, stosunki włosko-niemieckie od momentu rozpoczęcia inwazji Niemiec na Polskę nie układały się zbyt idyllicznie.

Problemem, który kładł się na nich cieniem, było uznanie się przez Rzym 1 września 1939 r. za stronę niewojującą (non-belligeranza). Ta deklaracja nie oznaczała wycofania się Włoch z przymierza z Berlinem, ale była raczej konsekwencją nieprzygotowania Italii do wojny oraz sceptycznego stosunku przystąpienia do konfliktu ze strony włoskiego społeczeństwa. Wśród członków faszystowskiego establishmentu znajdowało się spore grono osób krytycznie oceniających współpracę z północnym sąsiadem. Do nich należał hrabia Galeazzo Ciano, prywatnie zięć Mussoliniego i minister spraw zagranicznych Włoch, który starał się w miarę możliwości dążyć do zachowania dobrych relacji z Paryżem i Londynem. Pomimo irytacji z zajętego przez Włochy stanowiska Adolf Hitler – nie chcąc antagonizować swego sojusznika – wysłał do Mussoliniego depezę, w której dziękował mu za moralne i dyplomatyczne wsparcie, wskazując jednocześnie na brak konieczności udzielenia pomocy wojskowej. Zarówno Duce, jak i jego współpracownicy szczególnie negatywnie oceniali sierpniowo-wrześniowe układy niemiecko-sowieckie dzielące Europę Środkowo-Wschodnią na dwie strefy wpływów.

Napięcia między oboma krajami wzmogły się po wybuchu wojny

sowiecko-fińskiej. Włoskie władze otwarcie sympatyzowały z Finlandią, natomiast Niemcy zgodnie nowo wyznaczoną linią polityki zagranicznej wyrażały całkowite desinteresement wobec sowieckiej inwazji, starając się podtrzymywać dobre relacje z ZSRS. Oceniając tę politykę, jeden z włoskich dyplomatów miał proroczo stwierdzić: „My, Włosi, zdajemy sobie sprawę z tego, że ta wojna nie zostanie wygrana ani przez Anglię czy Francję, ani

przez Niemcy, lecz ostateczne zwycięstwo należeć będzie do radzieckiej Rosji”. Obawy przed realizacją tego tragicznego dla Europy scenariusza zainspirowały Mussoliniego

STANISŁAW ŻERKO
„NIEMCY WOBEC
WŁOCH W PIERWSZEJ
FAZIE II WOJNY”

„DZIEJE NAJNOWSZE” NR 2/2020

do wyrażenia w liście do Führera jednoznacznego poparcia dla walczącej Finlandii, a także wyartykułowania sugestii o konieczności nawiązania rokowań z państwami zachodnimi oraz stworzenia jakiejś „szczątkowej” Polski.

9 kwietnia 1940 r. III Rzesza, nie informując wcześniej swego sojusznika, dokonała inwazji na Danię i Norwegię, a miesiąc później na Francję, Belgię, Holandię i Luksemburg. Obserwując niemieckie sukcesy, Duce coraz wyraźniej skłaniał się ku decyzji przystąpienia Włoch do wojny, co ostatecznie nastąpiło 10 czerwca 1940 r. W tym czasie kampania na Zachodzie była już praktycznie rozstrzygnięta, a włoski premier nie chciał najwyraźniej zostać pominięty przy ustaleniach dotyczących ustanowienia „nowego porządku” w Europie Zachodniej. Jego oczekiwania w kwestii narzucenia pokonanej Francji surowych warunków kapitulacyjnych zderzyły się z bardziej koncyliacyjnym wobec Francuzów stanowiskiem kanclerza Niemiec. Führer miał w tej kwestii zdecydowanie więcej do powiedzenia niż Duce i zostało utworzone Państwo Francuskie, które utrzymało w swym posiadaniu zarówno zamorskie kolonie, jak i flotę wojenną. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Inne spojrzenie

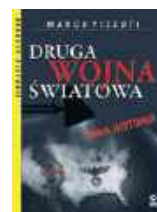
Ciekawy, prowokacyjny esej – a właściwie zbiór esejów – włoskiego autora Marco Pizzutiego. To próba spojrzenia na historię najnowszą z innej, politycznie niepoprawnej perspektywy. Nie z perspektywy zwycięzców drugiej wojny światowej, ale z perspektywy przegranych.

Czy udana? Bez wątpienia skłaniająca do dyskusji. Ja na przykład z częścią tez autora się nie zgadzam, ale mimo to „Inna historia” bardzo mnie wciągnęła. Żeby nie być gołosłownym, oto szereg spraw, o których pisze Pizzuti:

- Tajne kontakty syjonistów z III Rzeszą.
- Interesy Adolfa Hitlera z amerykańską finansjerą.
- Bomba atomowa III Rzeszy.
- Czy Amerykanie wiedzieli o ataku na Pearl Harbor?
- Czy Hitler pozwolił uciec Anglikom pod Dunkierką?
- Tajemnicze okoliczności śmierci Hitlera i Himmlera.
- Zemsta aliantów na Niemcach.

Książka, tak jak wspomniałem, jest bez wątpienia zajmująca. Jeżeli można by coś autorowi wytknąć, to to, że zbyt dużo tematów umieścił w jednej pracy. W efekcie mamy do czynienia z efektem mydła, szydła i powidła. Bez wątpienia jednak Marco Pizzuti ma rację, gdy twierdzi, że historię wojen zawsze piszą zwycięzcy. A co za tym idzie – oficjalna historiografia często ma więcej wspólnego z propagandą niż obiektywnym, bezstronnym opisem faktów. ©©

(p.z.)



MARCO PIZZUTI
„DRUGA WOJNA
ŚWIATOWA.
INNA HISTORIA”

RM



Jacek Bartosiak

/ Od Polesia do Dźwiny otwiera się obszar najbardziej niebezpiecznego dla nas uderzenia z Moskwy

Polski teatr wojny składa się z różnych obszarów operacyjnych, których wspólnymi cechami są rozległość i przestrzenność. Na skutek względnej słabości sił przeznaczonych do obrony państwa nigdy nie będzie można tych obszarów opanować ani zabezpieczyć równomiernie. Najbardziej niebezpieczny kierunek północny, zwany także białoruskim, rozciągający się od Polesia do Dźwiny, na zachodzie ograniczony przez Niemen, położony jest na Wyżynie Białoruskiej. To teren falisty i na ogół otwarty, dający względnie dobre warunki obserwacyjne. Poza górnym Niemnem i Szczarą oraz bagnistymi dolinami tych rzek nie ma tam poważniejszych przeszkód terenowych. Najkrótsze i najdogodniejsze drogi dla rosyjskiej napaści na Polskę, mają początek w Smoleńsku, Orszy i Witebsku, a oparcie – w centrum rosyjskiego imperium.

Rosyjska ofensywa odcina Polskę od państw oraz portów bałtyckich i przywraca Rosji lądowe połączenie z Kaliningradem, ułatwiając tam zaopatrywanie rosyjskiego wojska. Rosjanie, uderzając z Bramy Smoleńskiej, mogą zwinąć cały polski front i przenieść wojnę – jak wiele razy bywało – nad środkową Wisłę, a więc do serca Rzeczypospolitej, paraliżując przez to główne ośrodki jej siły.

Brama wejściowa z polskiego obszaru rdzeniowego w kierunku Bramy Smoleńskiej to efekt układu jezior, rzek oraz terenów lesistych i nizinnych północno-wschodniej Polski. Przesmyk suwalski to teren między Niemnem, obwodem kaliningradzkim a niegdyś granicą pruską, z licznymi jeziorami, ciągnącymi się pasem z północy na południe, z których największe znajdują się wokół Augustowa i Kanału Augustowskiego. Od Suwałk

Mury obronne starego Smoleńska – klucza do Moskwy FOT. ADOBE STOCK

Strategia / Dzisiejsze plany a doświadczenia
I Rzeczypospolitej

Brama Smoleńska

na południe biegnie błotnista i wielka Puszcza Augustowska. W kierunku Litwy przesmyk przeistacza się w drobniejsze, acz gęsto występujące wzgórza – aż do Mariampolu – i stanowi idealny teren do spotkaniowej bitwy czołgowej. Tam łączy się z lasami schodzącymi do Kowna.

Na przesmyku trudno o koncentrację wojsk. Augustów ściśle rygluje komunikację w tym obszarze, bo miasta nie da się tak po prostu ominąć. Położenie i topografia sprzyjają, by zamienić go w twierdzę blokującą jakiegokolwiek ruch przeciwnika.

Ze Wzgórz Golan

Głównym wejściem pomiędzy Białymstokiem i Wołkowyskiem Polska weszła w swej historii wojskowej na białoruski teatr działań wojennych i dalej w kie-

runku Bramy Smoleńskiej oraz przekroczyła Dźwinę starym polskim szlakiem, w najwęższym przejściu między błotami Biebrzy i Narwi a Puszcą Białowieską. Dalej szlak wiódł z Baranowicz na Mińsk, a północna jego odnoga z Lidy przez Wilejkę lub wprost z Wilna na Połock – na górny zawias bramy smoleńskiej.

Przerwa między górnym Dnieprem a Dźwiną, tworząca Bramę Smoleńską, ma ok. 80 km szerokości i jest to nizinna równina pokryta lasami i poprzecinana rzeczkami oraz w jednej trzeciej szerokości przegrodzona błotami (Błota Weretejskie – 25 km długości i 15 km szerokości).

W pełni osłonięte i dogodne dla ruchu wielkich jednostek są zwłaszcza strefy nadbrzeżne Dźwiny i Dniepru. Z rzeczek przecinających bramę istotne są jedynie Łuczosa i Kaspla. Każda z nich ma ok. 20 m szerokości. Łuczosa (w górnym

biegu zwana także Werchitą) bierze swój początek na północny wschód od Orszy w pobliżu Dniepru i przecina Bramę Smoleńską niemal przez całą szerokość, płynąc w brzegach przeważnie urwistych. Kaspla z kolei płynie na północny zachód i wpada do Dźwiny pod Surazem.

Obie rzeczki mogą stać się przeszkodami taktycznymi jedynie podczas obfitych wylewów. Przed Bramą Smoleńską od strony zachodniej w odległości 90–120 km znajduje się grupa Jezior Lepelskich, która kanalizuje ruch w kierunku przeprawy przez Berezynę pod Borysowem. Błotnista dolina Berezyny „zamyka” dostęp do bramy. Z okolic Lepla prowadzą naturalne szlaki na Moskwę. Jeden – południowy – mijając Dniepr po prawej stronie, przez Bramę Smoleńską wiedzie do Wiaźmy, a drugi – północny – przez Witebsk i brzegiem Dźwiny prowadzi na Rzew.

Trakcyjna siła tej wielkiej drogi ku Moskwie wyznacza kierunek przez trzy wielkie miasta: Mińsk, Witebsk i Smoleńsk. Tylko Homel leży nieco na uboczu tego szlaku. Brama Smoleńska zasłaniała Rosję od Rzeczypospolitej i osłaniała odległą o 480 km stolicę carów – Moskwę.

Znaczenie Bramy Smoleńskiej dla Rzeczypospolitej i Rosji można porównać do znaczenia Wzgórz Golan dla Izraela i Syrii. Jeśli charakterystycznie wyniesione ponad obszary sąsiednie Wzgórz Golan należą do Izraela, to obszar rdzeniowy tego państwa w Galilei, w tym Jezioro Galilejskie, Tyberiada i Dolina Jordanu, a nawet dolina Gilboa, jest w miarę bezpieczny i nie ma dla niego zagrożenia ze strony Syrii czy innych potęg korzystających z terytorium tego państwa. Co więcej, jeśli Wzgórz Golan są w rękach armii izraelskiej, to odległa o niecałe 50 km od wschodniego ich skraju stolica Syrii, Damaszek, znajduje się w zasięgu bezpośredniego oddziaływania wojskowego ze Wzgórz Golan, z dogodnej podstawy operacyjnej, w tym potencjalnie błyskawicznej ofensywy lądowej schodzącej „w dół” przez Kunetę na Damaszek.

Taki rozwój wydarzeń stanowiłby koszmar strategiczny dla Damaszku. Gdyby z kolei Wzgórz Golan miała w swoich rękach Syria, jak było przed wojną 1967 r., wówczas izraelski obszar rdzeniowy nie mógłby się należeć do rozejmów (osady i kibuce w Galilei położone blisko Wzgórz Golan były przed 1967 r. stale niepokozone na skutek syryjskich

działań wojskowych), a w razie symetrycznej wojny i inwazji lądowej natychmiastowe niebezpieczeństwo zajęcia groziłoby całemu obszarowi Izraela od granicy z Libanem przez Galileę do granicy z Jordanią i doliny Gilboa, skąd zresztą nie jest wcale tak daleko do Tel Awiwu czy wybrzeża Morza Śródziemnego.

Widać to było wyraźnie w czasie wojny Jom Kippur w 1973 r. Armia izraelska została zaskoczona jednocześnie na froncie egipskim oraz syryjskim i nie dysponowała wystarczającymi siłami, by zapobiec przelaniu się wojsk pancernych Syrii przez południową część Wzgórz Golan, co groziło rychłym zajęciem przez Syryjczyków Deganii oraz Tyberiady na brzegu Jeziora Galilejskiego. Skutkowało również w rzeczywistości ewakuacją ludności w głąb Izraela. Ofensywa – mająca na celu przełamanie obrony południowych Wzgórz Golan i następnie zjazd ze zboczy płaskowyżu na zachód wprost do serca Izraela – została wysiłkiem rezerwistów izraelskich powstrzymana dosłownie w ostatniej chwili.

Gdyby Wzgórz Golan wróciły we władanie Syrii w wyniku rozmów pokojowych kilkanaście lat temu, dzisiaj trwałaby tam – podobnie jak w całej Syrii – wojna domowa. Oznaczałoby ona automatyczną destabilizację, a Wzgórz niekontrolowane należałyby do Damaszku stałyby się wiszącym nad obszarem rdzeniowym Izraela rozsądnikiem zagrożenia. W szczególności w sytuacji, gdyby – jak twierdzą często przedstawiciele Izraela – wrogi mu Iran stał się dominującą potęgą w Syrii. Ten przykład pokazuje dobitnie, na czym polega znaczenie strategicznych stref buforowych. Od ich istnienia zależą pomyślność i bezpieczeństwo obszarów przez nie osłanianych.

Sen 1920 r.

Na wschód za Bramą Smoleńską kraj staje się wyższy i suchszy, aż do środkowej części Wyżyny Środkoworosyjskiej. Przed Bramą od zachodu okolice Lepla obfitują w jeziora, które tworzą przeszkodę utrudniającą posuwanie się w głąb Bramy Smoleńskiej od strony Rzeczypospolitej. Większa grupa jezior znajduje się także na lewym brzegu Dźwiny pomiędzy Połockiem a Bieszenkowiczami. Stanowi ona dogodny punkt obrony skrzydła bramy wśród nielicz-

nych wzniesień luźno porozrzucanych, o spadkach łagodnych i falującym horyzoncie, w terenie idealnym do prowadzenia wojny czołgowej.

Od Orszy Dniepr płynie szeroką doliną z obfitymi wylewami na wiosnę, licznymi starorzeczami, jeziorami i jamami. Tutejsze drogi prowadziły tradycyjnie po groblach. W przeciwieństwie do nigdy nienadającej się do brodzenia Wisły w czasie suszy można było forsować brody Dniepru aż do ujścia Berezyny. Berezyna do ujścia jednego ze swoich dopływów – Hajny – płynie w brzegach błotnistych, porośniętych krzakami, z małą liczbą miejsc sprzyjających jej forsowaniu i w ogóle jest trudna do przejścia. Dogodny punkt przeprawy znajduje się w Borysowie – znanym dzięki legendzie odwrótu Wielkiej Armii jesienią i zimą 1812 r. Wzdłuż rzeki ciągnęły się kompleksy leśne, trudne do przejścia, coraz szersze ku południowi. Wzmagają one znaczenie tej rzeki jako linii obronnej. Dolna Prypeć w ogóle nie ma brodów. Natomiast Dźwina dla odmiany ma ich całkiem dużo.

Ciekawe, że – jak opisał Władysław Sikorski w swoich wspomnieniach z wojny 1920 r. – w miarę odnoszenia sukcesów na Wschodzie w wojnie 1919–1921 „śniły się” niektórym w Polsce wschodnie granice sprzed rozejmu andruszowskiego z XVII w. Granice wybiegające znacznie nawet poza strategiczną linię Dźwiny i Dniepru i sięgające aż po Wielkie Łuki, Wiaźmę, Briańsk czy Połtawę na południu. Inni za plan minimum uważali przynajmniej stare granice dawnej Rzeczypospolitej sprzed I rozbioru.

Wraz z rewolucją w sprawach wojskowych (RMA) punktem ciężkości jest rosnąca rywalizacja o system świadomości sytuacyjnej w nowoczesnej bitwie zwiadowczej na całym pomoście bałtycko-czarnomorskim. Sworzniową – komunikującą i spinającą cały wschodni front rywalizacji z Rosją od Morza Czarnego do Morza Bałtyckiego – jest rola Polski. Musimy we własnym planowaniu i rozpoznawaniu działań, ćwiczeń i dyslokacji przeciwnika ponownie wrócić myślami do granic strategicznych dawnej Rzeczypospolitej i do smoleńskiej bramy wypadowej, z której szybki manewr przeciwnika w kierunku doliny Wisły zagraża naszej niepodległości. Znaczenie tych miejsc znów jest i będzie coraz bardziej odczuwalne. © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Frajerski brąz

Historyczne brązownictwo” nie jest żadną polską specyfiką. Chyba wszyscy i wszędzie na użytek szkolnych czytanek wkładali w usta swym bohaterom wzniosłe dyrdymały, uzupełniali historyczne fakty pouczającymi zmyśleniami albo zgoła w całości je zmyśleniami zastępowali. Francuzi, by sięgnąć po najgłośniejszy przykład, dosadne słowo gen. Cambonne’a zmienili w klasykę patetycznego kiczu. A demaskowanie tego, co cesarsko-królewscy propagandyści z Wiednia zrobili z historią ocalenia młodego Franciszka Józefa przez por. Trotte, stało się nawet kanwą powieści uznawanej za jedno z arcydzieł austriackiej literatury, „Marsza Radetzky’ego” Józefa Rotha.

Polskie brązownictwo historii budzi we mnie sprzeciw i gwałtowną potrzebę walki z nim nie dlatego, że w ogóle istnieje, tylko dlatego, że przybrało formę absurdalną. Gdy inni u swych historycznych bohaterów tuszują ich wady, a przypisują im zalety – my wprost przeciwnie.

Mówiąc prosto z mostu, uwielbiamy z naszych bohaterów robić idiotów i jeszcze wmawiać sobie, że to właśnie przypisany im idiotyzm czyni ich wielkimi.

Niedoścignionym przykładem jest Jerzy Wołodyjowski, „Hektor Kamieniecki”, który bohatersko bronił Kamieńca Podolskiego, wynegocjował najlepsze możliwe warunki kapitulacji, ale wyprowadzając żołnierzy, miał nieszczęście zginąć w spowodowanym przez czyjeś niedbalstwo wybuchu prochowni. Sienkiewicz zrobił z niego samobójcę, i to mocno „rozszerzonego”, bo ofiarą wybuchu, który apologeta przypisał jemu, padło przecież prawie stu żołnierzy. A mogło paść i więcej, gdyby Turcy uznali, że Polacy wysadzili prochownię celowo, łamiąc warunki układu,

który gwarantował jeńcom i mieszkańcom miasta życie.

I w imię czego to wszystko? Focha, że przegrał? „Pan Michał” z serialu i filmu był mi idolem dzieciństwa (tak, on właśnie, a nie Janek Kos!), ale nawet jako mała lat nie umiałem tego kupić. Niestety, wielu naczytanych „Trylogią” Polaków umiało i w chwilach klęski nie były czyn Wołodyjowskiego naśladowało.

/ Gdy inni u swych historycznych bohaterów tuszują ich wady, a przypisują im zalety – my wprost przeciwnie: uwielbiamy z naszych bohaterów robić idiotów

Albo generał Sowiński, któremu Juliusz Słowacki dla romantycznego bajeru kazał bronić się i ginąć w kościele, na stopniach ołtarza – licząc, że żaden czytelnik, by nie okazać się złym Polakiem, nie zapyta, skąd generał się tam mógł wziąć. Nikt nie włączyłby przecież kościoła do linii obronnej; jedyne wyjaśnienie, że Polacy zwiewali, a generał, może z powodu swego kalectwa, nie dał rady i próbował się tam schować.

W istocie Sowiński zginął na linii frontu, przy armacie, jak na bohatera przystało. Próżno jego towarzysze broni próbowali walczyć o dobre imię poległego i tłumaczyć, że (cytuję za broszurą mjr. Świątkowskiego) „śmierć na parapetach [tj. na wałach] ma daleko więcej godności dla Polaka walczącego za ojczyznę i wolność aniżeli w kryjówkach kościoła”. Z poetą w Polsce nie wygrasz, co dopiero tak wymownym jak Słowacki.

A tym bardziej z takim jak Mickiewicz, który – to chyba za sprawą Mrożka historia bardziej znana – uśmiercił po sienkiewiczowsku nieszczęsnego Juliusza Ordon. W istocie Ordon przeżył swą redutę o kilkadziesiąt lat i nawet zgłosił się do Legionu Polskiego formowanego przez Mickiewicza w Turcji. Cóż to musiała być za rozmowa, gdy się przy tej okazji z wieszczem spotkał...

I tak jest właściwie z każdą z naszych ubrązowionych postaci. W życiu – rozsądni, fachowi i dzielni żołnierze, a w legendzie... szkoda gadać. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Żarty

to poważna sprawa

Zupełnie przypadkiem trafiłem na jednym z kanałów ze starymi szlagierami ekranu na „Śmierć na Nilu” – brytyjski film z 1978 r. To ekranizacja powieści kryminalnej Agathy Christie, rozgrywającej się w latach 30., o zabójstwie w trakcie wycieczki po słynnej rzece.

Tym, co przykuło moją uwagę, była jedna z pierwszych scen. Oto egipski agent turystyczny, ubrany po europejsku z przesadną elegancją, wita na pokładzie statku wycieczkowego przybyłych głównie z Anglii uczestników rejsu. I wpada na mało fortunny pomysł, że sam na podstawie listy i charakterystyk gości odgadnie, kto kim jest. Przekonany, że zna się na wyspiarzach, próbuje zgadywać i raz za razem trafia kulą w płot. Początkowo Angole starają się być grzeczni i cierpliwie znoszą ten niespecjalnie udany eksperyment, ale po paru minutach zmęczenie upałem i chęć szybkiego otrzymania klucza do chłodnej kabiny zwyciężają. W niegrzeczny sposób przerywają popisy Egipcjanina, żądają, by przestał się wygłupiać i po prostu rozdał klucze według listy nazwisk.

Reżyser, John Guillermin, dość zjadliwie pokazał tubylca, który stara się ubierać jak Anglik, zachowywać jak Anglik i jest przekonany, że doskonale potrafi kopiować wdzięk synów Albionu. Dochodzi do klasycznego „culture clash” – ludzie z dwóch kręgów kulturowych nie

potrafią się porozumieć. Scenę opisuje jednak przedstawicielka jednej ze stron i odpowiednio do swej pozycji opisuje ją w złośliwy dla Egipcjanina sposób.

Czy dzisiaj taka scena byłaby zaakceptowana przez producentów filmowych i krytyków? Podejrzewam, że nie. Uznano by ją za ksenofobiczną kpinę kolonizatora z tubylca bezskutecznie chcącego rozbawić turystów. Zaprotestowaliby przedstawiciele muzułmanów lub konkretnie Egipcjan. Być może zażądano by usunięcia sceny z filmu.

/ Ci, którzy mają silny kapitał społeczny, potrafią zadbać o to, aby nie kpiono z nich, ale z tych, którzy wypadli z dawnych pozycji

Czy jednak powieść, a szczególnie film, może obyć się bez przerysowanych scen pokazujących czyjaś śmieszność? Dla Agathy Christie, która wydała „Śmierć na Nilu” w 1937 r., i jeszcze dla twórców ekranizacji kryminału w 1978 r. było oczywiste, że film jest przeznaczony dla Brytyjczyków i w śmiechu z Egipcjanina nie ma niczego złego. Mija jednak 40 lat i oto taka scena zaczyna zwracać uwagę. Po prostu liczba Egipcjan, czy sze-

rzej – muzułmanów, żyjących w Wielkiej Brytanii wzrosła tak bardzo, że wytworzenie filmowe muszą to brać pod uwagę.

Czy oznacza to, że nagle zniknęły z filmów kpiny z „innych”? Nie, po prostu kpi się z tych, którzy nie mają mocnej pozycji w społeczeństwie. Dlatego nadal można do woli szydzić z księży, prymitywnych Jankesów głoszących na Trumpa czy z ignorantów negujących zmiany klimatu. Do towarzyszącej kampanii prezydenckiej w USA najnowszej edycji komedii „Borat” wkręcono Rudy’ego Giulianięgo, jednego z doradców żółtowlatego prezydenta. Za to ze świecą szukać kpiny z homoseksualistów, feministek, muzułmanów czy Żydów.

I tak dochodzimy do filozoficznej prawdy. Ludzie nie wyzbywają się skłonności do śmiania się z czyichś śmieszności. Tyle że ci, którzy mają silny kapitał społeczny, potrafią zadbać, aby nie kpiono z nich, ale z tych, którzy wypadli z dawnych pozycji. A już najbardziej wygodne są kpiny ubrane w kostium rzeckiej odwagi. Autorzy jadłowicie antykościelnych filmów w Polsce w wywiadach zwierają się np. dziennikarkom, że „liczą się z kłopotami w tym hiperkatolickim kraju”. A inni jadący walcem po Trumpie i trumpistach deklarują z udawanym patosem, że „Biały Dom na pewno za te kpiny zechce się zemścić”.

Czy jest coś wygodniejszego niż taki status śmiałka wskakującego na pochyłe drzewo? ©©

Lata międzywojenne / Nacjonalizm i wynarodowienie



Nauczycielka Helena Urniaż i uczennice polskiego gimnazjum im. Mickiewicza w Kownie, 1927 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Przerabianie Polaków na Litwinów



Tomasz Stańczyk

Przez wszystkie lata międzywojenne Polacy na Litwie byli dyskryminowani i prześladowani

Według jednego spisu powszechnego w 1923 r. na Litwie mieszkało 66 tys. Polaków. Były to jednak dane kompletnie niewiarygodne. Ze statystyk wyborczych wynikało bowiem, że jest ich ok. 200 tys.,

10 proc. mieszkańców państwa, choć ta liczba może być z kolei trochę zawyżona.

Represyjna, ostra polityka wobec polskiej mniejszości wynikała z niewzruszonego przeświadczenia władz i intelektualnych elit litewskich, że Polacy na Litwie to po prostu spolszczeni Litwini, których trzeba wszelkimi metodami przywrócić na łono narodu litewskiego.

Prezydent Antanas Smetona zapytywał retorycznie: „Skoro Litwin zamienił się na Polaka, to dlaczego nie może dzieć się na odwrót?”. Tylko że jeżeli polonizacja Litwinów, poczynwszy od czasów unii polsko-litewskiej, była procesem dobrowolnym i naturalnym, wynikającym z atrakcyjności polskiej kultury, lituanizacja Polaków na Litwie w latach międzywojennych przebiegała pod przymusem.

Trudno dziś ocenić, ilu Polaków żyjących na Litwie w latach międzywojennych było spolonizowanymi Litwinami, ilu zaś rdzennymi Polakami. „Stulecia wzajemnego przenikania obu społeczeństw doprowadziły do takiej mieszaniny rasowej, że dziś wydzielić pierwiastki polskie z pochodzenia z zespołu mieszkańców dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego byłoby zupełną niemożliwością” – pisał Konrad Górski, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, w książce „Divide et impera”.

Nawet jeśli chodzi o etnicznych Polaków, to – jak stwierdzał Górski – byli oni od stuleci obywatelami i dziedzicami ziemi, którą uprawiali i której bronili. Dlatego nie mogą być traktowani jako cudzoziemcy, obcy. Część tych Polaków była potomkami licznych jeńców pol-

skich, wziętych do niewoli podczas wojen polsko-litewskich w wiekach XIII i XV, inni osiedlili się w Wielkim Księstwie Litewskim po zawarciu unii.

Lietuvis zamiast Lenkas

Władz litewskich nic nie obchodziło, że Polacy sami określają się jako Polacy. W pierwszych latach niepodległej Litwy nagminną praktyką było wpisywanie Polakom do dowodów tożsamości narodowości litewskiej. W skardze Polaków z Litwy do Ligi Narodów pisano: „Urzędy gminne i magistraty pisały do dokumentu »Litwin«, chyba że obywatel się spostrzegł i interweniował, energicznie żądając właściwego określenia tej narodowości. Szerokie warstwy ludu polskiego nie orientowały się w rubrykach nowych dokumentów, tym bardziej że paszporty rosyjskie rubryki narodowościowej nie posiadały. W wyniku powyższego około 90 proc. z polskiej mniejszości otrzymało dokumenty osobiste z nadpisem »Litwin« (za: K. Buchowski, „Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918–1940”).

Bywało i tak, że w chwili deklarowania narodowości do dokumentów wpisywano tylko literę „L”. A „chytrość ta wyzyskiwała fakt, że po litewsku Polak nazywa się Lenkas, więc przez postawienie litery L bez dalszego ciągu umożliwiano nadużycie”. – A polegało to na tym, że wykorzystując literę L, pisano: Lietuvis (Litwin) – wyjaśniał Konrad Górski. Wpisanie narodowości litewskiej odegrało potem złowrogą rolę w przyjmowaniu dzieci do szkół. Oczywiście bywało i tak, że Polacy godzili się na narodowość litewską w dokumencie, by ułatwić sobie życie i nie należeć do dyskryminowanej mniejszości, a bywało, że także z przekonania.

Ziemiaństwo i szkoły

Pałace i dwory na Litwie były ogniskami kultury polskiej, traktowanej jako zagrożenie dla litewskiej tożsamości przez każdy rząd w Kownie. Polacy, jak podawał Krzysztof Buchowski, posiadali

ok. dwóch trzecich majątków ziemskich powyżej 100 ha (43 proc. gruntów rolnych).

Radykalna reforma rolna drastycznie zmniejszyła stan polskiego posiadania. Konfiskacie ulegały nadwyzki ponad 80 ha w przypadku jednego majątku ziemskiego, całość majątku zabierano właścicielom, jeśli oni lub ich spadkobiercy byli w przeszłości lub są obecnie żołnierzami Wojska Polskiego bądź działają na szkodę niepodległości Litwy. To drugie kryterium można było swobodnie interpretować, by dokonać konfiskaty



Prezydent Antanas Smetona

FOT. WIKIPEDIA



Stanisław Narutowicz

FOT. WIKIPEDIA

majątku. Do 1929 r. rozparcelowano blisko 800 majątków ziemiankich o łącznej powierzchni ok. 590 tys. ha, z których zdecydowana większość należała do Polaków. Ogólny obszar polskich gospodarstw ziemiankich skurczył się o ponad 80 proc. w porównaniu ze stanem sprzed reformy.

Wileńskie „Słowo” Cata-Mackiewiczza pisało, że reforma rolna oznacza kres potężnej i promieniującej kultury polskiej na Litwie. W odpowiedzi pismo „Lietuva” stwierdzało:

„Jest nam bardzo przyjemnie to usłyszeć. Ta »promieniująca kultura« to śmierć dla litewskości. Reforma rolna obcięła białemu orłowi pazury, którymi wewnątrz szarpał ciało Litwy” (za książką K. Buchowskiego).

Niektórzy ziemianie, tacy jak Konstanty Radziwiłł z Towian, deklarowali pełną lojalność wobec władz i narodowość litewską. Radziwiłł stał się honorowym szefem Pułku im. księcia Janusza Radziwiłła, uważanego przez Litwinów za bohatera, a przez Polaków za zdrajcę, który chciał oderwać Wielkie Księstwo Litewskie od Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tym, którzy deklarowali litewskość, pozwalano na posiadanie większych majątków, do 150 ha. Ale Radziwiłłowi pozostawiono aż 1000 ha. Narodowość litewską zadeklarował też Stanisław Narutowicz, jeden z sygnatariuszy deklaracji niepodległości Litwy w 1918 r., brat Gabriela Narutowicza, wybranego na prezydenta Polski cztery lata później.

Na Litwie istniały polskie szkoły, lecz posiadanie świadectwa uzyskanego w nich było często „wilczym biletem” uniemożliwiającym otrzymanie pracy. Nic dziwnego, że część młodzieży emigrowała do Polski. Polskość tych szkół była zresztą mocno iluzoryczna. Tam, gdzie chodziło do nich dzieci litewskie, stawały się faktycznie dwujęzyczne, z tym że obowiązywał język litewski jako wykładowy. Wprowadzony został nakaz nauczania historii i geografii w gimnazjach (istniały w Kownie, Poniemuniu i Wilkomierzu) po litewsku. Polityka oświatowa Litwy prowadziła do wynarodowienia młodych Polaków. Dlatego w reakcji na nią powstało Polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Płomień”, które zaczęło organizować polskie szkoły. Tutaj jednak napotykało mnóstwo utrudnień formalnych, tak że szkół tych powstało tylko kilkanaście. ■

■ Przejawem walki z polskością i polityki wynarodowienia było to, że dzieci Polaków, którzy mieli wpisaną w dokumencie tożsamości narodowość litewską (najczęściej bez własnej woli), nie mogły chodzić do polskich szkół.

„A ponieważ na paszportach rzadko komu wpisywano żadaną narodowość – pisał Jerzy Różycki w broszurze wydanej w latach międzywojennych – a przeważnie wpisywano litewską, przeto okólnik ten nie był niczym innym, jak tylko uniemożliwieniem żądania szkół polskich, tym więcej, że władze litewskie nie chciały zmieniać na paszportach raz wpisanej narodowości”.

Nie poprzestano na tym. Ustawowo nakazano, by litewskie brzmienie miały nazwiska posiadające słowiańskie przyrostki, tłumaczone na język obcy lub skażone przez wpływ obcego języka.

„Wedle litewskich bajek – pisał Konrad Górski – wielu Litwinów jakoby tłumaczyło nazwiska litewskie na polski i dlatego tylu ludzi na Litwie nosi nazwiska o polskim pnii etymologicznym. Jeśli więc ktoś nazywa się Wróblewski czy Zajączkowski, to na podstawie nowej ustawy musi się nazywać Žvirblis (po lit. Wróbel) albo Kiškis (po lit. Zajac). Ale gdzie dowód, że przodkowie danego Wróblewskiego czy Zajączkowskiego nie nosili zawsze takich nazwisk?”.

Smola na szyldach

Litewski kler w pełni popierał dążenia rządu do wynarodowienia Polaków. Polskich księży wysyłano do parafii czysto litewskich, natomiast w polskich parafiach księżmi byli Litwini. Księżom Polakom zabraniano jakiegokolwiek działalności w polskich organizacjach i karano ich za nieprzestrzeganie tego zakazu, język polski usunięto z kowieńskiego seminarium duchownego. W Kownie miejscowi Polacy, którzy stanowili ok. 30 proc. mieszkańców, nie mieli do dyspozycji ani jednego kościoła, nie było też żadnego nabożeństwa po polsku. W tym samym czasie Litwini, których wśród mieszkańców Wilna był 1 proc., mieli do dyspozycji swój kościół, pw. św. Mikołaja.

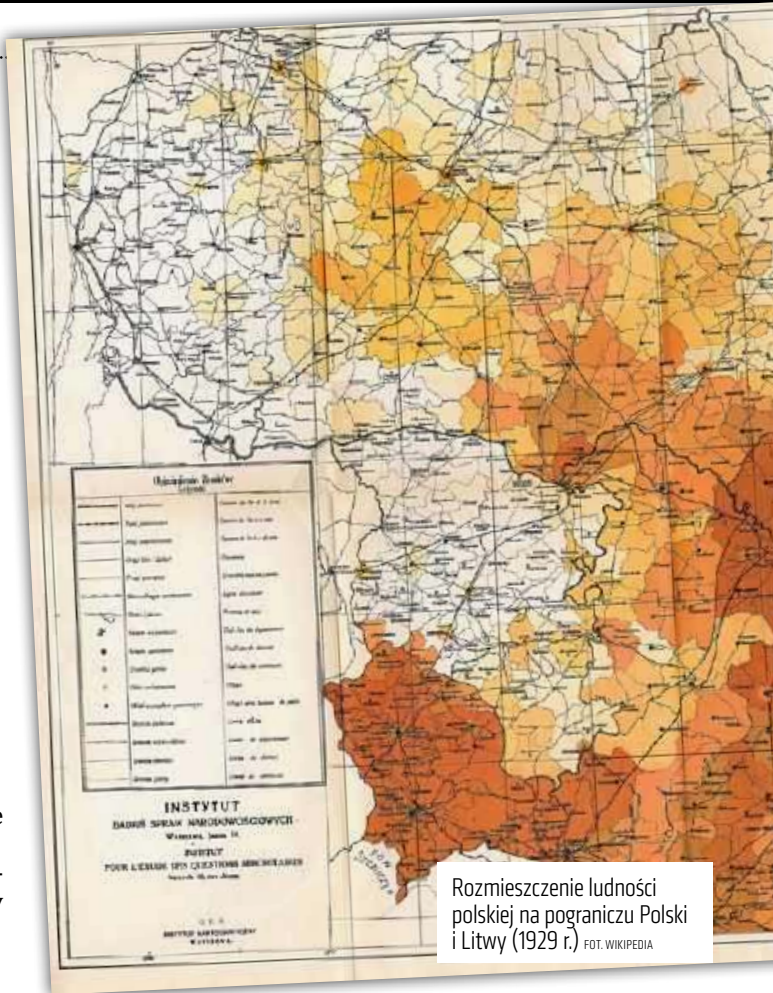
Walka z polskim językiem w kościołach przybierała także postać fizycznej agresji młodych nacjonalistów litewskich. Wiosną 1924 r. mnożyły się napaści na

kościół, w których modlili się Polacy, zakładano msze, bito wiernych. Takie wydarzenia powtórzyły się także 16 lat później, wiosną 1940 r. w Wilnie, które Litwini przejęli w prezencje od Sowietów.

Język polski miał zniknąć nie tylko z kościołów, lecz także z ulic. Były przepisy zakazujące języka polskiego na szyldach i ogłoszeniach – tak jak w Kownie w 1924 r. – a gdy nie obowiązywały, polskie napisy były zasmarowane smołą lub niszczone.

„Oczywiście policja nie złapała nikogo, ale że obowiązywał w tym czasie stan wojenny i po godz. 12 w nocy wolno było chodzić jedynie policji, patrolom wojskowym i nielicznym osobom cywilnym, zaopatrzoną w specjalne przepustki, więc osoby sprawców nie mogą podlegać wątpliwości” – pisał Konrad Górski. Niekiedy polskie szyldy zdejmowano na noc, by nie ukradli ich lub nie zniszczyli nieuchwytni „nieznani sprawcy”.

Polską gazetą był „Dzień Kowieński”, jednak pismo musiało zmienić w pewnym momencie nazwę na „Dzień Polski”, gdyż władze litewskie domagały się, by w tytule nazwa miasta brzmiała po litewsku („Dzień Kaunaski”). Wprowadzono przepis, który nie pozwalał zostawiać białych plam po konfiskacie całości lub części artykułu, a co więcej – nakazywał drukowanie artykułów nadesłanych przez władze bez prawa zaznaczania, że nie pochodzą one od redakcji! Pewnego razu, 9 października (dzień żałoby na Litwie po utracie Wilna z powodu „buntu” Żeligowskiego), „nieznani sprawcy” wydrukowali fałszywkę gazety z apelem na pierwszej stronie o datki na rzecz wyzwolenia Wilna.



Rozmieszczenie ludności polskiej na pograniczu Polski i Litwy (1929 r.)
FOT. WIKIPEDIA

Ostry antypolski kurs złagodził tylko przez chwilę, gdy w 1926 r. władzę objął lewicowy rząd, który powstał przy poparciu mniejszości narodowych, w tym Polaków. Zezwolono wówczas na zakładanie większej liczby polskich szkół oraz sprowadzanie gazet i książek z Polski, powstał też klub sportowy Sparta, a gimnazjum w Poniemuniu uzyskało prawa państwowe (w połowie lat 30. je odebrano). W tym samym roku nastąpił jednak zamach stanu, w wyniku którego objęli władzę narodowcy, z Antanasem Smetoną (został prezydentem) i Augustinasem Voldemarasem (premier), i znów powrócił ostry kurs wobec Polaków.

Litwa nie tylko nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Polską, lecz także odgradziła się od niej granicą, niczym chińskim murem. Nie istniała komunikacja kolejowa ani drogową, nie było wymiany handlowej ani pocztowej. Z Litwy nie można było zadzwonić do Polski. Paszport litewski był ważny na wszystkie kraje, z wyjątkiem Polski.

W 1927 r. zamierzał to zmienić marszałek Józef Piłsudski. Udał się do siedziby Ligi Narodów w Genewie i tam rozmawiał z premierem Voldemarasem. Ponieważ



Litwa uważała się za kraj będący w stanie wojny z Polską, Marszałek zażądał odpowiedzi, czy między oboma krajami jest wojna – a stan wojny deklarowała Litwa – czy pokój. Voldemaras odpowiedział, że pokój. Piłsudski uznał, że jest to punkt wyjścia do nawiązania stosunków dyplomatycznych i otwarcia granicy. Litwini jednak za warunek wstępny jakichkolwiek rozmów uważali oddanie im Wilna, na co Polska nie mogła się oczywiście zgodzić (wśród mieszkańców miasta nad Wilią Litwini stanowili 1–2 proc.).

W 1938 r. władze polskie, wykorzystując śmierć żołnierza KOP zastrzelonego przez litewskiego żołnierza, wysłały do Kowna ultimatum żądające nawiązania stosunków dyplomatycznych i wznowienia normalnych kontaktów. Litewski rząd się ugiął, jednak w kraju panowało poczucie upokorzenia, co zrekompensowano sobie atakami na siedziby polskich organizacji i antypolskimi manifestacjami.

Rok później Litwini wkroczyli na Wileńszczyznę przekazaną im przez Związek Sowiecki. Podczas krótkotrwałych rządów w Wilnie (październik 1939–czerwiec 1940 r.) stosowali tę samą politykę lituanizacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Białoruska Pogoń



Tomasz Stańczyk

Nad głowami demonstrujących dziś przeciwko Aleksandrowi Łukaszence powiewają biało-czerwono-białe flagi, także z herbem Pogoni. Były to symbole państwowości białoruskiej od chwili, gdy Białoruś przestała być sowiecka, do czasu, gdy w 1994 r. prezydentem został Łukaszenko. Rok później flaga i herb zostały zmienione, a zmiana nawiązywała do symboliki z czasów sowieckich. Chciała tego znaczna większość uczestników referendum. Wśród naszych wschodnich sąsiadów Białorusini byli najsilniej zsowietyzowani, znacznie bardziej niż Ukraińcy i Litwini. W przeciwieństwie do nich Białorusini, zanim wchłonęło ich sowieckie imperium, nie wykształcili mocnych podstaw tożsamości narodowej, elity były niewielkie, a i te zostały zmiażdżone przez komunistyczny reżim.

Po pierwszych latach budowania tożsamości, także opierając się na tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego i Białoruskiej Republiki Ludowej, nastąpił powrót do sowieckiej wersji białoruskiej historii. Przeniesiono święto państwowe z 27 lipca (tego dnia w 1990 r. ogłoszono suwerenność Ukrainy) na dzień 3 lipca (Armia Czerwona wyparła tego dnia w 1944 r. Niemców z Mińska). Nie było mowy o świętowaniu rocznicy bitwy pod Orszą w 1514 r., gdy wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego pokonały armię moskiewską. Celebrowano natomiast rocznice wydarzeń z czasów sowieckiej wielkiej wojny ojczyźnianej.

Jednak z czasem dokonał się pewien zwrot w polityce historycznej Łukaszenkowskiej Białorusi, przyspieszony po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Łukaszenko zrozumiał, że musi wzmocnić poczucie historycznej odrębności od Rosji. Wielkie Księstwo Litewskie zaczęło być uważane za jeden ze składników białoruskiej tożsamości. Nie oznaczało to jednak, że w oczach władz należy przez to rozumieć kulturową przynależność Białorusi i Białorusinów do cywilizacji zachodniej, europejskiej. Odwrotnie, podkreślano związki kulturowe Białorusi z Rosją. Jednakże władze białoruskie przystąpiły do odbudowy i restauracji zabytków z czasów WXL takich jak zamki w Mirze i Nieświeżu. Zbudowały dworek Mickiewiczów w Zaosiu i Kościuszki w Mereczowszczyźnie. Dla równowagi jednak odrestaurowano twierdzę brzeską, w której w 1941 r. bronili się przed Niemcami czerwonoarmiści, powstał też dworek Dzierżyńskich z pomnikiem Feliksa Dzierżyńskiego.

Dzisiejsza polityka historyczna jest więc osobliwą mozaiką złożoną z elementów rosyjsko-sowieckich i pamięci o Wielkim Księstwie Litewskim. A ponieważ kojarzy się ono z Rzeczpospolitą, a więc i z Polską, dla równowagi propagowana jest pamięć o Księstwie Połockim, niemającym nic wspólnego z kręgiem kultury zachodnioeuropejskiej.

Zepchnięty dziś do narożnika i skazany na pomoc i łaskę Moskwy Łukaszenka będzie teraz zapewne akcentował w polityce historycznej związki z Rosją. Przyjdzie jednak taki dzień, gdy biało-czerwono-biała flaga i Pogoń znów staną się symbolami narodowymi Białorusi. © ©

Bitwa pod Lutynią (niem. Leuthen)
5 grudnia 1757 r., litografia
z przełomu XIX i XX w. FOT. WIKIPEDIA



Kanon bitew / Simon Goodenough – „Tactical Genius in Battle”

Piłsudski „geniuszem taktyki”

Poczytny w krajach anglosaskich brytyjski popularyzator historii Simon Goodenough wydał w 1979 r. – jednocześnie w Londynie i Nowym Jorku – książkę „Tactical Genius in Battle” („Geniusz taktyczny w walce”). Była ona często wznawiana na Zachodzie, natomiast w Polsce dotąd nie znalazła ani tłumacza, ani wydawcy, a oryginału



Maciej Rosalak

/ Autora nie interesują „rzeźnie” czołowych ataków, ale oskrzydlenie, pozorowana ucieczka, zaskakujące ustawienie oddziałów...

nie ma zresztą nawet w Bibliotece Narodowej. Może to dziwić. Okładkę książki

z podobiznami „geniuszy taktycznych” (po pięciu w czterech rzędach) łatwo

znajdziemy w internetowych ogłoszeniach wydawców zagranicznych, ale powód jest jasny – jako piątego w najwyższym rzędzie widzimy Józefa Piłsudskiego. Tak – autor jest drugim po sir Edgarze d'Abernonie Brytyjczykiem, który w kanonie najwybitniejszych wodzów wszech czasów umieścił naszego Marszałka.

Informacja o książce ma wraz z okładką charakter przynęty dla polskiego czytelnika. Sprowadza się wyłącznie do stwierdzenia, że Piłsudski występuje w doborowym towarzystwie (m.in. Aleksander, Cezar, Napoleon...). Jednak kogo jeszcze Goodenough wymienia i dlaczego – nikt u nas dotąd nawet nie pokusił się o krótkie streszczenie. Jakoś przedarłem się przez internetowy gąszcz i postanowiłem nieco uzupełnić informację o tej książce. Zwłaszcza, że wybór 27 bohaterów może niekiedy wydać się zaskakujący, a kryteria wyboru odbiegają od dotychczas stosowanych w kanonach bitew. Otóż dla Simona Goodenough najbardziej liczy się mistrzostwo militarne, a nie osiągnięcie celu politycznego.

Kanony Anglosasów

Z oczywistych względów dość dobrze znany jest u nas kanon Edgara d'Abernona, autora „The Eighteenth Decisive Battle of the World: Warsaw, 1920” wydanej w 1931 r. i błyskawicznie przetłumaczonej na język polski („18. decydująca bitwa w dziejach świata: Warszawa 1920”). Jakie kryterium pozwala jednak użyć określenia „decydująca bitwa w dziejach świata”? Za gen. Carlem von Clausewitzem przyjmuje się, że wojna stanowi ostateczny środek osiągnięcia celów politycznych. Jeżeli więc wynik batalii na długie lata, albo i wieki, zmieni układ sił w skali kontynentu, wytyczy inny tor rozwoju cywilizacji, zadecyduje o trwałej supremacji bądź upadku wielkiego państwa czy systemu politycznego, to mamy do czynienia właśnie z bitwą decydującą w dziejach świata.

D'Abernon rozwinął – za XIX-wiecznymi historykami brytyjskimi Henrym Hallamem i Edwardem Creasy – owo kryterium: „Sąd o tym, jaką z bitew należy zaliczyć do rzędu wydarzeń

wszechświatowych [...], musi być z natury rzeczy dowolny, a wybór pozostanie z konieczności na zawsze przedmiotem dyskusji i sporu. Pod tym względem skłonny jestem podzielić pogląd [...], iż czynnikiem decydującym i ostatecznym kryterium winna być odpowiedź na pytanie, czy skutek wręcz przeciwny, to jest zwycięstwo pokonanego przeciwnika, dokonałby gruntownego przewrotu w dziejach świata”.

Przypomnijmy, że d'Abernon nie stworzył całego kanonu zwanego w Polsce jego imieniem, ale oparł się na pracy XIX-wiecznego historyka brytyjskiego sir Edwarda Shepherd'a Creasy'ego „Fifteen Decisive Battles of the World: from Marathon to Waterloo” („Piętnaście przełomowych bitew świata: od Maratonu do Waterloo”) wydanej w 1852 r. Tę jego piętnastkę tworzyły: 1. Maraton 490 r. p.n.e.; 2. Syrakuzy 413 r. p.n.e.; 3. Gaugamela 331 r. p.n.e.; 4. Metaurus 207 r. p.n.e.; 5. Las Teutoburski 9 r. n.e.; 6. Pola Katalaunijskie 451 r.; 7. Poitiers 732 r.; 8. Hastings 1066 r.; 9. Orlean 1429 r.; 10. Wielka Armada 1588 r.; 11. Blenheim 1704 r.; 12. Połtawa 1709 r.; 13. Saratoga 1777 r.; 14. Valmy 1792 r.; 15. Waterloo 1815 r.

Edgar d'Abernon dodał do tego trzy batalie, których jego rodak – gdy kończył swe dzieło – nie mógł uwzględnić: 16. Sedan 1870 r.; 17. Marna 1914 r.; 18. Warszawa 1920 r.

Wreszcie w 1964 r. amerykański historyk Joseph B. Mitchell opublikował

książkę „Twenty Decisive Battles of the World” („Dwadzieścia decydujących bitew świata”). Pominął uzupełnienie d'Abernona (więc Bitwa Warszawska wyleciała), natomiast pięć propozycji dodał do listy Creasy'ego. Charakterystyczne, że listę Amerykanina zamykają batalie z okresu drugiej wojny światowej, których tamci nie dożyli (d'Abernon umarł w końcu 1941 r.), a które przyniosły supermocarstwowość USA i ZSRS. Oto cztery bitwy Mitchella, które wydłużyły osiemnastkę d'Abernona: kampania na Missisipi 1862–1863; bitwa pod Sadową 1866 r.; bitwa o Midway 1942 r.; bitwa stalingradzka 1942/1943.

Simona Goodenough raczej nie interesują wielkie rzeźnie, w których o zwycięstwie decydowały: liczebność wojsk, kaliber dział, zasoby sprzętu i amunicji czy okrucieństwo dowódców nie tylko wobec obcych, lecz także wobec własnych żołnierzy (umieszczenie w wykazie Buni i Meiktili uważam za nieporozumienie). Jego uznanie budzą: sprytny manewr, umiejętność wykonania go przez wojsko, wyczucie i wykorzystanie okoliczności. Nie fale „mięsa armatniego” wysyłanego na śmierć w czołowych atakach, ale oskrzydlenie, pozorowana ucieczka, zaskakujące ustawienie oddziałów. Największy podziw wyraża zaś nad szykiem ukośnym.

Goodenough x 27

Szyk ukośny w jego najczystszej postaci zastosował jako pierwszy tebański wódz Epaminondas, walcząc ze Spartanami w 371 r. p.n.e. pod Leuktrami. Mając mniej liczne wojska (w stosunku 3:4), nie wahał się skomasować ich większą, najbardziej waleczną część na lewym skrzydle – aż na głębokość 50 rzędów.

W centrum i na prawej flance ustawił cienką, ośmiorzędową linię ukośnie odgiętą od ustawionej w 12 szeregów falangi przeciwnika. Zmuszało to Spartan do zmiany frontu podczas ataku i powodowało zamieszanie w szeregach hoplitów. Silna flanka Tebańczyków – ze „Świętym Zastępem” wiernych sobie po śmierć homoseksualistów na czele – zaatakowała wrogów na ich prawym skrzydle z taką siłą, że ulegli i poszli w rozsypek. Wtedy zwycięski hufiec ruszył



Rzymski posąg Aleksandra Wielkiego wykonany w IV w.n.e. według rzeźby Lizypa FOT. GETTY IMAGES

■ z boku na spartańskie centrum i lewe skrzydło i rychło było po bitwie. I tak runął w Helladzie prestiż „niezwyciężonych” Spartan.

Podobny szyk stosowano później wielokrotnie. Na przykład nad rzeką Jarmuk jego odmianę o nazwie „młota i kowadła” wprowadził w 636 r. Chalid Ibn al-Walid, rozbijając jazdę bizantyjską „młotem” jazdy arabskiej, a następnie uderzając na oskrzydloną piechotę. W starożytności szyk ukośny cieszył się zwłaszcza powodzeniem u Macedończyków – Filipa i Aleksandra, a w czasach nowożytnych u pruskiego króla Fryderyka II. A oto „geniusze taktyki” wedle Simona Goodenough zestawieni w porządku chronologicznym.

Kadesz 1299 r. p.n.e. – faraon Ramzes II, dążąc do zajęcia kraju Amurru i całej Syrii, wpada w pułapkę Hetytów pod Kadesz. Starcie tysięcy rydwanów wygrywa dzięki nieustępliwości, ale ani twierdzy, ani Amurru nie zajmuje.

Maraton 490 r. p.n.e. – pokonanie dwukrotnie liczniejszych Persów u wrót Aten przez Miltiadesa, który wykorzystał atak skrzydłowy i walory greckiej falangi oraz nieobecność zajętej rabunkiem okolicy jazdy wroga.

Salamina 480 r. p.n.e. – odparcie drugiej inwazji perskiej w bitwie morskiej dzięki Temistoklesowi, który odpowiednio przygotował (budując 200 okrętów) i poprowadził flotę ateńską – w cieśninie i z wiatrem.

Leuktry 371 r. p.n.e. – zwycięstwo Tebańczyków Epaminondasa nad niepokonanymi dotychczas w Helladzie Spartanami (patrz wyżej).

Gaugamela 331 r. p.n.e. – Aleksander Macedoński pobił – dzięki pieszej falandze i mistrzowskiemu kierowaniu uderzeniem konnicy ze skrzydła – pięciokrotnie liczniejszą armię perską Dariusza III, co oznaczało kres imperium Achemenidów.



Rycerz z XVI w. w pełnej zbroi płytowej z hełmem typu psi pysk oraz dwuręcznym mieczem

FOT. ADOBE STOCK

Kanny 216 r. p.n.e.

– Hannibal dokonał pogromu przeszło dwukrotnie liczniejszej armii rzymskiej, dzięki taktyce cofania się w centrum słabszej piechoty przed legionami, przy jednoczesnym rozbiciu skrzydeł wroga przez jazdę, a następnie otoczeniu i rzezi 60 tys. Rzymian.

Farsalos 48 r. p.n.e. – o zwycięstwie Cezara w wojnie domowej przesądził jego triumf odniesiony w Tesalii nad Pompeuszem. Zadecydował o uderzenie piechoty w bok jazdy pompejańskiej – odsłonięty po początkowym pobiciu przez nią kawalerii cezariańskiej. Cezar wykorzystał błąd przeciwnika w wykonaniu uderzenia...

Dara 530 r. – zaskakujący atak jazdy skandynawskich Herulów pod wodzą Farasa na wrogie skrzydło i tyły zdecydował o zwycięstwie bizantyjskiego wodza Belizariusza nad Persami pod graniczną twierdzą cesarstwa u progu Mezopotamii.

Hastings 1066 r. – zwycięstwo Wilhelma Zdobywcy wodza Normanów nad zmęczonymi 400-kilometrowym marszem Anglosasami dzięki zaskakującej inwazji rycerzy wraz z końmi. Upozorowanie ucieczki skłoniło Anglosasów do pogoni i rozerwania szyku, a szarża rycerzy z morza położyła ich pokotem.

Mohi 1241 r. – na tej madziarskiej równinie nad rzeką Sajó Mongołowie Batu-chana dokonali zagłady armii węgierskiego króla Beli IV. Dowodzeni przez Subedęja najeźdźcy triumfowali m.in. dzięki użyciu balist oraz zaskoczeniu liczniejszych Węgrów niespodziewanym wyjściem na ich tyły.

Nad Garigliano 1503 r. – mniej liczni Hiszpanie znakomicie dowodzeni przez Gonzaló Córdoba pokonują Francuzów w trzech odsłonach bitwy – przeprawa przez rzekę, odepchnięcie od mostu, rozbicie całej armii przeciwnika.

Breitenfeld 1631 r. – zwrot w wojnie trzydziestoletniej: król Szwecji Gustaw II Adolf na czele 30-tysięcznej armii szwedzkiej (pomoc kilkunastu tysięcy

Sasów okazała się zawodna) pokonał 35-tysięczne wojska katolickie Johana von Tilly’ego mimo zastosowania przez niego szyku ukośnego.

Wittstock 1636 r. – zwycięstwo armii szwedzkiej Johana Banéra nad katolickimi wojskami cesarsko-saskimi odniesione dzięki śmiałym manewrom oskrzydłującym. Brak głównodowodzącego zaważył na bezzradności liczniejszego przeciwnika.

Rocroi 1643 r. – zwycięstwo Francuzów pod wodzą księcia d’Enghien (Kondeusza Wielkiego) zakończyło supremację militarną hiszpańskich tercios – czyli oddziałów złożonych z pikinierów i muszkietierów – w Europie.

Blenheim 1704 r. – zwycięstwo Johna Churchilla 1. księcia Marlborough oraz księcia Eugeniusza Sabaudzkiego (siły angielsko-austriackie) nad wojskami francusko-bawarskimi kończy supremację Ludwika XIV w Europie Zachodniej.

Leuthen (Lutynia) 1757 r. – jedno ze zwycięstw Fryderyka II w wojnie siedmioletniej – z Austrią o Śląsk – odniesione dzięki wyszkoleniu armii pruskiej, potrafiącej wykonywać trudne manewry szyku ukośnego pod ogniem wroga.

Cape St. Vincent 1797 r. – admirał brytyjski John Jervis zwycięża znacznie silniejszą flotę hiszpańską u Przylądka św. Wincentego dzięki nieregulaminowemu manewrowi kmr. Horatio Nelsona.

Austerlitz 1805 r. – cesarz Francuzów Napoleon rozbił armie Austriaków i Rosjan po błyskawicznie szybkim marszu Wielkiej Armii znad kanału La Manche (mistrzostwo logistyki) na Morawy. Mając mniej żołnierzy (w stosunku 7:9) i dwa razy mniej armat, przepołowił formacje wroga i zadał im znacznie większe straty.

Salamanca 1814 r. – książę Wellington pokonuje na czele Anglików, Hiszpanów i Portugalczyków armię francuską marszałka Marmonta. Konsekwencja w niszczeniu lewego skrzydła Francuzów pozwoliła osiągnąć znaczącą przewagę nad przeciwnikiem. Zwycięstwo prowadziło do zajęcia Półwyspu Iberyjskiego.

Vicksburg 1863 r. – oblężenie i zdobycie jednego z kluczowych punktów obrony konfederatów przez Ulyssesa Granta dało Unii panowanie nad Missisipi, co okazało się decydujące dla przebiegu całej wojny secesyjnej.

Tannenberg 1914 r. – śmiały plan Hindenburga i Ludendorffa oraz wyszkolenie i uzbrojenie wojska pruskiego pozwoliły

na rozbiście po kolei znacznie liczniejszych dwóch armii rosyjskich – Rennenkampfa i Samsonowa – w Prusach Wschodnich.

Warszawa 1920 r. – Józef Piłsudski rozgromił front Michaiła Tuchaczewskiego zagrażający zdobyciem Warszawy przez bolszewików – a w konsekwencji innych krajów Europy – dzięki nieoczekiwanemu przegruceniu na północ części sił z frontu południowego. Ów ryzykowny i trudny manewr doprowadził do zwycięstwa w całej wojnie.

Bitwa o Francję 1940 r. – gen. Erich von Manstein był autorem planu uderzenia Niemców przez Ardeny – uważane za nie do przebicia dla wojsk pancernych – co zadecydowało o ominięciu Linii Maginota, zwinieniu frontu aliantów na północy i francuskiej klęsce w całej kampanii.

El-Alamejn 1942 r. – Bernard Montgomery zwyciężył Erwina Rommla, kładąc kres sukcesom Afriki Korps w Afryce Północnej. Zadecydowało wykorzystanie przewagi w ludziach i sprzęcie do znalezienia drogi skutecznego natarcia na pustyni.

Buna 1942/1943 – zdobycie po trzech miesiącach walk japońskiego przyczółka wśród bagien i dżungli Nowej Gwinei przez wojska USA (Robert Eichelberger) i Australii (Thomas Blamey). Niepotrzebne ogromne straty, choroby i cierpienia żołnierzy spowodował dowódca US Army – Douglas MacArthur.

Meiktila 1945 r. – Brytyjczycy i Hindusi pod dowództwem Williama Slima zdobyli ważny węzeł komunikacyjny w centralnej Birmie, rozgramiając – dzięki uzbrojeniu, czołgom i samolotom – mniej liczną japońską armię Heitarō Kimury, co prowadziło do oswobodzenia Indochin.

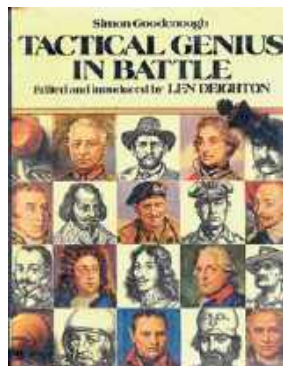
Jom Kipur 1973 r. – szef sztabu armii izraelskiej Dawid Elazar i minister obrony Mosze Dajan mimo wcześniejszego odwrotu potrafili pokonać siły egipsko-syryjskie nad Kanałem Sueskim i na Wzgórzach Golan.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Scutum, tarcza rzymskiego legionisty FOT. WIKIPEDIA

Okładka książki Simona Goodenougha. W górnym rzędzie od prawej portret Józefa Piłsudskiego



Tarnów jak Ajaccio



Maciej Rosalak

Z przełomem listopada i grudnia 2020 r. mija 190. rocznica wybuchu powstania listopadowego. I znów nasuwa się pytanie: Czy istotnie mogliśmy je wygrać? I znów wśród istotnych przyczyn klęski wymieniana się beznadziejną obsadą kluczowego stanowiska – wodza naczelnego. Ani Chłopicki, ani Skrzynecki, o Krukowieckim lepiej nie wspominając, się nie nadawał, bo żaden nie wierzył w powodzenie, nie chciał go, a nawet gdyby chciał – nie był zdolny go osiągnąć. „No to kto?” – pytają mnie w miarodajnym gronie. „Może Ignacy Prądzyński (1792–1850), autor świetnych planów strategicznych i zwycięzca pod Iganiem?”. „Nie ten format” – słyszę. „No to może Józef Bem (1794–1850) – zaryzykowałem – w latach 1848–1949 genialny wódz naczelny całej armii węgierskiej!”. Profesor westchnął: „Tylko kto o tym mógł wiedzieć 20 lat wcześniej w Polsce...”. Istotnie.

Może gdyby 190 lat temu podchorążowie por. Piotra Wysockiego mieli prawdziwy plan przejścia władzy, porzuciliby mrzonki o wodzu naczelnym spośród owianych napoleońską legendą kongresowych oportunistów. Gdyby przyjrzeni się uważniej zamieszonym wcześniej w konspirację, sądzonym i skazanym, niesubordynowanym, ale pomysłowym (wojska rakietowe!), a nawet porywczym oficerom, ujrzeliby wodza na miarę Napoleona. Nie z Ajaccio wprawdzie, ale rodem z Tarnowa (i ze Lwowa). Ale czymże małopolskie grody gorsze od korsykańskich? Kiedy polski generał stanął na czele powstańców węgierskich, ich armia potroiła się, odniosła 33 zwycięstwa nad Austriakami i wyparła ich z Siedmiogrodu. Po 20 dniach wyzwołała także Banat. Uległa dopiero po zaciętych walkach z kilkukrotną przewagą połączonych sił rosyjskich i austriackich.

Widząc Austriaków zdobywających węgierskie działa, galopem rzucił się na nich i, wymachując szpicrutą, przeklinał po niemiecku: „Uciekajcie stąd psy, to są moje działa!”. Zszokowani, uciekli z zajętych pozycji. Jakaś z kul raniła go w dłoń. Nie ustąpił jednak z pola walki, a ranny palec obciął sobie nożyczkami. Znacznie wcześniej, w 1812 r., wysłany przez marszałka MacDonalda w zwiadzie nad Dźwinę, wbrew rozkazowi zaatakował Rosjan i wziął do niewoli 50 dragonów. Trafił do aresztu, ale jeden z francuskich oficerów rzekł: „Jeśli ten chłopiec nie skręci za młodu karku, to z pewnością zajdzie wysoko!”.

Natomiast w 1793 r. wbrew lęklivym generałom młody oficer artylerii Napoleon Buonaparte zwycięsko rozprawił się z Anglikami i rojalistami pod Tulonem. Bystry gen. Jacques Dugommier stwierdził: „Brakuje mi słów, by opisać walory Buonaparte: ogromne umiejętności techniczne, równie wysoki poziom inteligencji, ale nadmiar brawury!”. Urodzony w Ajaccio „geniusz wojny” miał wtedy 24 lata, natomiast w 1812 r. tarnowianin Bem skończył lat... 18. Podczas powstania listopadowego, gdy jego konna bateria przesadzała o polskich sukcesach pod Iganiem, Długosiodłem czy Łotorią, a pod Ostrołęką ocalała nasza armia, Józef Bem skończył lat 36. Dokładnie tyle, ile cesarz Napoleon I miał pod Austerlitz... © ©

Mundur wz. 36



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ W latach 30. rozpoczęto w Wojsku Polskim gruntowną reformę mundurową, aby wyeliminować liczne wady używanych dotychczas sortów wzór 1919

Po próbach poligonowych, w trakcie których porównywano mundury rozmaitych armii, Instytut Techniczny Intendentury opracował ostatecznie

polską barwę khaki o nieco jaśniejszym odcieniu względem dotychczas stosowanej. Uznano ją za optymalną w naszych warunkach klimatycznych, za zarówno zapewniającą odpowiednie maskowanie na tłach szarych i bezbarwnych (świt, zmrok, jesień, bezśnieżna zima, wczesna wiosna), kartofliskach, w pobliżu głązów i skał, jak i cechującą się mniejszym kontrastem na tle soczystej zieleni czy żółtego piasku. Projekt wychodził naprzeciw żądaniom głębszej unifikacji mundurów żołnierskich i oficerskich oraz zapewnienia większego komfortu noszenia. Obciążenie nie uległo niestety zasadniczym zmianom i nasz piechur dźwigał na sobie łącznie ok. 30 kg, z czego jedna trzecia przypadała na uzbrojenie (mundur i bielizna ważyły ok. 5,5 kg). Sylwetka polskiego żołnierza poprawiła się jednak zdecydowanie. Przede wszystkim za sprawą nowej rogatywki polowej, ładnej i praktycznej zarazem. W „Dzienniku Rozkazów” Ministerstwa Spraw Wojskowych z 1937 r. zapisano: „Rogatywka polowa, wykonana z sukna mundu-

rowego, barwy ochronnej, ma denko kwadratowe, podwójnie składany otok, ściągany z przodu za pomocą przesuwki, uszytywniony sukienny daszek oraz cztery otwory wietrznikowe, zakrywane od wewnątrz w porze

zimowej sukiennymi kłapkami [...]. Na przodzie rogatywki, w miejscu złączenia brytów, jest naszyty orzełek, wyhaftowany na sukiennej podkładce [...]”. Nowa kurtka mundurowa, w kroju identyczna dla wszystkich rang i zapinana na siedem guzików, była szeroka w ramionach, swobodna w piersiach, wcięta w stanie

i dopasowana w biodrach; miała cztery naszyte kieszenie z kłapkami i wykładany kołnierz zapinany na haftki. Wykonywano ją z sukna w kolorze ochronnym, latem stosowano kurtki lniane, identyczne w kroju, ale bez podszewki. Tak jak dotychczas w polu kurtki noszone były przez wszystkich żołnierzy bez oznak broni, służb i bez żadnych ozdób na kołnierzu, jedynie z oznakami stopni na naramiennikach. Mundury garnizonowe, szyte przez oficerów na zamówienie, tradycyjnie wykonywano z lepszych jakościowo materiałów. Wprowadzone zostały także nowe sukienne spodnie, proste w kroju, wysokie w stanie, z dwiema skośnymi kieszeniami, ze ściągaczem z tyłu i szlufkami do skórzanego paska; spodnie były długie i stosowano je nie z owijaczami, jak poprzednio, ale z krótkimi owijkami i trzewikami. W polu nosili je także oficerowie i chorążowie na stanowiskach do dowódców plutonów łącznie. Poza tym oficerowie stosowali bryczesy do wysokich, sięgających kolana butów wykonywanych ze skóry cielęcej, tzw. kroju angielskiego.

W kawalerii obowiązywały spodnie w typie bryczesów, stosowane do długich butów kawaleryjskich sięgających kolana i z przypinanymi ostrogami (buty oficerów i najstarszych podoficerów szyto na miarę); spodnie kawaleryjskie posiadały od wewnętrznej strony skórzane wzmocnienie – tzw. karwasze, które chroniły je przed zniszczeniem podczas jazdy konnej. Kolejnym nowym elementem umundurowania był jednolity dla wszystkich płaszcz; jednorzędowy, zapinany na sześć guzików, z wykładanym kołnierzem

i z niezszytą fałdą pośrodku pleców. Z boków znajdowały się dwie skośne kieszenie, poprzez które można było sięgnąć kieszeni kurtki i spodni. Płaszcz był obszerny, co umożliwiałoby w porze zimowej swobodne noszenie wełnianej podpinki lub kawaleryjskiego kożuszka. Płaszcze kawaleryjskie były nieco dłuższe i miały dłuższy rozporek z tyłu. ©





Lance ułanów Królestwa Kongresowego

Kawaleria Armii Królestwa Polskiego, utworzonego w 1815 r. na mocy kongresu wiedeńskiego, sformowana została w dwie dwubrygadowe dywizje – ułanów i strzelców konnych. Ułani zostali uzbrojeni w lance, pistolety, szable, a niektórzy w karabinki. Lanca była główną bronią. Jej renesans nastąpił w czasie wojen napoleońskich właśnie za sprawą Polaków, którzy słynęli z wyjątkowych umiejętności władania drzewcową bronią kawaleryjską. Dokładny opis lancy z okresu Królestwa zamieścił kpt. Józef Paszkowski, autor „Nauki praktycznej kanoniera” (Warszawa 1830): „Pika-lanca ma drzewce, dwa okucia, z których wierzchnie, zwane grotem, jest prawdziwą bronią; spodnie

jest skuwką kończącą, którą jeździec osadza w tulejek, znajdujący się w prawym strzemienu albo też, gdy zsiądzie z konia, pikę za jej pomocą może utkwąć w ziemię. Grot jest zwykle stalowy, rurka, którą się on osadza na drzewcu, jest żelazna, a dla lepszego jej osadzenia są dwa pręciaki, czyli paski żelazne, dość długie, które się gwoździkami wzdłuż drzewca przybijają; one chronią drzewce od ucięcia pałaszem i mocniej rurkę na drzewcu utrzymują. Lanca ma jeszcze chorągiewkę, dawniej zwaną proporzec, i rzemyk do utrzymywania lancy na ręku. Drzewo bywa orzechowe, jesionowe lub bukowe. Chorągiewka śrubami się przytwierdza”. Długość lanc wahała się w granicach 230–260 cm. ©©

Dla Bema...

Generałowi Józefowi Bemowi międzynarodową sławę przyniosła błyskotliwa kampania przeciw Austriakom i Rosjanom podczas Wiosny Ludów w węgierskim Siedmiogrodzie. Między innymi oswobodzenie Kolozsváru, historycznej stolicy Siedmiogrodu (obecnie rumuński Kluż-Napoka) 25 grudnia 1848 r. Wdzięczni mieszkańcy miasta fundowali bohaterskiemu Polakowi wiele okolicznościowych podarunków. W zbiorach MWP znajduje się związany z tym wydarzeniem wieniec. Wykonano go ze złożonego srebra; dookoła znajdują się gałązki: po lewej stronie wawrzynowe, po prawej dębowe. Na dole umieszczono wstęgę z inskrypcją w języku węgierskim: „Ku uczczeniu Józefa Bema, bohatera wolności, siostry Graca w Kolosvarze 1849”. Wieniec prezentowany jest na aksamitnej, karmazynowej (obecnie mocno spłowiałej) poduszce ze złożonymi brzegami i rogami oraz z haftowanymi złotem inicjałami „B.J.” pośrodku. Poduszkę umocowano na drewnianej podkładce podklejonej zielonym płótnem. Wieniec rewindykowany z ZSRS po traktacie ryskim. ©©



Działo piechoty kal. 75 mm wz. 37

Zdolność do natychmiastowej improwizacji, cechująca Wehrmacht w czasie drugiej wojny światowej, jest bez wątpienia godna podziwu. Przy czym dotyczyła ona nie tylko licznych adaptacji zdobycznego sprzętu tudzież wykorzystywania obcych rozwiązań konstrukcyjnych, lecz także pomysłowych modyfikacji własnych konstrukcji. Dobrym tego przykładem jest działo towarzyszące piechoty kal. 75 mm, przyjęte do uzbrojenia w 1944 r. Oczywiście klasyczna artyleria znacznie ustępowała samobieżnym działom szturmowym pod względem wartości bojowych, ale tych

ostatnich było zbyt mało, aby pokryć rosnące zapotrzebowanie, a poza tym wykorzystywano je coraz częściej do



zwalczania broni pancernej przeciwnika, a nie wspierania w ataku własnej piechoty. Nowa armata stanowiła udane połączenie lawety dział przeciwpancernego Pak 36 kal. 37 mm, zupełnie już przestarzałego w schyłkowej fazie wojny, oraz nowej lufy kal. 75 mm zaprojektowanej w zakładach Kruppa i wyposażonej w charakterystyczny graniasty hamulec wylotowy. W zamyśle miała to być broń uniwersalna, a także do zwalczania czołgów. Jednak stosowano ją przede wszystkim do ostrzeliwania piechoty i umocnień. Masa bojowa wynosiła 0,5 tony. ©©



Tymoteusz Pawłowski

/ Dzięki nauce u progu XX w. jeden człowiek był w stanie wystrzelić tyle pocisków, ile sto lat wcześniej wystrzeliwała cała armia

Materiały wybuchowe używane są zarówno przez wojskowych, jak i cywili. Te cywilne – stosowane chociażby w kopalniach czy pomagające w budowie skomplikowanych konstrukcji – różnią się od używanych do celów militarnych. Na jednych i drugich można jednak doskonale zarobić. Przez stulecia podstawowym materiałem wybuchowym był czarny proch, czyli mieszanka siarki, węgla i saletry. Proch produkowany w Europie u progu XIX w. był niemal idealny: tani i wydajny, i – co najważniejsze – powtarzalny. Można było go używać, spodziewając się za każdym razem takiego samego efektu.

W tym czasie prochu używały głównie dwie grupy zatrudnionych: jedną stanowili żołnierze, a drugą – inżynierowie. Do tego, że żołnierze w czasach rewolucji, rozbiorów i cesarzy Napoleonów mieli dużo zajęcia, nie trzeba nikogo przekonywać. Być może jeszcze więcej pracy mieli inżynierowie. W XVIII w. zaczęto budować na olbrzymią skalę kanały żeglowne, aby barki i łodzie mogły karmić surowcami z prowincji powstające w miastach fabryki. W XIX w. sieć kanałów zaczęła być zastępowana liniami kolejowymi – do budowy jednych i drugich doskonale nadawał się proch. Wykorzystywano go oczywiście we wszelkiego rodzaju kopalniach.

Proch – choć pełen zalet – miał jednak swoje wady. Najważniejsze były problemy z jego przechowywaniem i transportowaniem. Gdy atmosfera w magazynie – lub w ładowni statku albo w beczkach na wozie konnym – była zbyt gorąca, istniało niebezpieczeństwo eksplozji. Gdy natomiast było zbyt wilgotno, proch nie nadawał się do użycia. Wojskowym ma-



Alfred Nobel FOT. GETTY IMAGES

Wynalazki / Mieszanka ziemi okrzemkowej z nitrogliceryną – oto patent Nobla

Dynamit



że nitrogliceryna eksploduje z siłą większą niż czarny proch, i w 1850 r. wysłał do Włoch jednego ze swoich synów – Alfreda. Ten uzyskał zaufanie Ascanio Sobrery i wiele wyniósł ze wspólnych badań nad nitrogliceryną. Na tyle dużo, że Włoch miał do końca życia żal do Szweda.

Nitrogliceryna faktycznie przewyższa czarny proch, ale jest również bardzo niestabilna: eksploduje bowiem od najmniejszego nawet wstrząsu. Trzeba było ją ustabilizować i zmniejszyć podatność na przypadkowe eksplozje. Alfred Nobel poświęcił więc połowę swojego życia na przystosowanie nitrogliceryny tak, aby mogła zastąpić proch. Eksperymenty były kosztowne i krwawe – w jednym z wybuchów zginął brat Alfreda – ale zaowocowały w 1867 r. powstaniem dynamitu.

Dynamit to mieszanka ziemi okrzemkowej – bardzo porowatej, powstałej z pancerzyków okrzemek – z nitrogliceryną. Przypomina swoją konsystencją ciasto i można z niej rolować charakterystyczne laski. Dynamit przechowuje się i transportuje łatwiej niż czarny proch, ma również efektowną nazwę pochodzącą z greki i oznaczającą „potęgę”, a dziś jest synonimem materiału wybuchowego. Okazał się jednak kosztowną porażką Alfreda Nobla. Dynamitu nie można bowiem zastosować w wojsku.

Ustabilizowanie i zmniejszenie podatności na przypadkowe eksplozje nitrogliceryny odbyło się bowiem kosztem jej zdolności wybuchowych – współczesne dynamity zawierają raptem ok. 10 proc. nitrogliceryny, są więc słabsze niż czarny proch. Nie nadają się do zastosowań wojskowych, doskonale natomiast do cywilnych. Wykorzystuje się je w kopalniach, do wyburzania ruin czy do budowy tuneli.

Trotyl

Fiasko badań nad dynamitem doprowadziło przedsiębiorstwo rodziny Noblów na skraj bankructwa. Carska Rosja potrzebowała jednak wiele broni – do likwidacji węgierskiej Wiosny Ludów, pacyfikacji podbitej Polski, opanowania Kaukazu, wojen z Turcją – firma zdołała się więc utrzymać i zarobić ocean pieniędzy. W drugiej połowie XIX w. Alfred

Nobel odziedziczył przedsiębiorstwo nie tylko produkujące i handlujące uzbrojeniem – w pewnym momencie największe na świecie – lecz także będące właścicielem największych światowych pól naftowych w kaukaskim Baku. Przy okazji handlu bronią stał się jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Armie używały czarnego prochu niemal do końca XIX w. Wówczas zastąpiły go materiały wykorzystujące związki azotu – wynalezione przez Francuzów bezdymny proch oparty na nitrocelulozie (bawełnie strzelniczej) oraz wynaleziony przez Niemców trotyl (N w skrócie TNT oznacza właśnie azot).

Francuzi ujawnili swoje zdolności produkcyjne prochu bezdymnego w roku 1886. W roku 1887 Alfred Nobel ogłosił, że jest w stanie produkować – dla Włochów – podobny materiał: balistyt. Natychmiast wybuchł skandal – przebywający w Paryżu Nobel został oskarżony o szpiegostwo przemysłowe i zmuszony do ucieczki do Włoch. Wielomiesięczna kampania prasowa – sponsorowana przez konkurentów Nobla na rynku zbrojeń, nie tylko Francuzów, lecz także Brytyjczyków – przedstawiała go niemal jako masowego mordercę. Alfreda powszechnie określano jako „handlarza śmiercią”. Aby ratować dobre imię i zawarte kontrakty handlowe, Alfred Nobel ogłosił więc – w Paryżu! – powołanie fundacji swojego imienia, która będzie nagradzała naukowców i artystów dążących do pokoju światowego.

Dynamit – z którym związane jest nazwisko Nobla – stosuje się przede wszystkim w przemyśle, można nawet użyć patetycznych słów: „dla dobra ludzkości”. Tymczasem nowe wynalazki – takie jak balistyt – dawały wojskowym niesamowite możliwości zabijania. Nowe gatunki prochów nazywano bezdymnymi dlatego, że nie pozostawiały zbyt wiele zanieczyszczeń. Nie trzeba było więc czyścić lufy po kilkunastu strzałach – można było to robić po kilkunastu tysiącach strzałów. Pozwoliło to produkować karabiny maszynowe – dzięki postępowi w nauce u progu XX w. jeden człowiek był w stanie wystrzelić tyle pocisków, ile sto lat wcześniej wystrzeliwała cała armia. Postęp w produkcji materiałów wybuchowych nastąpił w sam czas: w 1914 r. rozpoczął się najbardziej krwawy konflikt wojenny w dziejach świata.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

rzyło się także, żeby ich karabiny i armaty strzelały na coraz większe odległości, niestety proch osiągnął już kres możliwości rozwoju. Chcieli oni również zwiększenia szybkostrzelności, ale czarny proch produkował tak wiele zanieczyszczeń i sadzy, że broń trzeba było czyścić co kilka-kilkanaście strzałów. Tempo strzelania – i zabijania wroga – było dla generałów zbyt niskie.

Nitrogliceryna

Nic więc dziwnego, że chemicy dużo uwagi poświęcali na badania nowych materiałów wybuchowych. Ich opracowanie oraz produkcja dla armii zapewniały bogactwo i dostatek. Na tyle duży, że Immanuel Nobel – dobrze zapowiadający się student Szwedzkiej Akademii Sztuk Pięknych – zamiast malarstwem zajął się opracowaniem zdalnie detonowanej miny morskiej. Zainteresowanie wynalazkiem wyrazili Rosjanie, więc w 1837 r. Nobel przeniósł się do Petersburga, gdzie zbudował fabrykę min. Zauważył wówczas, że państwo carów najwięcej pieniędzy wydaje na utrzymanie armii lądowej. Ta musiała być liczna i silnie uzbrojona, aby mogła pacyfikować wiecznie buntujących się poddanych.

W 1847 r. młody włoski uczoney z Turynu – Ascanio Sobrero – opublikował wyniki badań nad nitrogliceryną. Aby ją uzyskać, należało wziąć olej roślinny i potraktować go jedną z najsilniejszych i najbardziej żrących zasad: roztworem wodorotlenku sodu. W ten sposób otrzymywało się dwa produkty: mydło oraz glicerynę. Glicerynę – oleisty alkohol o słodkim smaku używany w kosmetykach i w papierosach „elektronicznych” – trzeba wkropić do mieszaniny kwasów siarkowego i azotowego. W ten sposób powstaje nitrogliceryna.

Ascanio Sobrero zauważył, że nitrogliceryna rozszerza naczynia krwionośne, i skupił się na jej medycznych zastosowaniach – z dość dużymi sukcesami. Immanuel Nobel zwrócił jednak uwagę,

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONA
W 1909 ROKU
W TORUNIU
ELŻBIETA ZAWACKA
PRZED II WOJNĄ ŚWIATOWĄ
DZIAŁAŁA W ORGANIZACJI
PRZYSPOSOBIENIA
WOJSKOWEGO KOBIET,
PEŁNIĄC FUNKCJĘ
KOMENDANTKI
REJONU ŚLĄSKIEGO.
PO WYBUCHU WOJNY
ZAANGAŻOWAŁA SIĘ
W DZIAŁALNOŚĆ
KONSPIRACYJNĄ.



KOMENDA GŁÓWNA ZWIĄZKU WALKI ZBROJNEJ, GRUDZIEŃ 1940 R.



A KTOŻ MIAŁBY
LEPIEJ NADAWAĆ SIĘ
DO ROLI KURIERKĄ? ZNASZ
DOSKONAŁE NIEMIECKI, MASZ
BLOND WŁOSY I NIEBIESKIE OCZY.
Z DOBRZYMI DOKUMENTAMI
NIKT CIĘ NAWET NIE BĘDZIE
PODEJRZWAŁ...

ELŻBIETA ZAWACKA PO PRZE-
SZKOLENIU ZOSTAŁA JEDNĄ
Z NAJLEPSZYCH KURIEREK,
A PÓŹNIEJ SAMĄ ZORGANIZOWAŁA
SIĘĆ KURIERSKĄ NA ŚLĄSKU,
DO KTÓREJ WCIĄGNĘŁA
WIELE KOLEŻANEK Z PAK.
WSZYSTKO FUNKCJONOWAŁO
DOBRCZE DO MAJA 1942 ROKU,
GDY DOSZŁO DO WIELKIEJ WSPY.
ELŻBIETA ZAWACKA WRACAŁA
WÓWCZAS Z WYJAZDU, PRZEWO-
ZĄC WALIZKĘ PEŁNĄ PIENIEDZY.
CUDEM UDAŁO SIĘ JEJ UNIKNĄĆ
GESTAPOWCÓW, KTÓRZY CZEKALI
NA NIĄ W MIESZKANIU SĄSIADKI.
PRÓBOWAŁA UCIEC DO WARSZAWY,
ALE GDY ZORIENTOWAŁA SIĘ,
ŻE JEST ŚLEDZONA, WYSKOCZYŁA
Z JADĄCEGO POCIĄGU.



POD KONIEC 1942 ROKU
PODJEŁA PIERWSZĄ PRÓBĘ
PRZEDOSTANIA SIĘ DO
LONDYNU. PRZEWOZIŁA
500 STRON MIKROFILMÓW
UKRYTYCH W ZAPALNICZCE.
MUSIAŁA JEDNAK WRÓCIĆ
DO POLSKI, BO PRZYGOTOWANY
SZLAK NIE BYŁ
BEZPIECZNY. KOLEJNĄ
PRÓBĘ PODJEŁA
W LUTYM 1943 ROKU.
Z PARYŻA WYJECHAŁA
UKRYTA W TENDRZE PARO-
WOZU. DZIĘKI PRZEWOD-
NIKOWI DOSTAŁA SIĘ PRZEZ
PIRENEJE DO HISPANII,
A STAMTĄD STATKIEM
DO PORTU W BRISTOLU.



W LONDYNIE SPOTKAŁA SIĘ
ZARÓWNO Z GENERAŁEM
WŁADYSŁAWEM SIKORSKIM,
JAK I PREZYDENTEM WŁA-
DYSLAWEM RACZKIEWICZEM,
PRZEKONUJĄC ICH MIĘDZY
INNYMI DO ZAJĘCIA SIĘ
SPRAWĄ UREGULOWANIA
PRAW KOBIET-ŻOŁNIERZY.
PRAGNĘŁA JEDNAK JAK
NAUSZYBIEJ WRÓCIĆ DO
KRAJU. PRZESZŁA SZKOLENIE
SPADOCHRONOWE
10 PAŹDZIERNIKA 1943 ROKU
WYSKOCZYŁA Z SAMOŁOTU
LECĄCEGO NAD MAZOWSZEM.



BRAŁA UDZIAŁ W POWSTANIU
WARSZAWSKIM, POMAGAŁA
RANNYM W SZPITALU
I ZAJMOWAŁA SIĘ ZDOBY-
NIEM ZAOPATRZENIA.
PO KAPITULACJI OPUSZCZA
WARSZAWĘ RAZEM
Z LUDNOŚCIĄ CYWILNĄ.
W KOLEJNYCH MIESIĄCACH
ZAJMOWAŁA SIĘ ORGANIZACJĄ
SZLAKÓW KURIERSKICH,
PRZYGOTOWUJĄC MIĘDZY
INNYMI W GRUDNIU 1944 ROKU
WYJAZD DO SZWAJCARII JANA
NOWAKA-JEZIORAŃSKIEGO,
ZNAJOMEGO JAKO „KURIER
Z WARSZAWY”.

PO WOJNIE WRÓCIŁA DO UCZENIA I ZACZĘŁA PRZYGOTOWYWAĆ SWOJĄ PRACĘ
DOKTORSKĄ. JEDNAK 5 WRZEŚNIA 1951 ROKU ARESZTOWANO JĄ I OSKARŻONO
O SZPIEGOSTWO. W STYCZNIU 1952 ROKU SKAZANO JĄ NA 5 LAT POZBAWIENIA
WOLNOŚCI, JEDNAK PO REWIZJI WYROKU W LISTOPADZIE 1952 ROKU...



SKAZUJĘ
OBECNĄ TU
ELŻBIETĘ ZAWACKĄ
NA KARĘ DZIESIĘCIU LAT
POZBAWIENIA
WOLNOŚCI.

OPUSZCZA WIEZIENIE NA MOCY
AMNESTII Z 1955 ROKU.
BYŁA NAUCZYCIELEM AKADE-
MICKIM, JEDNAK WSKUTEK
LICZNYCH SZYKAN,
W 1978 ROKU PRZESZŁA NA
EMERYTURĘ, WTEDY
POŚWIECIŁA SIĘ DOKUMENTO-
WANIU DZIAŁALNOŚCI ARMII
KRAJOWEJ, A W SZCZEGÓLNOŚCI
KOBIET-ŻOŁNIERZY. SŁUŻY
TEMU ZAŁOŻONA PRZEZ
NIĄ FUNDACJA ARCHIWUM
I MUZEUM POMORSKIE AK,
OBECNIE DZIAŁAJĄCA JAKO
FUNDACJA GENERAŁ
ELŻBIETY ZAWACKIEJ.



Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Nowa niemiecka geopolityka

Po wielu latach znów zainteresowałem się niemiecką geopolityką, więc sięgnąłem ponownie po opasły tom tekstów „Polityka i przestrzeń. Z dziejów niemieckiej myśli politycznej” (wybór i opracowanie Anna Wolf-Powęska i Eberhard Schultz, Poznań 2000). Zainteresowała mnie nowa niemiecka geopolityka, ta zrodzona już po drugiej wojnie światowej w Republice Bońskiej, która z biegiem lat zaczęła się oddalać od paradygmatu nakreślonego przez klasyków niemieckiej przestrzeni geograficznej, z których ostatnim był gen. Karl Haushofer.

U źródeł tego geopolitycznego rewizjonizmu leżało nowe spojrzenie na położenie geograficzne Niemiec, jak i prawda o klęsce 1945 r. Największym krytykiem Haushofera był po wojnie Adolf Grabowsky. Jego „Podstawy geopolityki” z 1960 r. to z jednej strony nowe zdefiniowanie pojęcia geopolityki, z drugiej zaś zasadnicza rozprawa z błędami niemieckiej polityki. Haushofer był dla Grabowsky’ego „partaczem” i „dyletantem”, gdyż nie rozumiejąc „przestrzeni”, uczynił z geopolityki instrument do uzasadnienia każdej ekspansji. Ubolewał on, że przedwojenny spór z Polską o korytarz nie zakończył się współpracą polsko-niemiecką. Propaganda korytarzowa uczyniła z Polski satelitę Francji i śmiertelnego wroga Niemiec zamiast ich strategicznego sojusznika.

Jeszcze ciekawszy był Junius Alter, który w artykule „Fatalizm położenia środka” dowodził, że środkowe położenie Niemiec stało się przyczyną ich upadku. Alter twierdził, że budowa przez Niemcy „silnego europejskiego środka” spowodowała interwencję Anglii, a przez to wybuch drugiej wojny światowej. Jego zdaniem zagospodarowanie „środku Europy” przez III Rzeszę burzyło brytyjską koncepcję równowagi na Starym Kontynencie.

Upadek angielskiego „balance of power” nastąpił z chwilą zajęcia Pragi, gdy zapadła w Anglii decyzja o wojnie. Nieprzygotowana do wojny Brytania posłużyła się Polską, która ściągnęła na siebie uderzenie Niemiec, a także Związku Sowieckiego. Z lekcji historii Altera płynie jednoznaczna nauka – „środek” Europy nie może stanowić geopolitycznej pustki, przyciągającej potencjalnych agresorów (Anglia, USA, Sowiety, Rosja). Jedynym narodem, który jest w stanie zapewnić Europie pokój – przez zawładnięcie „środkiem” – są Niemcy, bez których zarówno zachodnia, jak i wschodnia Europa nie mogą spokojnie żyć ani się rozwijać. Tym samym koncepcja Altera nawiązuje do idei Mitteleuropy, która jest niczym innym jak tylko niemiecką próbą zawładnięcia „środkiem” Europy.

Po 1945 r. rewizji poddano również naumannowską koncepcję Mitteleuropy. Dla Friedricha Naumanna Mitteleuropa to „wspólnota związkowa” państw podporządkowanych Niemcom. „Oczy nasze – pisał w słynnej »Mitteleuropie« Naumann – kierują się ku przestrzeniom Europy Środkowej od Morza Północnego i Bałtyckiego do Adriatyku i południowych krańców równiny naddunajskiej. Weźmy do ręki mapę i zobaczymy kraje leżące pomiędzy Wisłą a Wogezami, pomiędzy Galicją a Jeziorem Bodeńskim. Przestrzeń tę wyobraźmy sobie jako jedność, jako kraj bratni, jako związek obronny, jako teren gospodarczy”. W swojej książce „Co będzie z Polską?” z 1917 r. dowodził, że ze względu na mocarstwowe cele Niemiec konieczna jest budowa

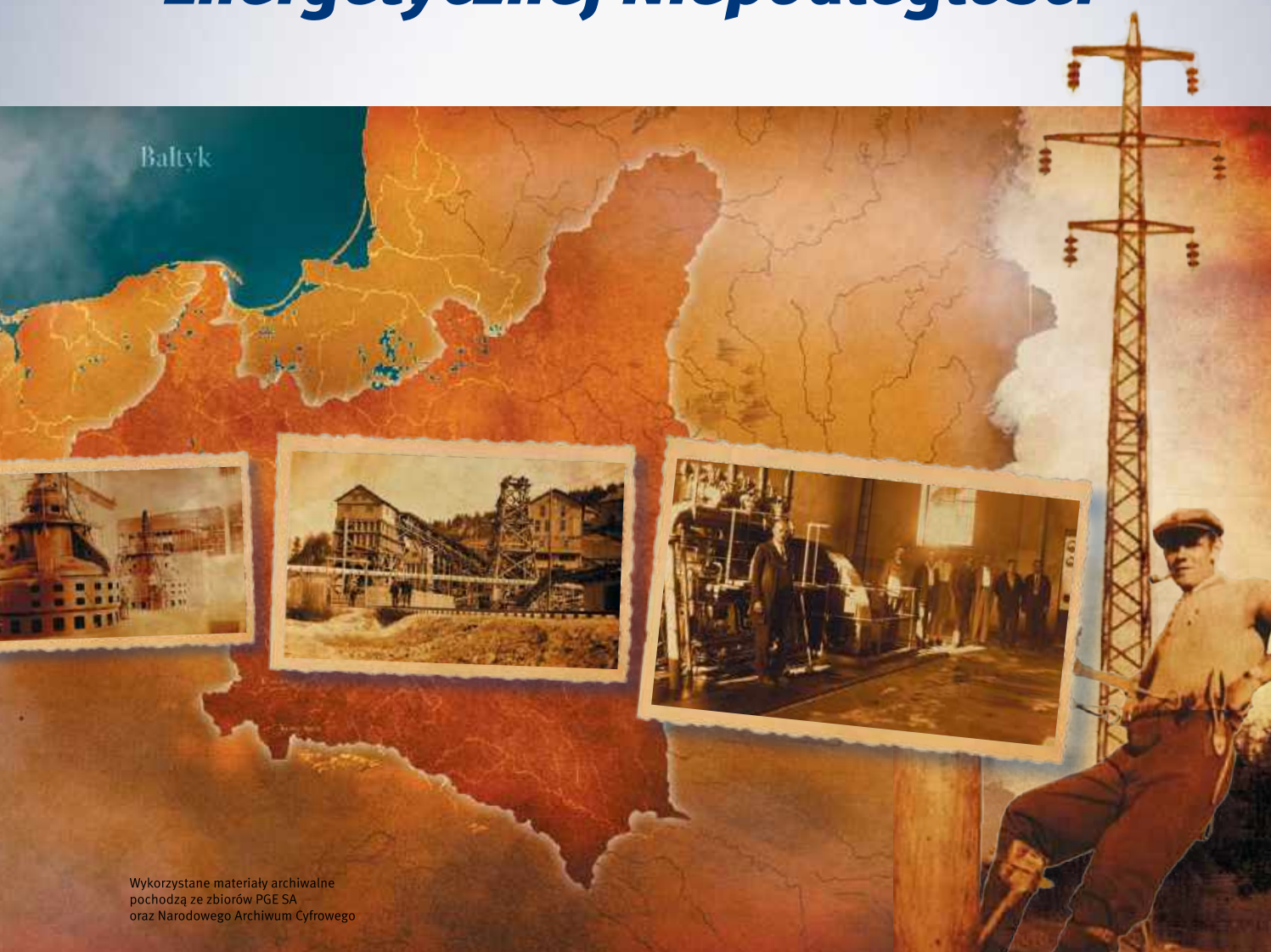
państwa polskiego („w ramach Generalnej Guberni i nic poza tym”) użytego jako narzędzie do walki z Rosją.

Do koncepcji Mitteleuropy nawiązał w RFN Peter Glotz. W 1986 r. pisał wprost: „Musimy odzyskać Europę Środkową; najpierw jako pojęcie, a następnie jako rzeczywistość. Przeczając historii granica ideologiczna między Pragą a Frankfurt, Wiedniem a Budapesztem, Warszawą a Luksemburgiem musi stać się przepuszczalna. [...] Europa Środkowa – co utrudnia nam zintensyfikować handel i zacieśnienie powiązań naszych blisko ze sobą spokrewnionych kultur?”. Po zjednoczeniu Niemiec realizacji Mitteleuropy służyć wszelkiego rodzaju niemiecka pomoc gospodarcza, współpraca kulturalna i edukacyjna oraz wreszcie rozszerzanie Unii Europejskiej. Cele niemieckiej geopolityki po zjednoczeniu zarysował Michael Stürmer. W 1992 r. przypominał, że „kraj leżący pośrodku (Niemcy) potrzebuje strategicznego sojuszu z Zachodem” i musi zadbać o „unię gospodarczą i walutową po to, by zjednoczenie Europy stało się nieodwracalne, unię polityczną – by umocnić demokrację europejską od środka i skutecznie jej działania za zewnątrz”. Bez ogródek Stürmer pisze, że zjednoczona Europa oznacza „przeforsowanie niemieckich interesów w ramach wspólnej polityki zagranicznej i polityki bezpieczeństwa”. Także rozszerzenie NATO i obecność Amerykanów w Europie postrzegane są przez współczesnych geopolityków niemieckich jako instrument do realizacji niemieckich interesów (Heinz Brill).

„Żelazny Kanclerz” Otto von Bismarck powiedział kiedyś: „Bóg dał nam położenie, które sprawia, iż nasi sąsiedzi nie pozwolą nam popaść w demoralizację i gnuśność”. Ileż bym dał, żebyśmy i my, Polacy, myśleli podobnie, tworząc własną szkołę geopolitycznego myślenia. ©©

**Idea Mitteleuropy jest
niemiecką próbą
zawładnięcia
„środkiem” Europy**

Poznaj historię Energetycznej Niepodległości



Wykorzystane materiały archiwalne
pochodzą ze zbiorów PGE SA
oraz Narodowego Archiwum Cyfrowego

www.gkpge.pl/energetycznaniepodleglosc



***Polska Grupa
Energetyczna***